

ŚWIATOWY BESTSELLER #1

TERESA DRISCOLL

OBSERWUJĘ CIĘ



POPEŁNIŁAM BŁĄD.
TERAZ TO WIEM.

SON
WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

**OBSERWUJĘ
CIĘ**

TERESA DRISCOLL

OBSERWUJĘ CIĘ

TŁUMACZENIE:
MONIKA NOWAK

KRAKÓW 2018

Popełniłam błąd. Teraz to wiem.

Jedynym powodem, dla którego zachowałam się tak, a nie inaczej było to, co usłyszałam w tamtym pociągu. I powiedzcie mi, ale tak szczerze – co wy byście poczuli na moim miejscu?

Aż do tamtej chwili nie uważałam się za pruderyjną. Ani naiwną. Zgoda, wychowywano mnie w sposób raczej konwencjonalny, niektórzy mogliby nawet uznać, że rodzice trzymali mnie pod kloszem, no ale... błagam. Spójrzcie na mnie teraz. Swoje przeżyłam. Dużo się nauczyłam. Na skali moralności moje życie plasowało się gdzieś pośrodku i dlatego tak mną wstrząsnęło to, co usłyszałam.

Widzicie, ja sądziłam, że to miłe dziewczyny.

Oczywiście nie powinnam się była przysłuchiwać rozmowie obcych osób, ale w środkach transportu publicznego to niemożliwe. Tylu ludzi wyszczekuje coś do swoich telefonów, a pozostali podnoszą głos, żeby w ogóle dało się ich usłyszeć.

W sumie to ta rozmowa nie pochłonełaby mnie tak bardzo, gdyby książka okazała się lepsza. Kupiłam ją z tego samego powodu, dla którego zdecydowałam się na magazyn z turbinami wiatrowymi na okładce. Gdzieś kiedyś przeczytałam, że po czterdziestce ludzie bardziej się przejmują tym, co myślą o innych, niż tym, co inni myślą o nich – czemu więc jeszcze nie dotarłam do tego etapu?

Jeśli masz ochotę kupić „Hello!”, to po prostu to zrób, Ello. Jakie ma znaczenie, co sobie pomyśli znudzony student na kasie? Ale nie. Ja wybieram niszowy periodyk o ochronie środowiska i poważną biografię. Dlatego kiedy w Exeter wsiadają dwaj młodzi mężczyźni z czarnymi workami na śmieci, nudzę się jak mops.

Teraz pytanie do was. Co byście pomyśleli na widok dwóch wsiadających do pociągu mężczyzn, z których każdy trzyma w ręce czarny worek – zawartość nieznana? Mnie, matce nastolatka, którego pokój zdecydowanie nie spełnia wymogów bezpieczeństwa i higieny, przychodzi do głowy tylko jedna myśl: typowe, nie udało wam się nawet znaleźć walizki, chłopcy?

Są hałaśliwi i dokazują jak przeciętni dwudziestokilkulatkowie – do pociągu wskakują w ostatniej chwili, kiedy przysadzisty konduktor gwizdże z gniewną dezaprobatą.

Pobawiwszy się automatycznymi drzwiami – otwarte, zamknięte, otwarte, zamknięte – co okazuje się dla nich wprost przezabawne, moszczą się na fotelach znajdujących się najbliżej półek na bagaże. Potem jednak, najwyraźniej z powodu dwóch dziewczyn z Kornwalii, wymieniają znaczące spojrzenia i przechodzą

w głąb wagonu do miejsc bezpośrednio za nimi.

Uśmiecham się do siebie. Widzicie, nie mam w zwyczaju psuć nikomu zabawy. Sama byłam kiedyś młoda.

Dziewczęta milkną, a jedna patrzy na przyjaciółkę szeroko otwartymi oczami – owszem, jeden z mężczyzn jest wyjątkowo przystojny, jak model albo członek boysbandu. Ta sytuacja przypomina mi o tym bardzo szczególnym doznaniu w żołądku.

Wiecie...

Dlatego w ogóle nie jestem zaskoczona ani nie odczuwam dezaprobaty, kiedy mężczyźni wstają, a ten przystojniejszy nachyla się nad siedzeniami i pyta, czy przynieść coś dziewczynom z bufetu, skoro i tak idzie.

Następnie mamy wzajemną prezentację i sporo chichotania, a potem rozpoczynają się tańce.

Dwie kawy i cztery piwa później młodzi mężczyźni siedzą obok dziewcząt – cała czwórka znajduje się na tyle blisko mnie, że słyszę ich rozmowę. Wiem, wiem. Naprawdę nie powinnam jej słuchać, ale już to przerabialiśmy. Pamiętajcie, że jestem znudzona. A oni głośni.

A zatem... dziewczyny powtarzają to, czego zdążyłam się już dowiedzieć z ich wcześniejszej pogawędki. Ten wyjazd do Londynu to ich pierwsza samodzielna wizyta w stolicy – prezent od rodziców z okazji zdania egzaminów. Mają zarezerwowany nocleg w budżetowym hotelu i bilety na *Nędzników*, są podekscytowane do granic możliwości.

– Żartujecie? Nigdy dotąd nie byliście same w Londynie? – Karl, ten przystojniak jak z boysbandu, jest zdumiony. – To miasto bywa niebezpieczne, dziewczyny. Musicie na siebie uważać. Po teatrze taksówka, a nie metro. Słyszycie?

Lubię tego Karla. Poleca dziewczętom kilka sklepów i targów, a także klub, w którym według niego będą bezpieczne, jeśli po przedstawieniu nabiorą ochoty na porządną muzykę i taniec. Zapisuje im na kartce nazwę. Zna bramkarza.

– Powołajcie się na mnie, okej?

Anna, ta wyższa, pyta o czarne worki i w duchu się cieszę, że to robi, bo ja także jestem ciekawa. Uśmiecham się, czekając na przekomarzenie się. Chłopcy... Tacy niezorganizowani.

Ale nie. Ci dwaj młodzi mężczyźni właśnie wyszli z więzienia. W czarnych workach kryją się ich rzeczy osobiste.

W tym momencie słyszę, jak przełykam ślinę, a serce zaczyna mi walić jak młotem. Na chwilę zostaje wciśnięty przycisk pauzy, ale nie na długo. Zbyt szybko dziewczyny przechodzą nad tym do porządku dziennego.

– Nabieracie nas?

Nie. Chłopcy ich nie nabierają. Postanowili, że będą mówić o tym otwarcie. Popełnili błędy, zapłacili za nie, ale nie zamierzają się wstydzić. Karty na stół, dziewczyny? Karl odsiedział wyrok w więzieniu w Exeter za napaść, Antony za kradzież. Karl jedynie stanął w obronie przyjaciela, rozumiecie, i – z ręką na sercu – drugi raz zachowałby się tak samo. Ktoś przyczepił się do jego przyjaciela w barze, a Karl nie znosi zastraszania.

Do mnie dociera paradoks – zastraszanie kontra napaść, i czy rzeczywiście trafia się do więzienia za sprzeczkę? – ale dziewczyny wydają się zafascynowane i w swojej uroczej, liberalnej naiwności oświadczają, że lojalność to ważna sprawa i że raz do ich szkoły przyszedł facet, który siedział wcześniej w więzieniu. Opowiedział o tym, jak po odsiedzeniu wyroku za posiadanie narkotyków kompletnie zmienił swoje życie. Cały był pokryty tatuażami. Cały.

– Wow. Więzienie. Jak tam naprawdę było?

W tym momencie zaczynam się zastanawiać nad swoją rolą. Oczami wyobraźni widzę matkę Anny, która opiera się o kuchenkę i zamartwia, czy jej córeczce nic się nie stanie, natomiast jej mąż każe jej się nie przejmować. „One są już prawie dorosłe. To rozsądne dziewczyny. Nic im nie będzie, skarbie”.

A ja uważam, że może stać się inaczej, bo Karl właśnie oświadcza, że dla dziewczyn byłoby najbezpieczniej, gdyby zaopiekował się nimi ktoś, kto zna Londyn. On i Antony zamierzają się zatrzymać u przyjaciół w Vauxhall i świętować swoje wyjście na wolność. A może spotkają się po przedstawieniu i razem wybiorą do klubu?

Wtedy dochodzę do wniosku, że muszę zadzwonić do rodziców tych dziewczyn. Podczas wcześniejszej rozmowy wymieniły nazwę swojej wsi. Anna mieszka na farmie. To nic trudnego. Mogę zadzwonić na pocztę albo do lokalnego pubu. Ileż może tam być farm?

Jednak Anna wcale już nie jest taka pewna. Nie. W sumie to powinny pójść wcześniej spać, żeby z samego rana wyruszyć na zakupy. No bo widzicie, najpierw zamierzają się wybrać do Liberty, żeby Sarah mogła przymierzyć coś Stelli McCartney i zrobić sobie zdjęcie telefonem.

Dobra dziewczyna, myślę. Rozsądna. Oszczędź mi konieczności interweniowania, Anno. Ale pojawia się komplikacja, bo Sarah nagle zaczyna się interesować Antonym. Dochodzi do drugiej wycieczki do bufetu, a po powrocie zamieniają się miejscami – Anna siedzi teraz z Karlem, a Sarah z Antonym, który opowiada jej, jak bardzo żałuje tego, jak potoczyło się jego życie. Twierdzi, że ze ścieżki praworządności zszedł tylko i wyłącznie z desperacji, bo nie był w stanie znaleźć pracy. Nie był w stanie utrzymać swojego syna.

Syna?

I wtedy czuję go na sobie. Cień baldachimu rozłożonego nad moim

cukierkowym życiem – coraz bardziej się kurczę, gdy tymczasem Antony wyjaśnia, że walczy ze swoją byłą o prawo do odwiedzin i zapewnia, iż nie ma takiej opcji, żeby jego syn wychowywał się, nie znając ojca.

– Nie sądzisz, że coś takiego byłoby straszne, Sarah? Gdyby dorastał, nie znając ojca?

Teraz z kolei Sarah mnie zaskakuje – łamiącym się głosem mówi, że to super, iż Antony’emu tak bardzo na tym zależy, bo wielu młodych mężczyzn zachowałoby się zupełnie inaczej, uciekliby od odpowiedzialności.

– Okropnie się teraz czuję. Że też ekscytowałyśmy się Stellą McCartney.

A prawda? W tym momencie nie mam już pojęcia, co nią jest, a co nie. Co ja wiem? Kobieta, której syn musiał walczyć co najwyżej o wpuszczenie do miejscowego kina na film dozwolony od lat osiemnastu.

Następuje godzina wymieniania się szeptami i naprawdę bardzo się staram znowu czytać, zaznajamiam się z korzyściami płynącymi z użycia cichszej generacji turbin wiatrowych, ale w pewnym momencie Antony i Sarah znowu udają się do bufetu. Kolejne piwa, myślę. Duży błąd, Sarah. I wtedy podejmuję decyzję.

Tak. Też pójdę do bufetu pod pretekstem zakupu kawy, a w kolejce albo podczas mijania się na korytarzu udam, że mam problem z telefonem. Poproszę Sarah o pomoc – licząc na rozdzielenie jej i Antony’ego oraz możliwość zamienienia kilku słów na osobności – i zagrozę, że jeśli nie da sobie spokoju z tymi bzdurami, to zadzwonię do jej rodziców. Natychmiast, rozumiesz mnie, Sarah? Znajdę ich numer.

Bufet znajduje się trzy wagony dalej. Kiedy przechodzę przez drugi, obijam się lekko o siedzenia, a gdy mijam otwierające się automatycznie drzwi łącznika między wagonami, wkładam rękę do kieszeni marynarki, żeby wyjąć telefon. I wtedy właśnie ich słyszę. Bez wstydu. Nie próbują nawet być cicho. Robią to, głośno i dumnie, w toalecie w pociągu. Jak para kopulujących zwierząt.

To oni, mówią mi to jego słowa. Że tyle minęło czasu. Że tak bardzo jest jej wdzięczny.

– Sarah, och, Sarah...

Owszem, przyznaję, jestem wstrząśnięta i zaszokowana. Czuję palące upokorzenie. Jestem wręcz wściekła. Ponad wszystko pragnę uciec od tych odgłosów. Wstyd mi także z powodu własnej naiwności. I absurdalnych założeń.

Potykaçąc się, otwieram następne drzwi i wpadam do wagonu, zdyszana i zarumieniona, pełna determinacji, aby jak najszybciej się oddalić od tego dowodu na moją błędną ocenę.

Miłe dziewczyny?

W kolejce do bufetu krew dudni mi w uszach i zastanawiam się, czy usłyszałam ich

także ktoś inny. A może nawet to zgłosił? A wtedy w głowie pojawia mi się myśl: zgłosił to? Ale komu, Ello? Posłuchaj samej siebie. Inni ludzie zrobią dokładnie to, co i ty powinnaś od samego początku. Będą pilnować własnego nosa.

W tym momencie moje emocje zaczynają się zmieniać i zastanawiam się, jak to możliwe, że stałam się osobą, która nie ma pojęcia o życiu młodych ludzi. Ani o niczym innym.

W głowie swój wachlarz rozkłada kalejdoskop wspomnień. Obrazki z poszarpanymi krawędziami. Magazyny, które znaleźliśmy w pokoju naszego syna. Ten wieczór po kinie, kiedy dość wcześnie wróciliśmy do domu i przyłapaliśmy Luke'a na próbie obejścia zabezpieczeń Sky, aby oglądać porno.

Tak więc w tym przeklętym pociągu dopada mnie paląca potrzeba porozmawiania z mężem. Z moim Tonym. Żebym mogła zresetować swój kompas.

Muszę go zapytać, czy problemem nie są przypadkiem oni, ale ja. Zachowuję się niedorzecznie, Tony? Nie, poważnie – musisz być ze mną szczerzy. Jak kiedy pokłóciliśmy się o kanały na Sky i magazyny Luke'a.

Jestem koszmarną świętoszką? Naprawdę?

Próbuję się do niego dodzwonić – wieczorem, kiedy po konferencji docieram już do hotelu. Pragnę mu powiedzieć, że zachowałam się rozsądnie i przeniosłam na drugi koniec pociągu. Pilnowałam własnego nosa. Te dziewczęta na pewno potrafią o siebie zadbać. Ale on gdzieś wyszedł i nie zabrał telefonu; to jedna z niewielu znanych mi osób, które nadal uważają, że przez komórki można się nabawić raka mózgu. Zamiast z nim rozmawiam więc z Lukiem. Uspokajam się, kiedy słucham, jak opisuje kolację – tadżin z przepisu ściągniętego przez nową aplikację. Mój Luke uwielbia gotować i droczyć się z nim, że pewnie zabrudził wszystkie garnki i patelnie.

A potem budzę się rankiem w hotelu.

Nie znoszę tego uczucia – tego dziwnego odrętwienia spowodowanego klimatyzacją, obcym łóżkiem i brakiem dyscypliny w kwestii minibaru. Hotelowa nagroda – brandy albo dwie po długim dniu.

Jest dopiero wpół do siódmej i marzę, żeby jeszcze sobie pospać. Po dziesięciu minutach poddaję się. Obok czajnika leżą saszetki smutku. Zawsze to robię w hotelowych pokojach. Wmawiam sobie, że ten jeden raz napiję się kawy rozpuszczalnej, a potem i tak wylewam ją do umywalki w łazience.

Wbijam wzrok w ustawione rzędem miniaturowe butelki i krzywię się, kiedy do pokoju napływa wspomnienie czegoś okropnego. Zerkam na telefon, wzbiera we mnie znajomy strach, że zrobiłam coś żenującego, coś, czego będę żałować.

Odwracam się ponownie w stronę butelek i przypomina mi się, że po drugiej brandy postanowiłam zadzwonić do biura numerów, aby namierzyć rodziców tamtych dziewczyn. Na tę myśl momentalnie robi mi się zimno. Czy rzeczywiście

tam zadzwoniłaś? Myśl, Ello, myśl.

Znowu patrzę na telefon i mocno się koncentruję. Ach tak, teraz sobie przypominam i w końcu się rozluźniam. Trzymałam w ręce telefon i kiedy już, już miałam wybrać numer, dotarło do mnie, że nie myślę jasno, nie tylko z powodu brandy. Moja motywacja była wypaczona. Chciałam zadzwonić nie dlatego, że się martwiłam o dziewczyny, ale miała to być kara, bo wkurzyłam się tym, jak się poczułam przez Sarah.

Zatem zachowałam się rozsądnie. Odłożyłam telefon, zgasiałam światło i poszłam spać.

Dobrze. Bardzo dobrze. Uczucie ulgi jest tak przemożne, że radośnie postanawiam dać szansę kawie rozpuszczalnej. Włączam czajnik, a potem telewizor. I wtedy to nadchodzi. Ten jeden moment – początkowo zawieszony, a zaraz potem rozciągający się poza ten pokój, poza to miasto. Ten moment, w którym uświadamiam sobie, że moje życie już nigdy nie będzie takie samo.

Nigdy.

Dźwięk jest wyciszony, bo wczoraj oglądałam film z napisami i nie chciałam przeszkadzać komuś w sąsiednim pokoju, ale zdjęcie nie pozostawia żadnych wątpliwości. Piękne. Z jej profilu na Facebooku. Błyszczące zielone oczy i jasne włosy opadające kaskadą na plecy. Stoi na plaży; za nią rozpoznaję Wzgórze Świętego Michała.

Moje ciało jakimś cudem się wycofuje – przez poduszkę, zagłówek i ścianę – a ja obserwuję ekran ze znacznie większej odległości. Na dole przewija się pasek z potwornymi słowami: Zaginęła... Anna... Zaginęła... Anna... Czajnik wykrzykuje głośno do lustra, natomiast ja planuję kolejne telefony.

Mroczna i straszliwa płatanina usprawiedliwień. Żadne z nich wystarczająco dobre.

Na policję. Do Tony'ego.

Proszę, zrozumcie, ja naprawdę zamierzałam zadzwonić...

Henry Ballard siedzi w oranżerii i ze wszystkich sił stara się ignorować odgłosy dochodzące z kuchni. Wie, że powinien pójść do żony – pomóc, pocieszyć – ale wie także, że niczego to nie zmieni, więc na razie zostaje tutaj.

Prawda? Chce jeszcze trochę tak posiedzieć i popatrzeć na trawę. W tym dziwnym miejscu, dobudówce, która ostatecznie się nie sprawdziła – zawsze jest w niej za gorąco albo za zimno, mimo tych wszystkich rolet i wielkiego wentylatora magnetycznego za chore pieniądze – udało mu się osiągnąć stan półświadomości, kiedy umysł unosi się ponad ciałem, ponad czasem, i wędruje do ogrodu, gdzie w tej właśnie chwili, w świetle poranka Henry nasłuchuje, jak szepczą w swojej kryjówce w krzakach. Anna i Jenny.

To było ich ulubione miejsce przez rok, może dwa, kiedy przechodziły ten okropny etap różowego koloru. Różowa pościel. Różowe lalki Barbie. Różowy namiot wypatrzony w jakimś katalogu, pełen dziewczęcych drobiazgów. Swego czasu w ogóle się do niego nie zbliżał. Teraz niczego nie pragnie bardziej niż zapomnieć o dojeniu krów i sianie, formularzach podatkowych i banku, chce pokręcić się trochę po dworze, rozpaść nieduże ognisko i upiec im na śniadanie kiełbaski, żeby było jak na prawdziwym kempingu. Tyle razy im obiecywał, ale w końcu nigdy tego nie zrobił.

Do terażniejszości sprowadza go potworny hałas dochodzący z kuchni. Jego żona zbiera z podłogi całą kolekcję blach do pieczenia, w najprzeróżniejszych rozmiarach i kształtach.

- Co robisz, na Boga?
- Koperty ze śliwkami.
- Na litość boską, Barbaro.

Ulubiony wypiek Anny. Coś w rodzaju ciastek owsianych z nadzieniem z gotowanych śliwek. Czuje cynamon: słoiczek z tą przyprawą leży przewrócony, a na blat wysypało się sporo aromatycznego proszku.

„Och, Barbaro”.

Obserwuje, jak żona trzęsącymi się dłońmi zbiera blachy, i po prostu nie jest w stanie tego znieść. Zamiast pomóc i wykazać się choć odrobiną życzliwości czy przyzwoitości udaje się do swojego gabinetu i siada przy telefonie, tak że pięć, może dziesięć minut później to on jako pierwszy dostrzega zajeżdżający pod ich dom radiowóz.

Coś potwornego zaciska mu się wokół żołądka i przez chwilę Henry rozważa, czy nie zabarykadować drzwi – w głowie pojawia mu się absurdalna myśl

o przysunięciu pod nie wszystkich mebli z korytarza, żeby uniemożliwić wejście do domu. Tym razem jest ich dwoje. Mężczyzna i kobieta. Mężczyzna w garniturze, a kobieta w mundurze.

Kiedy wychodzi na korytarz, jego żona stoi w drzwiach kuchni. Raz za razem wyciera ręce w fartuch. Henry odwraca się na chwilę w jej stronę i widzi w jej oczach błaganie skierowane ku niemu, ku Bogu i ku wymiarowi sprawiedliwości.

Otwiera drzwi – Anna i Jenny wbiegają ze szkolnymi plecakami i raketami tenisowymi i rzucają wszystko na podłogę. Ulga. Ulga. Ulga.

A potem prawda.

Widać ją na ich twarzach.

– Znaleźliście ją?

Mężczyzna w pogniecionym garniturze z sieciówki jedynie kręci głową.

– To posterunkowa Cathy Bright odpowiadająca za kontakty z rodziną. Rozmawialiśmy o niej przez telefon.

Nie jest w stanie wydobyć z siebie głosu.

– Możemy wejść, panie Ballard?

Kiwa głową.

Siadają w gabinecie i nagle rozlega się dziwny odgłos – skóry ocierającej się o skórę, kiedy jego żona pociera dłonie. Henry bierze ją więc za rękę, żeby uciszyć ten dźwięk.

– Jak już mówiliśmy, policja w Londynie, metropolitalna, robi wszystko, co w jej mocy. Ze względu na wiek Anny i okoliczności nadano tej sprawie wysoki priorytet. Tamtejsi funkcjonariusze pozostają z nami w stałym kontakcie.

– Chcę jechać do Londynu. Pomóc...

– Panie Ballard. Rozmawialiśmy o tym. Żona potrzebuje pana na miejscu, zresztą my także. Na razie musimy się skoncentrować na gromadzeniu wszystkich koniecznych informacji. Jeśli pojawi się jakaś wiadomość, jakakolwiek, obiecuję, że zostaną państwo o tym poinformowani i wtedy od razu zorganizujemy transport.

– Więc Sarah coś sobie przypomniała? Powiedziała coś więcej? Chcielibyśmy z nią porozmawiać. Bardzo.

– Sarah nadal jest w szoku. To zrozumiałe. Może liczyć na pomoc zespołu specjalistów, są z nią teraz rodzice. Wszyscy próbujemy uzyskać jak najwięcej informacji. Funkcjonariusze w Londynie oglądają materiał zarejestrowany przez kamery w klubie.

– Nadal tego nie rozumiem. Klub? Co one robiły w klubie? Nie miały czegoś takiego w planach. Miały bilety na *Nędzników*. Wyraźnie zazaczyliśmy, że...

– Pojawiły się nowe informacje, które mogą rzucić na to nieco światła, panie Ballard.

Dźwięk, jaki wydaje jego gardło, kiedy próbuje odkaslnąć, brzmi zdecydowanie

za głośno. Okropnie.

– Zgłosił się świadek. Ktoś, kto był w pociągu.

Flegma. W jego gardle.

– Świadek. Co to znaczy świadek? Świadek czego? Nie rozumiem.

Policjanci wymieniają spojrzenie, po czym kobieta przesiada się na krzesło obok Barbary.

Mężczyzna kontynuuje:

– Po apelu policji zadzwoniła kobieta, która w pociągu siedziała blisko Anny i Sarah. Twierdzi, że podsłuchiwała, jak dziewczyny nawiązują znajomość z dwoma mężczyznami.

– Co to znaczy „nawiązują znajomość”? Jacy mężczyźni? Nie nadążam. – Jego żona ściska mu mocno dłoń.

– Z tego, co usłyszała, wygląda na to, że Anna i Sarah zapoznały się z dwoma mężczyznami, którzy nam są już znani.

– Z mężczyznami? Jakimi mężczyznami?

– Mężczyznami, którzy właśnie wyszli z więzienia, panie Ballard.

– Nie. Nie. Ta kobieta musiała się pomylić... Nie ma takiej opcji. W żadnym razie.

– Policja w Londynie spróbuje porozmawiać o tym z Sarah. W trybie pilnym. I ze świadkiem. Jak mówię, musimy poskładać ze sobą tyle detali, ile tylko się da, szczegółów dotyczących czasu przed zaginięciem Anny.

– Minęło już tyle godzin.

– Tak.

– To rozsądne dziewczyny. Rozumie pan? Porządne, rozsądne dziewczyny. Należycie wychowane. My nigdy... nigdy nie pozwolilibyśmy im na ten wyjazd, gdybyśmy...

– Tak. Tak. Oczywiście. Proszę myśleć pozytywnie. Tak jak mówiłem, robimy, co w naszej mocy, aby odnaleźć Annę, będziemy państwa informować o wszystkim na bieżąco. Cathy może z państwem zostać, udzieli odpowiedzi na wszelkie pytania. A ja, jeśli wolno, chciałbym jeszcze raz zerknąć na pokój Anny. Liczymy na znalezienie czegoś w rodzaju pamiętnika. Przejrzemy jej komputer. Może mnie pan tam zaprowadzić, panie Ballard? A w tym czasie Cathy być może zaparzyłaby herbatę dla pańskiej żony. Dobrze?

Nie słucha. Myśli o tym, że ona wcale nie chciała, aby tam jechały. Jego żona. Twierdziła, że są za młode. Że to za daleko. Za szybko. To on opowiadał się za tym wyjazdem. „Och, na litość boską, Barbaro. Nie możesz ciągle ich niańczyć. Prawda?” Czuł, że Annie dobrze zrobi, jeśli wyrwie się na trochę spod skrzydeł matki.

Ale nie chodziło tylko o to. Dobry Boże.

A jeśli się dowiedzieli, że chodziło nie tylko o to?

W dusznym, dwuosobowym pokoju nieadekwatnie nazwanego Hotelu Paradise Sarah słyszy, jak mama szepcze jej imię, więc oczy nadal ma zamknięte.

To teraz inny pokój. Identyczny, ale na innym piętrze. Ten, w którym zameldowała się z Anną, jest w tej chwili niedostępny, choć Sarah nie rozumie dlaczego. Anna tam nie wróciła. Nie wierzą jej? „Nie wróciła tutaj, okej?”

W tym pokoju unosi się paskudna woń, która przypomina jej zapach kuchennej szafki. Zabawa w chowanego, kiedy była mała. Z zamkniętymi oczami Sarah marzy, aby zagrać w nią teraz. Zignorować zapach i temperaturę, matkę i policję i pobawić się w chowanego. Tak. W wersję wydarzeń, w której Anna suszy właśnie włosy – prostownica czeka już w pogotowiu – i przekrzykując hałas suszarki, nawija o tym, co powinny dzisiaj zrobić. Do którego sklepu powinny się udać w pierwszej kolejności? I czy Sarah mówiła poważnie o przymierzeniu czegoś od Stelli McCartney, no bo sprzedawczyni od razu po ich ciuchach zgadnie, że nie mają zamiaru niczego kupić.

Anna. Słodka, irytująca Anna. Zbyt chuda. Zbyt piękna. Zbyt...

– Obudziłaś się, skarbie? Słyszysz mnie, kochanie?

Sarah, nadal odwrócona twarzą w drugą stronę, otwiera oczy i krzywi się na widok sączącego się przez zasłony światła, tworzącego na ścianie kształt trójkąta. Położyła się na łóżku w ubraniu, nie chcąc przykrywać się kołdrą, pewna, że w każdej chwili może nadejść wiadomość. Że w każdej chwili mogą ją znaleźć.

– Cieszę się, że udało ci się przespać, skarbie. Choćby godzinę. Zaparzyłam nam herbatę.

– Nic nie chcę.

– Chociaż łyżeczek. Z dwiema łyżeczkami cukru. Musisz się wzmocnić. Trochę cukru...

– Mówiłam, że nie dam rady. W porządku?

Mama ma na sobie te same spodnie co wczoraj, ale świeżą bluzkę i Sarah myśli, że fakt, iż nie zapomniła o zabraniu czystego ubrania, jest dla niej typowy i jednocześnie wydaje się nie na miejscu.

– Przyjechał twój ojciec. Jest na dole. To głównie on rozmawiał z policją, ale znowu chcą mówić z tobą. Kiedy się poczujesz...

– Powiedziałam im już wszystko, co pamiętam. I nie chcę się widzieć z ojcem. Niepotrzebnie do niego dzwoniłaś.

Ich spojrzenia się spotykają.

– Posłuchaj, kochanie, wiem, że to trudne. Ty i twój tata. Ale on naprawdę się

przejmuje. A policja chce z tobą rozmawiać o jakimś telefonie. Ktoś zadzwonił po emisji komunikatu w telewizji.

– Był jakiś telefon?

– Tak. Od jakiejś kobiety z pociągu.

– Kobiety? Nie wiem, o czym mówisz. Jakiej kobiety?

Sarah ma w brzuchu tę samą ziejącą próżnię, jaką czuła podczas tych pierwszych strasznych godzin, kiedy czekała razem z policją na swoją matkę. Kiedy kręciło jej się jeszcze w głowie od alkoholu. Kiedy była zdezorientowana. „Gdzie jesteś, Anno? Gdzie ty się, u licha, podziewasz?”

Starła się przekazać funkcjonariuszom wystarczająco wiele szczegółów, żeby potraktowali to wszystko poważnie, ale nie na tyle, aby...

Szybko wstaje z łóżka i zaczyna przestawiać leżące na toalecie szczotki, kosmetyczki i inne śmieci.

– Brałaś pilot? Muszę zobaczyć wiadomości. Co mówią. Co oni mówią?

– To chyba nie jest dobry pomysł, Sarah. Wypij herbatę. Przekażę ojcu, że się obudziłaś. Że mogą tu teraz przyjść.

– Nie będę znowu z nimi rozmawiać. Jeszcze nie teraz.

– Posłuchaj, kochanie, rozumiem, że to jest potworne. Dla ciebie. Dla nas wszystkich. – Jej matka chodzi teraz po pokoju. – Ale znajdą ją, skarbie. Jestem tego pewna. Pewnie wybrała się na jakąś imprezę i boi się, że narobiła sobie kłopotów. – Obejmuje córkę. Kubki z herbatą stoją teraz pośrodku chaosu na toalecie. Sarah wyrywa się z jej objęć.

– Są tu rodzice Anny?

– Jeszcze nie. Nie wiem. Nie wiem, co zdecydowano w tej kwestii. Policja chciała najpierw sprawdzić coś w Kornwalii.

– Ale co?

– Komputery czy coś w tym rodzaju. Nie mam pojęcia. Nie pamiętam dokładnie, Sarah. Wszystko mi się zlewa. Chcą po prostu zebrać wszystkie informacje, jakie mogą pomóc w poszukiwaniach.

– A myślisz, że ja nie? Myślisz, że nie czuję się wystarczająco fatalnie?

– Nikt cię nie wini.

– Nie wini? Więc po co mówisz o winie, skoro nikt mnie nie wini?

– Sarah... skarbie. Nie zachowuj się tak. Znajdą ją. Wiem, że tak się stanie. A teraz zadzwonię na dół.

– Nie. Chcę zostać sama. Zupełnie sama. Chcę, żebyś teraz wyszła.

Matka Sarah wyjmuje z kieszeni telefon i rozgląda się za okularami, kiedy rozlega się pukanie do drzwi.

– To pewnie oni.

Do pokoju wchodzi ten sam detektyw co poprzednio, ale towarzyszy mu inna

policjantka. I ojciec Sarah.

– Coś wiadomo? – Matka zaczyna się podnosić z krzesła, ale ponownie siada, kiedy widzi, jak kręca przecząco głowami.

– Udało ci się przespać, Sarah? Dobrze się czujesz? Możemy porozmawiać? – pyta policjantka.

– Nie byłam pijana, kiedy poprzednio rozmawialiśmy. Nie byłam pijana.

– Nie.

Dorośli wymieniają się spojrzeniami.

– Obejrzeliliśmy materiał z kamer, Sarah. Z klubu. – Tym razem odzywa się detektyw. Ton głosu ma bardziej stanowczy. – Niestety nie wszystkie kamery działały, ale jest parę kwestii, które nie do końca rozumiemy. Poza tym zadzwonił do nas świadek.

– Świadek?

– Tak. Kobieta z pociągu.

Od razu to czuje. Dreszcz. Chłód, kiedy krew odpływa jej z twarzy.

Lipiec 2016

Nigdy się nie oszukiwałam. Wiedziałam, jak ten tydzień będzie wyglądał. Z jednej strony czekałam na niego z niecierpliwością: cień nadziei, że rocznicowy apel może ożywić śledztwo. Z drugiej jednak odczuwałam przerażenie. Ludzie znowu będą posyłać mi te spojrzenia. „Ta kobieta. Pamiętasz? Ta kobieta, która nic nie powiedziała. W pociągu. Pamiętasz? Kiedy zniknęła tamta dziewczyna? Chryste – to już rok?”

Ale mimo wszystko chcę tego – rekonstrukcji w programie *Łowcy zbrodni* – dla rodziny. Dla tej biednej matki. Tyle że sama wolałabym nie być tego częścią. Jesteście w stanie to zrozumieć, prawda? Nie miałam im za złe, że zapytali. Choć Tony się wściekł, kiedy zadzwoniła policja – zaskoczyło go, że mieli czelność to zrobić.

„Wyciekło jej nazwisko. Pozwoliliście, aby wszyscy ją osądzali, i myślicie, że chce teraz wystąpić w waszym programie...”

Nadal się upiera, że zdobycie przez prasę mojego nazwiska było ukartowane. Nie mamy na to dowodu, a jeśli mam być szczerą, dotarłam do etapu, na którym nie jestem już pewna, czy się tym przejmuję; wiem jedynie, że nie zniosę ponownego osądzania mnie. Nienawiści do mnie. Nawet lojalni klienci w kwiaciarni posyłałi mi dziwne spojrzenia. Celowo nie poruszali tematu.

Oficjalna wersja biura rzecznika policji jest taka, że nie doszło do przecieku; że wspomniano jedynie paru dziennikarzom o świadku z pociągu, który „brał udział w konferencji”. Ale ktoś najwyraźniej musiał powiedzieć, co to za konferencja, no bo skąd prasa wiedziała, że jestem florystką? Dziennikarze sprawdzili wydarzenia branży florystycznej, przeszukali listy uczestników pod kątem pochodzenia z Devon i Kornwalii, aż w końcu trafili pod nasze drzwi.

Nadal na samą myśl o tym robi mi się zimno.

Oczywiście, gdybym się okazała mądrzejsza, w żaden sposób nie udałoby im się tego potwierdzić. Gdybym powiedziała: „Nie wiem, o czym mówicie”, musieliby odpuścić. Ale tego nie zrobiłam.

Wiem, jak głupio to zabrzmiało, tylko że jedyne, co zdezorientowana powiedziałam w drzwiach, to: „Kto wam podał moje nazwisko?”

„Czemu, u licha, to powiedziałaś? – tak brzmiało pierwsze pytanie zadane mi wtedy przez Tony’ego. – Jezu, Ella. Dałaś im wszystko na talerzu”.

Niezupełnie. Nie wpuściłam żadnego dziennikarza. Nie udzieliłam żadnej wypowiedzi, przysięgam, ale i tak zrobili mi zdjęcie, a potem bez końca wydzwaniali, aż musieliśmy zmienić numer.

Tony określił to jako dręczenie. „Niewystarczająco wiele przeszła?” Mój kochany mężczyzna.

A potem zrobiło się naprawdę nieprzyjemnie. Okropne komentarze w mediach społecznościowych. Na jakiś czas musieliśmy nawet zamknąć kwaciarnię.

Bez względu na to, jakie to wszystko było potworne, nadal nie uważam, że wystarczająco dużo wycierpiałam. Ona nadal się nie odnalazła – tamta śliczna dziewczyna. Najpewniej nie żyje, choć z tego, co słyszę, jej biedna matka wciąż żywi nadzieję, że jej córka wróci do domu.

Czy można ją za to winić? Ja pewnie też tak bym uważała.

Funkcjonariusz policji odpowiadający za kontakty z *Łowcami zbrodni* powiedział mi, że pani Ballard udzieliła naprawdę przejmującego wywiadu. Nie wiem nawet, czy mogę to oglądać. Matka Anny ostatni rok poświęciła na gromadzenie informacji o zaginionych dziewczynach, które po latach w końcu się odnalazły. No wiecie – więzili je jacyś szaleńcy, fundowali im pranie mózgu, ale w końcu zdołały uciec. Podobno wycięto to wszystko z wywiadu, bo nie na tym się skupia policja. Policja uważa, że Anna najprawdopodobniej nie żyje. Chodzi o znalezienie zabójcy, a nie szaleńca z dziewczyną w piwnicy.

Pozostawiono jednak wszystkie opowieści pani Ballard o Annie jako małej dziewczynce. Jej nadzieje i marzenia. Podobno właśnie tego typu wypowiedzi sprawiają, że ludzie dzwonią z nowymi informacjami. Ale i tak chodzi przede wszystkim o namierzenie tamtych dwóch mężczyzn. Znalezienie ciała. Robi mi się zimno na samą myśl...

I właśnie to przepełnia Tony’ego największym gniewem. Jest zdania, że gdyby policja tak się nie ociągała z wystosowaniem apelu o wskazanie miejsca pobytu Karla i Antony’ego, to pewnie nie udałoby im się uciec. Zapewne za granicę.

Domyślam się, że opóźnienie miało jakiś związek z Sarah. Policja zachowuje się w tej kwestii dyplomatycznie, ale wygląda to tak, że początkowo przyjaciółka Anny w ogóle wyparła się tego, że ich poznały. Mężczyzn w pociągu. Oświadczyła, że sobie to zmyśliłam. Dopiero po obejrzeniu materiału z kamer i kiedy w końcu znaleziono kilka ujęć, na których wysiadają razem z pociągu, a także przebywają razem poza dworcem, policja upubliczniła wizerunki obu mężczyzn. Za późno.

Tutaj wszystko się komplikuje i sprowadza do mnie.

Gdybym zadzwoniła do rodziców i ostrzegła. Gdybym coś zrobiła. Cokolwiek.

„Nie wolno ci tak myśleć. Nie możesz brać sobie na barki ciężaru całego świata. Nie zrobiłaś nic złego. Nic, Ello. To ci mężczyźni. Nie ty. Nie możesz winą obarczać siebie”.

Nie mogę, Tony?

Nie jestem w tym odosobniona.

Pierwsza kartka przyszła kilka dni temu. Jej treść tak mną wstrząsnęła, że od razu pobiegłam do łazienki i zwymiotowałam. Nie potrafię wyjaśnić, dlaczego tak bardzo się przeraziłam. Pewnie to był szok, bo początkowo wydała się groźna, tak cholernie nieprzyjemna. A potem, kiedy wreszcie ochłonęłam i wszystko przemyślałam, dotarło do mnie, kto ją wysłał. Przyniosło mi to jednocześnie uczucie ulgi i wyrzuty sumienia. Jeśli mam być z wami szczerą, pewnie na to zasługuję.

To jedynie wyraz gniewu. Nie prawdziwa groźba.

Pierwsza kartka przyszła w kopercie. Była czarna, z literami powycinanymi z gazety. „CZEMU JEJ NIE POMOGŁAŚ?” Takie listy widzi się w programach w telewizji, ten nawet nie najlepiej wykonano, bo papier lepił się jeszcze od kleju.

Postąpiłam głupio: podałam ją i wyrzuciłam do kosza, żeby Tony jej nie zobaczył. Wiedziałam, że zadzwoniłby na policję, a tego nie chciałam. Nie chciałam, żeby tu węszyli. Razem z dziennikarzami. Nie chciałam powtórek z szaleństwa.

Trochę trwało, nim porządnie to przetrawiłam. Początkowo sądziłam, że to jakiś psychol, ale potem pomyślałam: chwileczkę, program rocznicowy nie został jeszcze nawet wyemitowany.

Tak naprawdę ta historia trochę się zatarła. Aż do programu wyemitowanego dziś wieczorem nikt się już nad nią nie zastanawiał. Tak to właśnie działa – dlatego policja nie ma łatwo. W jednej chwili mówią o tym wszyscy, w drugiej puszczają w niepamięć.

Tylko że dzisiaj przyszła druga kartka. Znowu czarna, z bardziej nieprzyjemną wiadomością. „DZIWKI... JAK W OGÓLE MOŻESZ SPAĆ?”

Tak więc teraz widzę wszystko jeszcze wyraźniej. To rzeczywiście moja wina. Nadawca chce mi odpłacić, nie tylko za to, czego nie zrobiłam dla Anny, ale i za to, że pojechałam tam latem.

I już wiem, od kogo są te kartki.

Henry Ballard zerka na zegarek, po czym gwizdże na Sammy'ego.

W oddali widzi dym unoszący się nad jednym z letnich domów do wynajęcia – dawnej stodoły, do której swego czasu wieczorami zmierzał jego ojciec na ostatnie sprawdzenie inwentarza przed kolacją.

Henry nadal co wieczór urządza sobie taką samą przechadzkę, ale obecnie towarzyszy mu milczący smutek. Gdy idzie, prześladowuje go głos Anny.

„Brzydzę się tobą, tato...”

Zamyka oczy i czeka, aż głos ucichnie. Kiedy je w końcu otwiera, dym wydobywający się z komina przed nim zdąży przybrać na sile.

Wszystko oczywiście miało sens z ekonomicznego punktu widzenia. Te przeróbki. Stało się to ulubionym zwrotem Barbary oraz banku. „Ma to sens z ekonomicznego punktu widzenia, Henry”.

Rolnicza historia Farmy Ladbroke sięga czterech pokoleń. Farma przetrwała powstanie i upadek miejscowej kopalni. Przetrwała zmieniające się gusta klientów. Wygrywała nagrody za rzadkie odmiany. W pewnym momencie hodowali na niej nawet żonkile. Ale przejście od sprawnie funkcjonującej farmy do czegoś, o czym koledzy Henry'ego wyrażają się teraz lekceważąco – „Nadal się w to bawisz, H?” – odbyło się w mgnieniu oka, niezauważalnie.

Teraz jego branżą jest turystyka, nie rolnictwo. I owszem – pod względem finansowym ma to niezaprzeczalny sens. Kilka stodoł przed ponad dekadą zostało przerobionych i sprzedanych, aby spłacić zaległe kredyty. A kilka pozostałych to teraz nieruchomości pod wynajem, co razem z herbaciarnią i kempingiem przynosi więcej niż wystarczający przychód – i z całą pewnością regularniejszy, niż jego ojciec czy dziadek ośmielali się marzyć.

Prawda? Jego przodkowie harowali. Długi należne bankom spłacali krwią, potem i łzami. A on? Co on takiego robi? Spija śmietankę. Nie ma wieczoru, żeby Henry Ballard nie czuł się podle z tego powodu.

A zatem tak, nadal się w to bawi. Coś tam jeszcze działa z owcami – ledwie się to zwraca za karmę – i małym stadem krów rzadkiej rasy.

Od lat odbywa ten spacer z ciężkim sercem. A teraz, od czasu zniknięcia Anny?

Henry ponownie się krzywi na wspomnienie córki siedzącej obok niego w samochodzie.

„Brzydzę się tobą...”

– I co teraz zostało? – pyta głośno, a Sammy trąca mu nosem dłoń, bursztynowymi ślepiami spogląda w oczy swojego pana. Ten pies nadal co wieczór

podczas kolacji siada pod krzesłem Anny. Trudno znieść coś takiego.

Henry klepie Sammy'ego po głowie, po czym zawraca w stronę domu. Z ogromną niechęcią myśli o czekającym go wieczorze, ale obiecał Barbarze, że razem obejrzą rocznicowy apel, więc nie może się spóźnić. Dużo rozmawiali o tym, w jaki sposób to rozegrać, martwili się, co będzie najlepsze dla Jenny, która chyba najgorzej radzi sobie z zaginięciem Anny. Siostra bez siostry.

Dziewczęta dzieli jedynie osiemnaście miesięcy – takie słodkie i tak sobie bliskie, zwłaszcza w dzieciństwie. Jasne, dochodziło między nimi do kłótni, pojawiała się typowa rywalizacja między rodzeństwem, ale kładły się spać zawsze pogodzone, często decydując się na jeden pokój, mimo że każda miała własny. Henry myśli przez chwilę o tym, jak wkładał głowę w drzwi, żeby po raz ostatni zajrzeć do nich przed udaniem się do swojej sypialni: płatanina rąk i nóg w różowych piżamach, razem na podwójnym łóżku.

Znowu ten cios w brzuch. Jenny nadal ma problemy ze snem. Barbara nadal ma problemy ze snem. Henry nie ma pojęcia, jak oni wszyscy mają znieść ten telewizyjny apel. Ponownie w świetle reflektorów.

Zdecydowanie odrzucili zaproszenie do studia w Londynie. Barbara nie poradziłaby sobie z wywiadem na żywo. Nie. Henry się postawił, nie tylko dlatego, że w towarzystwie policji robił się bardzo nerwowy. Cały materiał sfilmowano z wyprzedzeniem, w ich domu. Wygrzebali także dawne nagranie z czasów, kiedy Anna była mała.

Zatrzymuje się i zaciska dłonie w pięści na wspomnienie kamery w ręce; Barbara wydawała instrukcje w tle. Grupka przyjaciół wokół urodzinowego ciasta, wszyscy w strojach kowbojów albo wrózek. Duży czekoladowy tort ze świeczkami. „Nakręć, jak zdmuchuje świece, Henry. Tylko tego nie przeocz...” Myśli o tamtej wersji swojej żony – zaaferowanej i roześmianej Barbarze, która najbardziej lubiła, kiedy dom był pełen dzieci, hałasu i chaosu.

Henry odkasłuje i się nachyla, żeby znowu pogłaskać Sammy'ego. Czuje znajomą więź. Człowieka z psem. Człowieka i psa z ziemią.

Tak. Zgodzili się upublicznić fragmenty tamtego urodzinowego filmiku; według policji coś takiego powinno zaowocować większą liczbą telefonów, a przecież o to właśnie w tym wszystkim chodziło. Usłyszeli, że pierwsza rocznica to idealna okazja, by wskrzesić zainteresowanie sprawą. Naprowadzić na nowe tropy. Spróbować odnaleźć mężczyzn z pociągu. Ale on i Barbara bardzo się martwią, jak to wpłynie na Jenny. Ona także występuje we fragmencie wybranym przez producentów telewizyjnych, uśmiecha się, stoi ramię w ramię z siostrą. Barbara i Henry postawili sprawę jasno: jeśli Jenny poczuje się choćby odrobinę skrępowana, nie wyrażą zgody i wymyślą coś innego albo poproszą o zamazanie jej twarzy czy coś w tym rodzaju. Ale dla Henry'ego najgorsza okazała się reakcja

starszej córki.

Było tak, jakby nagle dostrzegła światło, cień szansy w tym przeklętym młynie wyrzutów sumienia i bezradności. Nagle oczy jej zabłyszczały i oświadczyła, że oczywiście nie ma nic przeciwko, żeby ludzie zobaczyli ją w przebraniu skrzydlatej wróżki. „Dobry Boże, jeśli to ma pomóc w odnalezieniu Anny...”

A potem pobiegła do swojego pokoju, wołając, żeby przyszedł za nią. W jednej z szaf miała schowane pudełka z całym mnóstwem starych zdjęć. Zaczęła je wyjmować. I czy mógłby zadzwonić na policję? „Teraz, tatusiu”. Mnóstwo naprawdę świetnych zdjęć. „Pamiętasz? Kiedy robiliśmy sobie jaja w tych fotobudkach. Cała paczka. Ja, Sarah i Anna, i jeszcze Paul i Tim”. Znalazła przykładowe zdjęcie – ich piątka, robią głupie miny – i pokazała mu je.

Henry wciąga zimne powietrze, kiedy przypomina sobie Annę w otoczeniu przyjaciół. Zamyka oczy.

„Brzydzę się tobą...”

Podejrzewał, że policja nie będzie chciała tych zdjęć. I miał rację. Chcieli jedynie film. A kiedy powiedział biednej Jenny, że policja jest bardzo wdzięczna – on i mama także – za poświęcony czas, wyraz jej oczu uległ zmianie i znowu stał się taki, jak obecnie ma przez cały czas. Nieobecny.

– No chodź, Sammy. Nie ma wyjścia.

Zdejmując kalosze w pomieszczeniu na buty, Henry słyszy, jak jego żona woła:

– Jesteś pewna, że nie będziesz oglądać z nami, Jen? Na dole? Tacie i mnie naprawdę nie podoba się ten pomysł... Chwileczkę. Słyszę, że tata wrócił.

Wchodzi w skarpetkach do kuchni.

– Świetnie. Dobrze. Henry. Przełączyłam już na odpowiedni program i wszystko jest ustawione do nagrywania. Producent dał znać, że zadzwonią do nas i poinformują o liczbie telefonów.

– Dobrze. To dobrze.

– Jennifer nadal twierdzi, że chce to obejrzeć w swoim pokoju. Nie jestem z tego zadowolona, Henry. Porozmawiasz z nią raz jeszcze?

– Skoro chcesz tego. Ale rozmawiałem rano, skarbie, i...

– Chodzi o to, że jeśli nie chce, to wcale nie musi tego oglądać. Mówiłam jej o tym. Ale jeśli jest inaczej, wolę, żeby nie była sama. Nie rozumiem, dlatego nie chce zejść do nas. W takiej chwili powinniśmy być razem. Nie sądzisz, że powinniśmy być razem? Jako rodzina? Obejrzeć to wspólnie.

Henry zastanawia się, czy powinien to powiedzieć. To, co jest oczywiste: że nie tworzą już rodziny. Przygląda się uważnie twarzy żony i zniża głos do szeptu.

– Jenny nie chce być zmuszana do oglądania naszych twarzy, kochanie. – Ma na myśli jej twarz. Barbary.

– Naszych twarzy? – Jego żona przez chwilę analizuje te słowa. Odwraca się do

wiszącego w korytarzu lustra, po czym szybko wraca spojrzeniem do Henry'ego. – Tak właśnie powiedziała?

– Nie musiała, kochanie.

Henry nie przestaje się przyglądać Barbarze. Patrzy jej prosto w oczy. Doskonale wie, dlaczego dla Jenny to takie trudne, sam czuje to samo. Widzieć całą głębię tego wszystkiego, wypisaną tutaj, mroczną i potworną, na samym dnie oczu Barbary. Przez cały dzień. Każdego dnia. Bez względu na to, jak bardzo jego żona stara się zasłaniać to dla Jenny nadzieją i uśmiechami. Wycinkami z gazet o zaginionych i odnalezionych po latach. I niekończącym się pieczeniem.

– Ale porozmawiasz z nią? Przed programem? – Wzrok ma wbity w podłogę.

Henry robi krok w jej stronę i całuje żonę w czoło. To pocałunek z obowiązku i nie dotyka jej przy tym, zna zasady. Ograniczenia. Ich życie fizyczne znajduje się w stanie wstrzymania; a może odeszło już na zawsze.

– Umyję tylko ręce, a potem... tak. Porozmawiam z nią.

Jenny siedzi na podłodze w swoim pokoju, otoczona magazynami i starymi albumami ze zdjęciami.

– Mama chciała, żebym zamienił z tobą słowo. – Henry zerka na albumy. Mnóstwo zdjęć z dzieciństwa dwóch siostr. W takich samych sukienkach druchen. Pierwszy dzień w szkole. Większość nowszych zdjęć jest oczywiście przechowywana na nośnikach cyfrowych, ale Jenny drukowała ulubione po tym, jak pewnego razu zepsuł się jej laptop i utraciła zdjęcia z całych wakacji.

– W porządku. Zaprosiłam Paula, Sarah i Tima. Dobrze? To znaczy mama ma rację, oglądanie tego w pojedynkę mogłoby być zbyt przygnębiające. Ale nie mogę siedzieć razem z mamą. Po prostu nie mogę.

– Och. No tak. Lepiej porozmawiam z nią o tym. – Zerka na zegarek. – Możliwe, że twoja matka nie czuje się komfortowo z tym, że tyle osób będzie dziś wieczorem w naszym domu.

– Daj spokój, tato. To nie są inne osoby. To moi przyjaciele.

Henry zaciska usta. Do rozpoczęcia programu zostało jeszcze półtorej godziny. Bierze głęboki oddech i analizuje własne uczucia, nim zmierzy się z tym, co czuje żona. Barbara zajmie się poczęstunkiem. Kanapki, ciasta i tym podobne. Będzie się krzątać. Ponownie zerka na zegarek. Kto wie, może coś takiego okaże się jej potrzebne. Odwróci jej uwagę.

Jest zaskoczony, że matka Sarah, Margaret, zgadza się na jej wyjście z domu. Przyjaciółce jego córki jest bardzo trudno. Wiele pytań bez odpowiedzi. Nadal nikt tak do końca nie rozumie, jak to możliwe, że dziewczyny rozdzieliły się w Londynie, i niektórzy wytykają Sarah palcami. Osobiście Henry nie do końca jest z tego niezadowolony. Lepiej, żeby skupiano się na Sarah...

Kiedy na dole wyjaśnia, czego dowiedział się od Jenny, Barbara wkłada akurat naczynia do zmywarki.

– No tak. Rozumiem...

– Jakie jest twoje zdanie? Nie przeszkadza ci to? To znaczy pełen dom. Wiem, że Jenny powinna to najpierw z nami omówić, ale nie chciałem jej krytykować. Nie dzisiaj.

Barbara wyciera ręce w fartuch i rozwiązuje go.

– Nie jestem pewna, czy to dobry pomysł, Henry. Takie mam przeczucie. Wiem, jak bardzo są sobie bliscy. To znaczy byli.

Henry czeka. Żadne z nich nie wie, jakiego czasu użyć.

– Ale ostatnio wszyscy są spięci. – Zdejmuje fartuch. – Łącznie z Jenny. Nie jestem pewna, czy to się okaże pomocne. Nie dla Jenny. Nie chcę, żeby doszło do czegoś nieprzyjemnego. Zwłaszcza dzisiaj.

– Wygląda na to, że tego właśnie chce Jenny. – Henry nadal wpatruje się w żonę.

– Nie jestem pewna, czy ona wie, czego chce, tak samo zresztą jak my. – Wzdycha. – Och, do diabła z tym. – Barbara nagle rzuca fartuch na kuchenny blat. – I tak będzie okropnie, bez względu na to, kto będzie w domu.

Ich rozmowę przerywa dochodzące z góry walnięcie. Słysząc, jak Jenny chodzi po swoim pokoju, który mieści się nad kuchnią, i wykrzykuje coś do telefonu. Większość pozostaje niezrozumiała, aż w pewnym momencie słyszą:

– Boże, nie. Błagam... nie.

A potem słysząc brzęk szkła i głuchoe odgłosy, jakby ktoś ciskał różnymi przedmiotami o ścianę.

- Musi pani pójść z tym na policję.
- To nie wchodzi w grę.
- Słucham?

Czuję zakłopotanie.

Biorę od Matthew Hilla najnowszą kartkę, nie spuszczać z niego uważnego spojrzenia. Nie spodziewałam się takiej reakcji. Włożyłam tę nową wiadomość do plastikowej koszulki, którą wzięłam ze szkolnej teczki Luke'a. Jednej z tych śliskich folii z dziurkami do segregatora. Mogą być niebezpieczne. Kiedyś poślizgnęłam się na jednej, bo leżała na podłodze, i boleśnie uderzyłam się w bark.

Ta ostatnia wiadomość przyszła tak jak poprzednie w zwykłej ciemnej kopercie z naklejką z adresem. Ta jednak jest jeszcze dziwniejsza, a groźba wydaje się ciut mniej zawoalowana. Znowu czarne tło, a na nim poprzyklejane litery. „KARMA. ZAPŁACISZ”. Początkowo uznałam ją za dziwną – nawiązanie do buddyzmu, jogi czy czegoś tam. Ale czy ten ruch religijny nie opiera się na dobroci, życzliwości i przebaczeniu? Ale potem sprawdziłam to w necie i przeczytałam, że niektórzy interpretują karmę jako swego rodzaju naturalną sprawiedliwość – złe konsekwencje za złe czyny – i zrobiło mi się zimno...

Muszę położyć temu kres.

– Sądziłam, że zajmuje się pan tego rodzaju sprawami. Że to coś w sam raz dla prywatnego detektywa. – Od razu żałuję nutki sarkazmu w moim głosie, ale jestem cała spięta. I nieco zdezorientowana. Nadal patrzę Matthew Hillowi prosto w oczy. Reklama jego usług czyniła wszystko takim prostym. „Prywatny detektyw, Exeter. Były policjant”. Zwięźle. Prosto. Wyobrażałam sobie to tak, że ja powiem, czego chcę, a on to robi. W taki właśnie sposób zarabia na życie. Tak jak ktoś przychodzi do mojej kwiaciarni. „Proszę o bukiet z okazji urodzin”, mówi, ja odpowiadam: „Oczywiście”.

– Proszę posłuchać. Śledzę tę sprawę. To nowy dowód. Dziewczyna jest zaginiona, a kiedy śledztwo trwa, mam taką zasadę, że nie...

– Proszę mi wierzyć, panie Hill, to nie jest dowód.

– A wie to pani, gdyż...?

Przez chwilę się waham, nie do końca pewna, ile powinnam wyjawić.

– Wiem, kto jest nadawcą – mówię w końcu. – Matka tej dziewczyny, Barbara Ballard. Jest na mnie bardzo zła. Nie. „Zła” to za mało powiedziane, zresztą któż ją może za to winić? Z całą pewnością nie ja. Sama to na siebie sprowadziłam. Kiedy przyszła pierwsza kartka, przyznaję, że rozważałam pójście na policję. Naprawdę

mną wstrząsnęła i nieźle nastraszyła. Mieliśmy sporo nieprzyjemności po tym, jak wyciekło moje nazwisko, i sądziłam, że to ciąg dalszy. Teraz jednak rozumiem, o co naprawdę chodzi. Dostałam trzy takie wiadomości i chcę jedynie, aby delikatnie ją pan ostrzegł, żeby przestała to robić. W przeciwnym razie o wszystkim dowie się mój mąż, a on będzie nalegał, aby poinformować policję. Nie chcę tego dla niej. Ma wystarczająco dużo zmartwień.

– Cóż, obawiam się, że w tym przypadku solidaryzuję się z pani mężem. Może się pani mylić.

– Ona przychodzi do mojej kwaciarni. To znaczy jak na razie dwa razy się tam zjawiała. Obserwuje mnie jedynie przez szybę. Nie wie, że o tym wiem.

– No dobrze. Kiedy to się zaczęło? – Wyraz jego twarzy ulega zmianie.

– Ta rozmowa jest poufna? Tak?

– Oczywiście.

– To dobrze, bo tego także nie zamierzam zgłosić. To tak naprawdę moja wina. I nie mam na myśli jedynie pociągu. Widzi pan, ja tam pojechałam, do Kornwalii, w zeszłe lato. Spotkać się z matką. Mąż mi to odradzał i okazało się, że miał rację. To było głupie z mojej strony. Teraz to widzę. Popełniałam błąd za błędem. Najgorszym, o czym na pewno pan wie, było to, że nie zadzwoniłam... nie ostrzegłam tej biednej rodziny.

– To nie pani zrobiła krzywdę tej dziewczynie, pani Longfield. Czy w tej sprawie nie pojawiło się dwóch mężczyzn? Główni podejrzani. Z okolic Exeter?

– Tak. Ale to akurat sprawia, że czuję się jeszcze gorzej, panie Hill.

– Matthew. Proszę mi mówić po imieniu.

– Matthew, mój mąż też to ciągle powtarza. Że to nie moja wina. Ale niestety wcale się lepiej dzięki temu nie czuję. I nie mogę znieść myśli, że wciąż jej nie odnaleziono.

Z sąsiedniego pomieszczenia dobiega nagle odgłos syczenia. Oglądam się na drzwi do gabinetu, które pozostają uchylone, a Matthew Hill raptownie wstaje. Jego twarz wydaje się łagodniejsza niż jeszcze przed chwilą.

– Coś pani powiem. Napije się pani kawy, pani Longfield? Parzę całkiem przyzwoite cappuccino.

– Ella. I tak, chętnie. Pachnie, jakby znał się pan na rzeczy. – Nieco się rozluźniam. – Jestem miłośniczką dobrej kawy.

– Ekspres ciśnieniowy. Importowana ziarnista kawa, moja własna mieszanka. To moja słabość.

– Moja także. – Biorę głęboki oddech. – Przepraszam, że wcześniej byłam taka nastroszona. Ta wizyta kosztowała mnie sporo nerwów.

– Tak jak większość ludzi. – Mężczyzna znika za drzwiami, zapewne w przylegającym do gabinetu mieszkaniu. Nie ma go dłużej chwilę, w końcu

wraca z tacą, na której stoją dwie kawy i dzbanuszek ze spienionym mlekiem. Kiwam głową, kiedy pyta, czy piję z mlekiem.

– A zatem opowiedz mi więcej o matce. O twojej wizycie w Kornwalii. Wszystko. Niczego przede mną nie ukrywaj.

– Dobrze. Nie wiem, na ile znasz tę sprawę, ale zrobiło się potworne zamieszanie, kiedy prasa się dowiedziała, że to ja jestem tym świadkiem z pociągu. Krajowe gazety strasznie się tym podekscytowały. Przesłały swoich dziennikarzy. Nagłówki o dylemacie moralnym. „Co ty byś zrobił?” i tym podobne.

– Tak. Widziałem te artykuły. – Nachyla się na fotelu i przełyka kawę.

– Bardzo to wszystko nieprzyjemne. Mam kwiaciarnię. Zrobiło się tak okropnie, że na miesiąc musieliśmy ją zamknąć. Także nasze konta na portalach społecznościowych. Nie byłam w stanie tego znieść. Przyjaciele wykazali się wielkim zrozumieniem, ale niektórzy ludzie zachowywali się nieco dziwnie. Nawet regularni klienci. Widziałam to w ich spojrzeniach.

– Przykro mi. Lekceważy się wagę następstw takich wydarzeń. Ludzie potrafią być bardzo przykryzy.

– Tak. Tony, mój mąż, strasznie się zezłościł. Jak już mówiłam, jest bardzo opiekuńczy. Choć na co dzień to uosobienie łagodności, wtedy był wściekły, że wyciekło moje nazwisko.

– W jaki konkretnie sposób do tego doszło?

– W tej kwestii nie mamy tak do końca pewności. Brałam udział w konferencji florystycznej w południowym Londynie. Szkolenie i modele biznesu. Oficjalnie policja utrzymuje, że prasa po prostu miała fart i dopasowała do siebie fragmenty układanki, namierzając mnie jako jedną z zaledwie dwóch osób z Devon, które brały udział w tej konferencji. Ale Tony podejrzewa celowy przeciek w celu zwiększenia zainteresowania prasy tą sprawą. – Matthew się krzywi. – Myślisz, że to możliwe? – pytam.

– Wydaje się to wysoce nieprawdopodobne. Nie chciano by cię narazić na niebezpieczeństwo.

– Niebezpieczeństwo? Więc rzeczywiście uważasz, że może mi teraz grozić niebezpieczeństwo?

– Przepraszam. Nie zamierzałem potęgować twojego niepokoju. Przecież nie jesteś jedyną osobą, która mogłaby zidentyfikować tych mężczyzn. Nie. Naprawdę jestem zdania, że to raczej nie był zamierzony przeciek. Przypadkowy... a to co innego.

– Tak czy inaczej, wszyscy teraz wiedzą. To ja jestem tą kobietą z pociągu, która nic nie zrobiła.

– Ciężko ci z tym, prawda?

– Tak. Ale to nic w porównaniu z tym, przez co przechodzi ta rodzina.

– Czemu więc tam pojechałaś? Do Kornwalii?

Wzdycham, odstawiam kawę i chowam twarz w dłoniach.

– Głupie to było z mojej strony, wiem. Ale kiedy ją zobaczyłam, panią Ballard, pod moją kwiaciarnią... Rozpoznałam ją ze zdjęć w prasie. Sporo ich zamieszczano w lokalnych gazetach. W każdym razie przyprawiło mnie to o gęsią skórę, a kiedy się nad tym zastanowiłam, doszłam do wniosku, że lepiej będzie spróbować z nią porozmawiać. Wbiłam sobie do głowy, że jeśli powiem jej osobiście, jak bardzo, ale to bardzo jest mi przykro i że rozumiem jej prawo do gniewu... jeśli ona zobaczy, że także jestem matką i jak potwornie się czuję z powodu jej bólu... – Mina Matthew mówi sama za siebie. – Tak. Wiem. Głupie z mojej strony.

– Zareagowała raczej kiepsko?

– Mało powiedziane. Wpadła w furję. Oczywiście teraz to widzę. Że zachowałam się egoistycznie. Ubzdurałam sobie, że jeśli zobaczy we mnie przyzwoitego człowieka i zrozumie, jak bardzo żałuję...

– Był tam ktoś jeszcze?

– Nie. Tylko my dwie. Zabrałam ze sobą kwiaty. Bukiet pierwiosnków, o których przeczytałam, że to ulubione kwiaty Anny. Teraz sędzę, że pewnie one przelały czarę. Jeszcze bardziej wszystko zaogniły. Pani Ballard wpadła w histerię. Oświadczyła, że ma dosyć kwiatów, a ja nie mam prawa. Dostaje wiązanek, jakby jej córka była martwa. W co ona nie wierzy.

Matthew dolewa do swojej kawy spienione mleko i proponuje mi to samo, ale ja kręcę głową.

– Myślisz, że to możliwe? Że ta dziewczyna żyje? – pytam po chwili.

Matthew zaciska usta.

– To możliwe, aczkolwiek mało prawdopodobne.

– Tak też uważamy. Ja i Tony. – Na chwilę milknę. Żałuję, że nie ma we mnie więcej nadziei. Myślę o niedawnym programie w telewizji, po niektórych odcinkach udawało się nawet po latach odnaleźć zaginione dziewczyny. Próbuję sobie wyobrazić Annę wyłaniającą się z piwnicy albo jakiejś innej kryjówki z policyjnym kocem wokół ramion, ale nie potrafię. Kaszlę, odwracam wzrok w stronę regału z segregatorami, po czym ponownie biorę do ręki filiżankę z kawą.

– No ale nieważne. W Kornwalii było okropnie. Próbowałam odejść. Przepraszałam za najście, ale ona straciła panowanie nad sobą.

– W sensie fizycznym?

– Nie była sobą.

– Zrobiła ci krzywdę, Ello? Jeśli tak, jeśli jest wybuchowa, to naprawdę powinnaś się z tym udać na policję. Powinni się o tym dowiedzieć.

– Ona nie chciała. Szarpanina na schodach przed domem. Raczej wypadek niż

cokolwiek innego. Jedynie parę siniaków na moim ramieniu. – Matthew kręci głową. – Na litość boską, to moja wina. Ona nie jest agresywna. Nie zrobiła tego rozmyślnie i niepotrzebnie w ogóle tam pojechałam. Sprowokowałam ją. Niemniej trochę mną to wstrząsnęło. To znaczy wiedziałam, że obarcza mnie winą, i chciałam spróbować to naprawić. Ale rozmiar jej nienawiści... jej oczy...

– I dlatego uważasz, że te kartki są od niej.

– A ty nie?

Wzrusza ramionami i przechyla głowę.

– Szkoda, że nie zachowałaś wszystkich.

– Przepraszam. Nie chciałam, żeby mój mąż się martwił. W pracy szykuje się na awans i ma wystarczająco dużo na głowie. Proszę posłuchać, panie Hill. To znaczy Matthew. Jeśli nie podejmiesz się tego zlecenia, spalę je. Na pewno nie zaniosę tych kartek na policję. – Matthew uważnie przygląda się mojej twarzy. – Chciałabym, żebyś ją odwiedził. Jesteś osobą neutralną i masz doświadczenie w tego typu sprawach. Mam nadzieję, że uda ci się położyć temu kres bez dalszego denerwowania zranionej matki. Delikatnie ją ostrzeż, ale bez angażowania policji i pogarszania całej tej sytuacji.

– A co, jeśli się mylisz i to nie ona? Nie matka, która bywa nieco porywcza?

– Cóż, wtedy przemyślę wszystko. I pewnie posłucham twojej rady.

– Dobrze. Zatem zawieramy umowę, Ello? Złożę pani Ballard wizytę, aby zbadać sytuację, a jeśli nadal nie będę miał pewności, ty rozważysz pójście z tym na policję.

– Chyba nie uważasz, że to może mieć związek z prowadzonym śledztwem?

– Szczerze? Prawdopodobnie nie. Jeśli to nie ona, zapewne stoi za tym jakaś ofiara losu. Ale policja powinna o tym wiedzieć.

– Jednak decyzja nadal należy do mnie?

– Okej. Porozmawiamy po moim przyjeździe z Kornwalii. – Marszczy czoło i wstaje, mrużąc oczy. – Zakładam, że słyszałaś najnowsze wieści, Ello? Z dzisiejszego ranka?

– Słucham?

– Rano podano w lokalnej stacji radiowej nowe informacje. Po apelu rocznicowym.

– Nie. Co to za wiadomości? Co się stało?

Matthew znowu się krzywi.

– Oczywiście nie ujawniono nazwiska, ale zakładam, że chodzi o tę drugą dziewczynę z pociągu. Przyjaciółkę.

– Sarah. Ma na imię Sarah. Co masz na myśli? Co się stało z Sarah?

Udaje, że śpi, znowu, tyle że tym razem jest to o wiele trudniejsze. Musi sobie radzić nie tylko z mamą, ale i pielęgniarkami.

– No już, Sarah. Musisz się choć trochę napić. – Pielęgniarka delikatnie dotyka jej dłoni.

„Odejdź. Odejdź”.

– Czemu nie może po prostu dostać kroplówki? – Jej matka przez większą część nocy gdakała, płakała i robiła zamieszanie przy jej łóżku. – Strasznie wygląda. Nie może siedzieć.

– Proszę mi wierzyć, lepiej dla Sarah, żeby zachowała przytomność i sama się trochę napiła.

Znajdują się na OIN i Sarah już wie, że to skrót od Oddziału Intensywnego Nadzoru. Od kilku godzin ma również świadomość tego, co się wokół niej dzieje, ale kręci jej się w głowie i jest jak odrętwiała.

Chcą wiedzieć, ile dokładnie wzięła tabletek. Ciągłe o to pytają. Wie to z rozmów pomiędzy personelem medycznym a jej matką. Podobno przeprowadzane są już testy mające określić tę liczbę, ale trzeba na to czasu, a byłoby łatwiej, jak wszyscy tłumaczą, gdyby Sarah im to po prostu powiedziała.

Pielęgniarki próbują nakłonić jej matkę do zdrzemnięcia się w pokoju dla rodzin i Sarah tak bardzo by chciała, żeby się zgodziła. Jest zbyt zmęczona i oszołomiona, żeby mieć wyrzuty sumienia. Ma serdecznie dość wyrzutów sumienia; jedyne, czego pragnie, to żeby wszyscy dali jej święty spokój.

Jej matka mówi właśnie pielęgniarkom, że po raz ostatni były w szpitalu z powodu ataku astmy, który Sarah miała w szkole podstawowej. Rodzicom wolno było się zdrzemnąć w pokoju zabaw znajdującym się na oddziale pediatrycznym. Spali na materacach na podłodze, niektórzy opiekunowie dysponowali rozkładanymi łózkami.

Tym razem nie ma materaca ani łóżka. Margaret spędziła noc niczym duch, co kilka godzin wstając, żeby rozprostować kości, krążąc między zielonym, plastikowym krzesłem przy łóżku Sarah a zamkniętą na noc stołówką, gdzie w automatach można kupić ohydny kawę i przekąski.

Sarah już mniej wymiotuje. Nadal w ogóle się nie odzywa.

„Ile tabletek, Sarah. Musimy to wiedzieć”.

– W domu nie mam wielu leków. Paracetamol. Maksymalnie dwa opakowania. – Matka Sarah powtarza to personelowi po raz enty.

Prawda? Sarah nie pamięta, ile połknęła tabletek. Trochę kupiła w sklepie na

rogu, a trochę w supermarkecie – przez te głupie przepisy ograniczające liczbę opakowań, jaką można nabyć w jednym miejscu. To przez tę myśl o telewizyjnej rekonstrukcji. Apelu do nowych świadków. Tę głupią cipę z pociągu.

Bez końca powtarzała policji i swoim rodzicom, że to wszystko jest stekiem kłamstw. Seks w toalecie? Z nieznajomym? Za kogo oni ją uważali? Jak śmieli!

Ale później Sarah wpadła w panikę. A jeśli dzięki programowi w telewizji zgłosi się więcej świadków? Sprawa zaginięcia Anny zdążyła przez rok ucichnąć. Oczywiście chciała, aby ludzie pomogli policji; oczywiście chciała, aby odnaleziono Annę. Nie chciała jedynie, by ktoś poznał prawdę dotyczącą jej udziału w tym wszystkim. Tylko nie to. Błagam, tylko nie...

– Myśli pani, że powinniśmy ponownie wezwać lekarza? Może jakiegoś konsultanta? Poznać jego opinię?

– Postępujemy zgodnie z instrukcjami lekarza. Proszę się nie martwić. Sarah przestała wymiotować i najlepiej by było, gdyby udało się ją nakłonić do przyjęcia płynów. Proszę mi wierzyć, to dla niej najlepsze. Wtedy dopiero będzie można ocenić, gdzie jesteśmy.

– A co to znaczy „gdzie jesteśmy”? – Matka Sarah jest wyraźnie poruszona.

– Przymknijcie się. – Sarah nie może się powstrzymać. Choć jej głos to zaledwie szept. – Przymknijcie się, dobrze? Wszyscy.

– No i proszę. Zuch dziewczyna. W takim razie spróbuj otworzyć oczy, a potem sprawdzimy, czy uda nam się ciebie posadzić, dobrze? Niedługo powinny nadejść wyniki testu. Bardzo by jednak pomogło, gdybyś...

– Nie wiem, ile wzięłam. W porządku? Nie wiem.

– Myślę, że powinniśmy dać jej spokój. Proszę. – Margaret zaczyna płakać, a Sarah czuje, że z jej oczu także płyną łzy. Tak bardzo by chciała, aby Lily tu teraz była, ale nie może powiedzieć tego mamie. Kolejny zakazany temat.

– Przepraszam...

– Nie masz za co przepraszać, skarbie. Będzie dobrze. Wszystko będzie dobrze. Obiecuję. Wszyscy cię pozdrawiają. Rodzice Anny. Jenny i Paul, i Tim, i wszyscy. Pragną jedynie, żebyś wydobrzała.

Sarah zamyka oczy. To nieprawda. Prawda jest taka, że obarczają ją winą. Tak przecież powiedzieli.

W wieczór poprzedzający ten przekłęty program w telewizji spotkali się, rzekomo dla zapewnienia wsparcia moralnego, ale wszystko się pochrzaniło. Do tego stopnia, że skończyło się głośną pyskówką. Chłopcy się naprawdę wkurzyli. Jenny płakała.

Chodziło o to, że mieli jechać do Londynu wszyscy. Cała piątka. Anna i Sarah po to, aby świętować zdane egzaminy, a starsi dla zabawy. Ale skończyło się na planach.

Kiedy byli mali, ich relacje wyglądały inaczej. Różnica wieku zdawała się nie mieć wtedy znaczenia. Jenny i chłopcy byli o dwie klasy wyżej – i co z tego? No ale potem, w liceum, kiedy ci starsi zaczęli dorywczo pracować, wszystko się zmieniło. Mieli nagle więcej pieniędzy. Chcieli robić coś innego i zaczęli się wyłamywać.

Sarah nie znosiła zmian, a jeszcze bardziej ludzi wypinających się na wcześniejsze ustalenia, i w kłótni wyrzuciła to wszystko z siebie.

„Gdybyście nie okazali się takimi egoistami. Nie zmienili planów. Może nie musiałabym wtedy sama opiekować się Anną w Londynie”.

Paul wymiksował się z wycieczki jako pierwszy. Okazja spędzenia tygodnia w Grecji. Wyjazd z rodzicami do willi z basenem. Drugi zrejterował Tim. Zagorzały fan wycieczek górskich. Otrzymał propozycję trekkingu w Szkocji i chciał się przy okazji wybrać do muzeum potwora z Loch Ness. Zresztą nie uśmiechała mu się myśl o byciu jednym facetem podczas babskiego wyjazdu. A potem Jenny postanowiła wybrać się na koncert ze swoim ówczesnym chłopakiem. Zostały tylko Sarah i Anna.

„Mimo wszystko powinnaś była się nią opiekować”. Obaj chłopcy byli wściekli. „Nie rozumiemy, jak mogłyście się rozdzielić...”

Na dokładkę Jenny zaczęła się zastanawiać, dlaczego odpuściły sobie swój zwyczajowy pakt. Pilnowanie siebie nawzajem. „Przecież to był Londyn, na miłość boską...”

Sarah pragnęła, żeby wszyscy zamknęli się w cholere. Zresztą czemu to od niej oczekiwano opieki nad Anną? Czemu nie obowiązywało to w drugą stronę? Dlatego że Sarah mieszkała na osiedlu i w związku z tym powinna być bardziej cwana? Dlatego że Anna zachowywała się czasem jak księżniczka? O to właśnie chodziło?

Oczywiście, że miały swój pakt.

„To Anna go złamała”, wykrzyczała im. Wszystkim. Timowi z egoistyczną wycieczką trekkingową. Paulowi z elegancką willą. Jenny z jej koncertem. Splunęła na nich tym kłamstwem, tak samo jak zrobiła to w przypadku policji.

„Umówiliśmy się, że spotkamy się w barze o drugiej i pojedziemy taksówką do hotelu. To ona się nie zjawiła...”

„Anna złamała pakt. Okej? Anna się nie pojawiła...”

„Mówiłam. Mówiłam. Mówiłam...”

Mama próbowała ją uspokoić w kwestii tego programu w telewizji. Kobiecie z pociągu nie będzie wolno rzucać fałszywych oskarżeń. Nie w telewizji. To przecież oszczerstwa. Ta kobieta to z całą pewnością jakaś dziwaczka.

Ale Sarah skamieniała ze strachu. A jeśli pojawili się inni świadkowie? Z pociągu albo z klubu.

Przypomina jej się reakcja ojca w hotelu Paradise w Londynie. Początkowo w ogóle nie chciała z nim rozmawiać. Kilka lat temu zostawił rodzinę i nie życzyła sobie żadnego kontaktu z nim. Ale jej matka nalegała na jego obecność. Wpadł w szal, kiedy tamten detektyw powtórzył słowa świadka.

„Nazywacie moją córkę zdzirą?”

Tak więc Sarah siedziała w domu przed programem, przerażona tym, co może się stać. Miała iść do Jenny. Na farmę. Cała paczka przyjaciół razem. Ale wtedy przez głowę zaczęły jej przepływać te wszystkie obrazy.

Klub. Niepokój towarzyszący spojrzeniu na zegarek...

Kłótnia z Anną. „Nie zachowuj się jak małe dziecko...”

Problem z niepowiedzeniem policji całej prawdy był taki, że czasami, rok później, nie pamiętała dokładnie, co powiedziała, a czego nie. Potwornie się bała, że powinie jej się noga i powie coś niewłaściwego.

Tak więc zabrała do łazienki tabletki i oświadczyła, że potrzebuje kąpieli. To nie tak, że podjęła świadomą decyzję, że chce się zabić. Nic równie dramatycznego, nic czarnego czy białego. Chciała jedynie powstrzymać uczucie paniki, oczekiwanie na emisję programu. Niepewność dotyczącą tego, ile się dowiedzą. Pragnęła tylko, żeby to wszystko się skończyło...

Teraz, kiedy pielęgniarka pomaga jej usiąść, wsuwając poduszki pod plecy, obok jej łóżka pojawia się ktoś nowy. Pielęgniarka w uniformie w innym kolorze. Jest starsza, wygląda na wyższą rangą, mówi coś do matki Sarah. Złowieszcze szept. Coś o teście...

- Nie chciałabym pani straszyć, ale lekarz chciałby z panią porozmawiać.
- Co się stało?
- Najlepiej, jeśli pójdzie pani ze mną, pani Headley.

W drodze do Kornwalii Matthew dwa razy dzwoni do domu.

– To tylko skurcze Braxtona Hicksa, Matt. Zadzwoń, jeśli coś się zmieni. Na razie nic się nie dzieje.

– Mogę zawrócić. Zostać w domu, jeśli chcesz. Jeśli choć trochę się martwisz.

– Nic mi nie jest.

Sally jest w ósmym miesiącu ciąży i upiera się, że skurcze przepowiadające to nic, czym należałoby się przejmować. Że to coś najzupełniej normalnego. Ale dla Matthew nic już nie jest normalne. Wszystko stało się niepokojąco anormalne od czasu tego surrealistycznego doświadczenia, jakim się okazały zajęcia w szkole rodzenia. Dobry Boże, czemu koledzy go nie ostrzegli?

– Jesteś pewna, Sal, że nie wolałabyś cesarki? Niektórzy twierdzą, że to znacznie bezpieczniejszy poród. I w obecnych czasach żaden wstyd.

– Strach cię obleciał, Matt? Przykro mi, ale nie jestem zbyt wytworna, żeby przeczyć. Zresztą trochę już za późno na strach.

Ta wypowiedziana szeptem rozmowa miała miejsce, kiedy Sal siedziała na macie do jogi w szarych spodniach dresowych i czarnym T-shircie, a Matt zgodnie z instrukcjami masował jej plecy, myśląc o tym, jak uroczo, ale i ciut niedorzecznie wygląda jego żona. Z tyłu prezentowała się normalnie, szczupło... tylko ten balon pod koszulką.

Sal stała się obiektem zazdrości wszystkich uczestniczek zajęć. „Jak to możliwe, że nie jesteś cała napuchnięta?” Pokazywały jej spuchnięte kostki i nogi, szczypały się w warstewkę tłuszczu na plecach i rękach.

„Licho wie czemu. Jem jak koń”.

To prawda. Matthew nigdy dotąd nie widział, aby jego żona pochłaniała tyle jedzenia. Kanapki z paluszkami rybnymi późnym wieczorem, do tego majonez i plasterki korniszonów. Obecnie jej bąki miały iście zatrważającą woń.

„Pieprz się, Matt. Ja nie pierdzę. Jestem ciężarną boginią”.

Matthew po raz kolejny sprawdza telefon i się uśmiecha. Prawda jest taka, że obecnie Sal pierdzi nawet przez sen.

Widzi na wyświetlaczu, że sygnał jest bardzo dobry. Brak wiadomości. Może powinien zadzwonić raz jeszcze?

Nie. „Uspokój się, stary”. Podczas drugiego telefonu zaczynała się już trochę denerwować. Wszystko będzie dobrze. Już niedługo.

Matthew zerka na nawigację – do farmy Ballardów został niecały kilometr – i zjeżdża do zatoczki. Mel powinna być teraz w pracy. To dobrze.

Nadinspektor Melanie Sanders – przy odrobinie szczęścia wkrótce komisarz Melanie Sanders – to jego najlepsza koleżanka z policji. Był taki czas, jakiś milion lat temu, kiedy trochę się w niej durzył; liczył na coś więcej. Ale to stare dzieje. Opowiedział o tym Sal, chciał być stuprocentowo szczery.

Nieprawda. Nie był stuprocentowo szczery. Nie powiedział jej, że kiedy rozmawia z Mel, nadal ma to lekko dziwne uczucie w żołądku. Nie pożądanie. To już dawno minęło. Jedynie uczucie przypominające mu o zupełnie innych czasach, o innej wersji siebie.

Minęły trzy lata, odkąd Matthew nie pracuje w policji, i niechętnie przyznaje, że jeszcze się nie przyzwyczaił do tej zmiany.

Wciska guzik łączący jego telefon z deską rozdzielczą, po czym wysłuchuje sygnałów.

– Nadinspektor Melanie Sanders.

– Ile kaw dziś wypijaś?

– Matt?

– Rozłączę się i zadzwonię później, jeśli nie zażyłaś jeszcze drugiej dawki kofeiny.

Śmieje się.

– Oby to nie była kolejna prośba o przysługę.

– Oczywiście, że tak. Ale tym razem może to pójść w obie strony. Obiecuję.

– Och, zawsze idzie w obie strony, Matt. Ja pomagam tobie. A potem znowu ci pomagam.

Teraz to on się śmieje.

– Poważnie. Jesteś na bieżąco ze sprawą tej zaginionej Ballardówny?

– Mniej więcej. Cathy z naszego zespołu odpowiada za kontakty z rodziną. Otrzymujemy aktualne informacje z Londynu, oczywiście, kiedy im się chce. Czyli nieczęsto. Tak między nami, komisarz zajmujący się tą sprawą to zarozumiały palant. Czemu pytasz?

– Wiesz, czy podejrzewa się o coś rodzinę? Matka i ojciec są czyści?

– A czemu miałyś chcieć to wiedzieć?

– Bez powodu.

– Lepiej nie wtrącaj się znowu do toczącego się śledztwa, Matt. Wszyscy wiemy, dokąd...

– Nic się nie martw. Jeśli będę miał coś dla ciebie, przyrzekam, przysięgam i...

– Daję słowo harcerza.

– Znasz mnie.

Oboje przez chwilę milczą.

Za każdym razem, kiedy w taki sposób ze sobą współpracują, Melanie próbuje nakłonić go do przemyślenia powrotu do policji. Dla niej coś takiego nadal

wchodzi w grę i zapewnia, że kiedy tylko awansuje, pomoże mu w tym. Ale Matt zawsze obraca jej słowa w żart i w końcu dochodzą do milczącego impasu. Ona uważa, że on marnuje swój talent. A on boi się o tym zbyt dużo myśleć.

– Okej. Nie słyszałeś tego ode mnie, Matt, ale podobno w małżeństwie rodziców zaginionej nie dzieje się najlepiej. Trudno się zresztą temu dziwić. Cała rodzina ma alibi. Musimy jedynie mieć ich na oku. Komisarz prowadzący sprawę – wspominałam, że to protekcyjny dupek? Zresztą nieważne – nadal skupia się na odnalezieniu dwóch mężczyzn z pociągu. Tak między nami, doszło do zwyczajowych kontaktów z naszymi europejskimi przyjaciółmi.

– Więc przebywają za granicą?

– Niemal na pewno. Nie ma jednak żadnych konkretnych tropów. Żadnych śladów i nic przydatnego z kamer. Ci z metropolitarnej są nieco drażliwi. I powolni, jeśli chodzi o kontrolę na granicach. Ale rocznicowy apel podobno zaowocował kilkoma telefonami. Niewiele nam się mówi, postaram się ponaciskać. Liczę, że niedługo dowiem się więcej. Czemu o to pytasz?

– Bez powodu. Słuchaj, musimy jakoś niedługo wyskoczyć razem na kawę. Napiszę.

– Więc rzeczywiście znowu się wtrącasz w otwartą sprawę?

– *Moi?*

Śmieje się.

– Okej. Zanim się rozłączysz, powiedz mi jeszcze, jak się czuje Sal.

– Pierdzi korniszonami. Uwierz mi, ciężka to śmierdząca sprawa. A tak na poważnie to świetnie sobie radzi. Jest śliczna i pogodna jak zawsze, ale te korniszony są dobijające. Niedługo napiszę w sprawie tej kawy.

Melanie nadal się śmieje, kiedy on się rozłącza. Matthew raz jeszcze zerka na godzinę.

Dom Ballardów stoi na samym końcu osiemsetmetrowej drogi. Umieszczono na niej dziwne, betonowe płyty w kolorze piasku i Matthew się zastanawia, co, u licha, ma zrobić, jeśli z naprzeciwka nadjedzie inny pojazd. Na całym odcinku znajdują się tylko dwa miejsca na mijankę. Matthew lubi swój samochód i oczami wyobraźni widzi szkody, do jakich mogłoby dojść, gdyby koła ześlizgnęły się z betonu.

W końcu dojeżdża do domu. Budynek robi imponujące wrażenie: od frontu cały porasta jakieś pnącze i choć Matt nie zna się na ogrodnictwie i nie rozpoznaje, co to za roślina, jest przekonany, że w sezonie wygląda to naprawdę olśniewająco. Droga dojazdowa przed domem przechodzi w szeroki podjazd z miejscem do zawracania. Od domu druga droga prowadzi w stronę widocznych w oddali budynków gospodarczych. Matthew parkuje pod drzewem na wprost drzwi wejściowych, po czym wkłada klucze do kieszeni. Nie ma tu potrzeby zamykania samochodu.

Drzwi na szczęście otwiera pani Ballard. Staje przed nim w kwiecistym fartuchu, cóż za stereotyp. Matthew natychmiast dopadają wyrzuty sumienia i zmusza się, aby spojrzeć jej w oczy.

– Jeśli jest pan dziennikarzem, nie mamy nic do powiedzenia aż do czuwania.

– Nie jestem dziennikarzem. Możemy porozmawiać w środku, pani Ballard?

Czasem to działa. Pewność siebie i oficjalny ton. Tak jakby miał do tego prawo.

– A pan to...?

Nie zawsze.

– Jestem prywatnym detektywem, pani Ballard, zajmuję się kwestiami związanymi z zaginięciem pani córki.

Wyraz jej twarzy ulega zmianie. Od ostrożności poprzez zdziwienie do nowej nadziei tak nieuzasadnionej, że Matthew znowu czuje wyrzuty sumienia.

– Nie rozumiem. Prywatny detektyw... Dlaczego jest pan w to zaangażowany?

– Byłoby lepiej, gdybyśmy rozmawiali w środku. Proszę.

Stoją zakłopotani w korytarzu i Matthew zerka na wazon z kwiatami – na wąskim stoliku pod dużym lustrem tłoczą się aż cztery.

– Wolalabym, żeby ludzie ich nie przysyłali. Kwiatów. Ale chcą dobrze. Odbędzie się czuwanie przy świecach z okazji rocznicy... – Odkasłuje. – No dobrze, nie do końca rozumiem, panie...

– Hill. Matthew Hill.

– Prowadzi pan prywatne śledztwo w sprawie zaginięcia mojej córki? Ale dlaczego? Pracuje nad tym cały zespół w Londynie. Dzwonił do pana mój mąż?

– Nie, pani Ballard. Skontaktowała się ze mną inna osoba mająca związek z tym śledztwem, która otrzymuje nieprzyjemne przesyłki. A ja próbuję jedynie pomóc to zatrzymać, tak żeby wszystkie środki skierować tam, gdzie są najbardziej potrzebne. Czyli do poszukiwań pani córki.

– Nieprzyjemne przesyłki?

– Czy moglibyśmy na chwilę usiąść?

Kobieta nieruchomieje, najwyraźniej zastanawiając się nad jego słowami. W końcu prowadzi go do kuchni. Kolejny stereotyp: z wielką, niebieską kuchenką AGA, na której suszą się skarpetki. Pani Ballard sprawia teraz wrażenie nieco bardziej zdenerwowanej, spleta i rozplata złożone na kolanach dłonie. Nie proponuje nic do picia.

– Zakładam, że pani nie otrzymuje żadnych nieprzyjemnych przesyłek?

– Nie. W żadnym razie. Dostałam wiele miłych listów od nieznanomych. Co prawda także kilka dziwnych, ale nie takich, żeby stanowiło to problem. Wszystkie pokazujemy funkcjonariuszce odpowiadającej za kontakty z rodziną, Cathy. Pozostajemy w stałym kontakcie. Ktoś otrzymuje nieprzyjemne listy? Mam nadzieję, że nie Sarah. Wie pan, że jest w szpitalu?

– Towarzyszka pani córki z tamtego wyjazdu?

– Tak. Byłam tam dziś rano. W szpitalu. Czekają na wyniki testów. To potworne. Potworne. Jej matka jest cała w nerwach. Zresztą jak my wszyscy. Jakby za mało było tego wszystkiego. A więc o to chodzi? Niemile listy do Sarah?

– Nie, nie do niej. – Matthew patrzy Barbarze Ballard w oczy, szukając w nich zakłopotania. Ale nie znajduje go. Kobieta nie odwraca wzroku. W jej oczach widnieje jedynie udręka.

– Wiem, że to będzie dla pani trudne, pani Ballard. Ale te przesyłki... są wysyłane do świadka z pociągu. Do Elli Longfield.

– Och. – Jej postawa od razu się zmienia, ton głosu także. – Do tej kobiety.

– Tak. Wiem od pani Longfield, jaki ma pani do niej stosunek, i zapewniam panią, że gdy poruszam tę kwestię, moim celem nie jest przysparzanie pani bólu. Ale Ella bardzo chce spróbować położyć kres tym przesyłkom bez angażowania policji. Nie chce, aby coś odwracało uwagę funkcjonariuszy od tego, co najważniejsze: znalezienia Anny.

– Trochę już na to za późno.

– Przykro mi.

Wzrusza ramionami. Patrzy teraz na niego bardziej wyzywająco.

– Proszę posłuchać. Rozumiem, że musi to być bardzo, bardzo trudne, pani Ballard. Ale sam pracowałem kiedyś w policji. To dobrzy ludzie, wykonujący swoją pracę najlepiej, jak potrafią. Do tego ten apel rocznicowy. Emisja w telewizji zazwyczaj okazuje się pomocna w...

Nie połyka haczyka.

– Te listy... pewnie najlepiej będzie, jeśli porozmawia pan z moim mężem. – Wstaje. – Nie zawsze słyszy komórkę i sygnał nie zawsze jest dobry, ale jeśli pan chce, mogę spróbować do niego zadzwonić.

– Nie ma potrzeby mu przeszkadzać. Więc nie przychodzi pani do głowy nikt, kto mógłby wysłać coś takiego pani Longfield? Ktoś z kręgu, kto jest szczególnie wytracony z równowagi. Kto gniewnie się wypowiada o jej udziale...

– Wszyscy są wytracony z równowagi, panie Hill. Mojej córki nadal nie odnaleziono. Jutro odbędzie się czuwanie. A teraz proszę wybaczyć. – Poniewczasie bierze się w garść, kiedy wyraźnie do niej dociera, że w ogóle nie musi z nim rozmawiać.

Matthew wie z doświadczenia, że coś takiego zazwyczaj szybko przeradza się w gniew.

Podaje jej wizytówkę. Barbara bierze ją, przez chwilę się waha, po czym chowa ją do kieszeni fartucha.

– Mówił pan policji o tych listach? – Pani Ballard nadal patrzy mu prosto w oczy.

– Czemu pani pyta?

Nie odpowiada.

– Cóż, jeśli dowie się pani o czymś, co uzna pani za mające związek z tą sprawą, zadzwoni pani, tak?

Kiwa głową.

– Jeśli przesyłki nadal będą przychodzić, pani Longfield będzie musiała zgłosić to na policję. A nie tak chciałaby to załatwić. Uważa, że wszyscy wystarczająco wiele musieliście już przejść.

– Czyżby?

Matthew zaciska usta i kiwa głową na pożegnanie. Czuje na sobie wzrok pani Ballard, kiedy uruchamia silnik i zawraca, po czym raz jeszcze wjeżdża na niemożliwie wąską drogę.

Sprawdza telefon. Żadnej wiadomości od Sal. Nakazuje sobie nie odwracać się. Zachować przewagę. Jedzie ostrożnie i bardzo się stara wymazać z pamięci wyraz oczu Barbary Ballard.

Henry widzi podjeżdżający pod dom samochód, kiedy dogląda owiec pasących się na najwyższej położonej łące. Potwornie tu wieje, więc zapina kurtkę aż po samą szyję, nie odrywając wzroku od widocznego w dole domu.

Ta część farmy pod względem logistycznym stanowi problem. Można się tu dostać jedynie quadem, a Henry'ego i quad łączy dosyć trudna relacja. Niemal z niego spadł więcej razy, niż przyzna się Barbarze. Raz na najbardziej stromym odcinku naprawdę sądził, że to cholera się wywróci. Tylko dwa koła stykały się z podłożem. Było tak, jak mówią. Przed oczami przeleciało mu całe życie, zastanawiał się, jak sobie wszyscy poradzą, kiedy jego już nie będzie.

Ponownie w jego głowie rozlega się echo. Głos Anny.

„Brzydę się tobą...”

Tamten dzień z quadem napędził mu tak wielkiego stracha, że od razu po powrocie do domu Henry udał się do gabinetu i przez telefon zwiększył kwotę swojego ubezpieczenia na życie. Doprowadziło to do potwornej kłótni z Barbarą.

„Nie stać nas na wyższe ubezpieczenie, Henry. Zresztą dlaczego to robisz? Nie zachowuj się, jakby miało się stać coś tak makabrycznego”.

Obiecał, że anuluje podwyższenie stawki, natomiast w duchu się zastanawiał, czy nie powinien raz jeszcze rozważyć propozycji właścicieli sąsiedniej farmy dotyczącej przejęcia tych niedogodnych łąk, które dla nich akurat nie stanowiłyby takiego problemu. Ale to także kwestia dumy. Wciąż próbował udawać, że jest pełnoprawnym farmerem, a nie tylko przedsiębiorcą świadczącym usługi w branży turystycznej.

Nie, Henry postanowił, że nie wydzierżawi ani nie sprzeda więcej ziemi, na pozyskanie której jego ojciec i dziadek tak ciężko pracowali. I co z tego, jeśli na papierze bardziej się opłaca działalność turystyczna? Letnie domy do wynajęcia. Kemping. On w głębi duszy nadal jest farmerem. Myśli o swoich nowych owcach i bydło, ale także o podwyższonej kwocie ubezpieczenia na życie.

Patrzy teraz, jak samochód odjeżdża. Kierowca wyraźnie się stresuje wąską drogą dojazdową. Nie rozpoznał tego mężczyzny. Wysoki i szczupły, ale znajdował się zdecydowanie za daleko, żeby widzieć jego twarz. Przez chwilę Henry się zastanawia, czy to nie policja, i doświadcza znajomego przypływu adrenaliny.

Minął rok i w przeciwieństwie do żony on nie czeka już na to, że ich córka odnajdzie się żywa.

Obserwuje, jak Barbara wychodzi przed dom, upewniając się, że gość odjechał.

Przez głowę przemyka mu myśl, że powinien tam zejść i dowiedzieć się, o co chodzi, kiedy za nim rozlega się meczenie. Odwraca się i widzi, że dwie owce ślizgają się na błocie na niżej położonym końcu łąki, niebezpiecznie blisko strumienia. Cholera. Będzie tam musiał pójść. Nakłonić je do przejścia na łagodniejszy teren.

Ziemia jest tak rozmokła, że zajmuje mu to dłużej, niż się spodziewał.

„Głupie owce. Zero mózgu”.

Przywołuje Sammy’ego, który podbiega do niego z podkulonym ogonem. Nawet pies nie znosi tej łąki i patrzy na niego takim wzrokiem, jakby zwariował. W końcu z pomocą Sammy’ego udaje mu się nakłonić dwie niesforne owce i resztę stada do przejścia na inną część łąki. Stamtąd przegania je jeszcze dalej, aż na sąsiednią połąć ziemi, gdzie co prawda jest mniej trawy, ale bezpieczniej będzie, jeśli właśnie tam spędzą noc. Zamyka za nimi bramę, woła do nogi psa i w końcu zaczyna schodzić przylegającą do łąk ścieżką w stronę domu.

Ścieżka Pierwiosnków, tak się nazywa. Anna ją uwielbiała, kiedy była mała. Zawsze ochoczo robiła bukiety z polnych kwiatów.

„Ścigajmy się, tato”.

Henry zamyka oczy i przez chwilę stoi w zupełnym bezruchu. Oczami wyobraźni widzi córkę w różowej, pikowanej kurtce, w różowej czapce z pomponem i w różowych rękawiczkach. „Chodź, tato. Pobiegniemy w dół”. Ten bukietik pierwiosnków w jej ręce...

Otwiera oczy, dopiero kiedy czuje, jak Sammy szturcha go nosem w nogę.

– W porządku, mały. W porządku.

Gładzi psa po łbie, oddycha głęboko i szybkim krokiem idzie do domu. Nim do niego dociera, Barbara znika w środku.

Zdejmuje w przedsionku kalosze i poleca ubłoconemu owczarkowi collie tam zostać.

– Co to był za człowiek?

Barbara ma ziemistą twarz, kiedy wychodzi z kuchni. Wyciera ręce w fartuch.

– Prywatny detektyw.

– A co tu, u licha, robił prywatny detektyw?

– Twierdzi, że Ella, ta kwiaciarka, otrzymuje listy z pogrózkami.

– A to coś nowego!

– Tym razem nie są to wiadomości w mediach społecznościowych, ale prawdziwe listy czy coś w tym rodzaju. Na adres domowy. Nieprzyjemne.

– I czemu to miałyby być nasz problem?

– Wydaje mi się, że ten detektyw sądził, iż to ja mogę je wysłać.

– Oskarżył cię o to?

– Nie wprost, ale zrozumiałam aluzję. Zachowywał się, jakby robił mi przysługę,

próbując mnie ostrzec.

Henry mruży oczy.

– Zanim zapytasz: nie, nie wysłałam ich. Choć nie mogę udawać, że obchodzi mnie, kto to zrobił.

– Cóż, mam nadzieję, że mu powiedziałaś, by tu nie wracał. Myślisz, że powinniśmy zadzwonić do Cathy? Albo do Londynu? Powiedzieć o tym?

– Nie. Po co? Kazałam mu nie wracać. Twierdzi, że sam to zgłosi na policję.

– I nie powiedziałaś mu niczego więcej? Nic niemądrego, Barbaro? O mnie. Patrzy na niego z powagą. Bez mrugnięcia okiem. Spojrzenie ma lodowate. Czuje, jak przyspiesza mu puls.

– Nie, Henry. Nie powiedziałam niczego niemądrego... o tobie.

Henry siada na starej kościelnej ławce, która stoi w pomieszczeniu na buty.

– Jenny jest w domu?

– Jeszcze nie. Pojechała do miasteczka. Zamierza kupić nowy płaszcz na czuwanie. Mówi, że chce coś ciepłego i eleganckiego.

Henry od samego początku jasno dał zrozumienia, co myśli o tym czuwaniu. Nie jest religijny. To pomysł miejscowego proboszcza. Modlitwy i świece dla upamiętnienia pierwszej rocznicy. Początkowo miało się to odbyć w czwartek... równo rok po zaginięciu. Ale kiedy potwierdzono emisję programu w telewizji, postanowili przenieść czuwanie na sobotę. Weekend bardziej ludziom pasuje.

Barbara unosi brodę.

– Matka Sarah miała nadzieję, że uda nam się zaczekać z czuwaniem na wyjście Sarah ze szpitala, ale jej powiedziałam, że to nie jest dobry pomysł, że Sarah musi się skupić na tym, aby wyzdobrzeć. Myślę, że powinniśmy postępować zgodnie z planem.

– A ty nadal uważasz, że to dobry pomysł? To całe czuwanie?

– Nie mam pojęcia, Henry. Ale ludzie są pełni życzliwości i wyraźnie chcą jakoś zadziałać. Poza tym prasa porobi zdjęcia, co pomoże utrzymać zainteresowanie sprawą. Według Cathy to dobrze.

– A co z Sarah? Nadal twierdzi, że to był przypadek? Tabletki...

Nikt nie przedawkowuje przez przypadek, tak myśli Henry. Próbuje wykrzesać z siebie więcej współczucia względem Sarah, ale nie potrafi.

– Może sam zaparzę sobie herbatę, skarbie? Dla odmiany to ty odpocznij chwilę.

Słyszę głos męża, ale się nie odwracam. Stoję na szczycie schodów i nie odrywam wzroku od leżącej na wycieraczkę poczty. Pośród rachunków i białych kopert spostrzegam ją – wołającą do mnie, znajomą, ciemną kopertę. Tym razem adres wydrukowano na kremowej karteczce.

– W porządku. Naprawdę. Znasz mnie, wolę być w ruchu. – Zbiegam ze schodów, podnoszę listy z podłogi i sztywną kopertę z kartą w środku wsuwam w sam środek. Tony także schodzi na dół.

– Na pewno wszystko w porządku, Ello?

– Mogą być kanapki z bekonem? Powiedz Luke’owi, że będą za piętnaście minut, dobrze? – Serce wali mi jak młotem, celowo nie przeglądam się w wiszącym na korytarzu lustrze, nie chcę widzieć dowodu. Zarumienionej twarzy.

Naprawdę sądziłam, że po interwencji Matthew to się skończy. Naprawdę sądziłam, że da się uniknąć martwienia Tony’ego, który wystarczająco wiele musiał już przejść.

W kuchni wybieram ze stosiku korespondencji okólniki z klubu winiarskiego i banku. Wiem, że powinnam mu powiedzieć, i obiecuję sobie, że niedługo tak właśnie zrobię. Bardzo niedługo. Zaraz po rozmowie z Matthew. Ale mąż znowu się zdenerwuje, a wystarczająco ma w tej chwili na głowie w związku z tym awansem. Fatalnie się czuję, bo zdecydowanie sprzeciwił się mojemu wyjazdowi do Kornwalii. O Boże. Tak wielką miałam nadzieję, że Matthew sobie z tym poradzi.

– Coś ciekawego? – pyta Tony, patrząc na listy w mojej ręce.

– Firma ubezpieczeniowa. Salon samochodowy.

Krzywi się i odwraca, a ja włączam piekarnik i kładę na blacie chleb i bekon. W tym momencie dzwoni telefon.

– Ja odbiorę – mówię, zastanawiając się, czy to nie Matthew. Ale przecież prosiłam, by dzwonił do kwiaciarni.

– Coś się dzieje, Ello. Coś, o czym mi nie mówisz.

– Nie teraz, Tony. Proszę. Wszystko w porządku.

Cholera. Skoro to nie matka Anny, musimy przekazać kartki policji. No tak. Wtedy już na pewno będę musiała powiedzieć o wszystkim Tony’emu.

Przykładam telefon do ucha, drugą ręką otwierając opakowanie bekonu. Zamierzam poprosić Matthew, aby zadzwonił później, do kwiaciarni.

– Hallo, czy to matka Luke’a?

- Tak. Z tej strony Ella Longfield. Z kim mam przyjemność?
- Tu Rebecca Hillier. Matka Emily. Chciałabym potwierdzić spotkanie.
- Spotkanie? Obawiam się, że nie rozumiem.

Przez długą chwilę w słuchawce panuje cisza.

- Luke nie rozmawiał z państwem?

– Nie. Coś się stało?

– Proszę posłuchać, nie zamierzam rozmawiać o tym przez telefon. Jasno dałam to Luke'owi do zrozumienia. Mają państwo jutro czas czy nie?

Tony pyta mnie bezgłośnie: kto to? O co chodzi?

- Cóż... mój mąż gra z przyjaciółmi w pokera...

– Powiedzmy o siódmej trzydzieści. U nas. Luke zna adres.

Po tych słowach się rozłącza.

- Bardzo dziwne. I w sumie niegrzeczne. Zawołaj tu Luke'a, dobrze?

– Co się dzieje?

– Żebym to ja wiedziała.

Zaczynam układać na tacy plasterki bekonu, tak żeby na siebie zachodziły. Słyszając oddalające się kroki Tony'ego, szybko otwieram budzącą lęk kopertę.

„PILNUJ SIĘ. MAM CIĘ NA OKU...”

- Ella! Myślę, że powinnaś tu przyjść.

Dobry Boże...

Przekroczywszy próg pokoju Luke'a, od razu się orientuję, że nie jest dobrze. Od trzech tygodni ciągle się spóźniał, do pracy w kwiaciarni i do szkoły. Otrzymaliśmy także ze szkoły pismo o nieobecnościach. I sugestię spotkania z jego wychowawcą. Miałam się tym zająć, ale tyle miałam na głowie...

– Co się, do cholery, dzieje, Luke? – Tony początkowo jest bardziej poirytowany niż zaniepokojony.

Luke leży skulony pod kołdrą, w ubraniu z wczoraj: dzinsach i grubej, niebiesko-zielonej bluzie z kapturem. Spocony. Wydziela nieprzyjemną woń.

– Zimno ci? Coś cię rozkłada? – Staram się zachować spokój. Mam wyrzuty sumienia, że niczego wcześniej nie zauważyłam.

– Powiedz coś, Luke. O co chodzi? – Tony rozsuwa zasłony.

Nasz syn milczy.

– Właśnie dzwoniła matka Emily. Mówiła o jakimś spotkaniu. Była wobec mnie dość nieprzyjemna. Sugerowała, że powinnam o czymś wiedzieć. Jakie spotkanie, Luke? – Staram się, aby w moim głosie nie było słychać gniewu.

Nadal cisza.

– O co chodzi, Luke? – Zaczynam wpadać w panikę. Narkotyki? Kradzieże w sklepie? Problemy z policją? Nie. Na pewno nie mój Luke. Mój piątkowy Luke, który do czasu tych ostatnich wyczynów miał szansę studiowania w Oxbridge.

Tony uważał, że to po prostu taki etap. Mały bunt wywołany tym, że ostatnia klasa okazała się znacznie trudniejsza, niż wszyscy się spodziewali. Może ma po prostu dość egzaminów?

– Proszę, Luke. Powiedz nam, co się dzieje. Może będziemy mogli pomóc. – Ton głosu Tony’ego nieco złagodniał.

W tym momencie Luke zaskakuje nas oboje i zaczyna płakać. Jego ciałem wstrząsa szloch. Po twarzy płyną mu łzy, zupełnie nie na miejscu i teatralne, a jednocześnie przerażające u tego mierzącego metr osiemdziesiąt pięć młodego mężczyzny kulącego się pod pościelą w niebieskie paski od Marksa i Spencera.

Jednocześnie docierają do mnie dwie sprawy.

Jeden: musiało się stać coś poważnego. Dwa: byłam zbyt zajęta sprawą Anny Ballard, żeby w ogóle to dostrzec.

Henry wrzuca wsteczny bieg w traktorze, kiedy na progu pojawia się Barbara.

- Co ty, do cholery, wyprawiasz?
- Szykuję wszystko na twoje czuwanie.
- Moje czuwanie?
- Cóż, na pewno nie był to mój pomysł.

Przez kilka minut Barbara jedynie patrzy, jak mąż manewruje traktorem. Gniewne ruchy wte i wewte. Henry liczy, że w końcu wejdzie do domu. Da mu spokój. Ale nie.

- Nadal nie rozumiem, po co to robisz.
- Zdejmuję parę beli słomy do siedzenia.
- Ludzie nie będą chcieli siadać. Na pewno nie zostaną tu długo.
- Ludzie zawsze chcą usiąść. Przyjdzie kilka starszych osób, a one muszą siedzieć, Barb. Nie możemy wynieść krzeseł. Nie chcę, żeby było im za wygodnie, bo nigdy się ich nie pozbędziemy.
- Och, zachowujesz się nedorzecznie.

Henry przyznaje przed sobą, że to rzeczywiście odpowiednia pora, aby nazywać go nedorzecznym. W ogóle nie chciał tego głupiego czuwania. Wczoraj wieczorem, w łóżku, odbyli kolejną szeptaną kłótnię na ten temat.

„Moglibyśmy to zrobić przed domem”, zaproponowała Barbara, kiedy odwiedził ich proboszcz. Henry wyraźnie oświadczył, że nie zamierza brać udziału w niczym kościelnym – w niczym, co by przypominało nabożeństwo żałobne. Ale proboszcz rzekł, że sam pomysł czuwania to coś zupełnie przeciwnego. Okoliczni mieszkańcy chcieliby pokazać, że się nie poddali. Że nadal zapewniają wsparcie rodzinie. Modlą się o bezpieczny powrót Anny.

Barbara była uradowana tym pomysłem, więc dograli szczegóły. Niewielka uroczystość. Ludzie przyjdą ze wsi pieszo albo zaparkują przed drogą dojazdową do domu i resztę drogi pokonają bez aut.

- To był twój pomysł, Barbaro.
- Właściwie to proboszcza. Ludzie chcą po prostu okazać wsparcie. O to właśnie chodziło.
- Według mnie to makabryczne, Barb.

Ponownie przejeżdża traktorem przez podwórze i kładzie na ziemi dwie kolejne bele słomy.

- Proszę. Powinno wystarczyć.

Henry podnosi wzrok na żonę i dopadają go znajome sprzeczne uczucia.

Zastanawia się, jak się tutaj znaleźli. Nie chodzi mu tylko o czas po zaginięciu Anny, ale o całe dwadzieścia dwa lata ich małżeństwa. Zastanawia się, czy kończą tak wszystkie małżeństwa. A może to po prostu on jest złym człowiekiem.

Kiedy Barbara zakłada włosy za ucho i unosi brodę, Henry nadal widzi te pełne usta, idealne zęby i wysokie kości policzkowe, przez które kiedyś czuł zupełnie coś innego. Przepęlnia go to konsternacją, która każe żałować, że nie może cofnąć czasu. Że nie może wrócić na ten bal dla młodych farmerów, kiedy Barbara tak bosko pachniała i wszystko wydawało się takie proste, obiecujące.

Żałuje, że nie może tam wrócić i zacząć jeszcze raz. Tym razem inaczej, lepiej.

Zamyka oczy. Ponownie towarzyszy mu echo głosu Anny.

„Brzydzę się tobą, tato”.

Pragnie, aby ten głos dał mu spokój. Aby umilkł. Pragnie wrócić do czasów, kiedy Anna była mała i go kochała, zbierała kwiaty na Ścieżce Pierwiosnków. Do czasów, kiedy był jej bohaterem i kiedy ścigali się do domu na podwieczorek.

Barbara patrzy teraz na stojący na końcu podwórza kosiak.

– Rozpalisz ogień, Henry?

– Oczywiście. Będzie zimno.

– Dziękuję. Ja naszykuję miski z zupą. – Pauza. – Naprawdę uważasz, że to błąd? Nie miałam pojęcia, że tak bardzo cię to zdenerwuje. Przepraszam.

– W porządku, Barbaro. Teraz po prostu zrobmy to najlepiej, jak się da.

Wrzuca wsteczny bieg i wjeżdża traktorem z powrotem do stodoły. W panującym tam półmroku bicie jego serca w końcu się uspokaja. Jakiś czas siedzi na traktorze w bezruchu, potrzebuje tego spokoju.

Drugą opcją była ta stodoła. Gdyby pogoda nie dopisała. Na szczęście dzień jest pogodny. Zimny, ale niebo pozostaje bezchmurne, więc zostaną na dworze. Henry liczy w duchu, że chłód szybciej przegna wszystkich do domu, bez względu na zupę.

A teraz posiedzi trochę w stodole. Tak. Miło być tu samemu. Przekonuje się, że w ogóle nie ma ochoty się stąd ruszać.

Godzinę później do kuchni wchodzi Jenny, a Henry ściąga kalosze w przedsionku.

– Dasz sobie radę, mamó?

Barbara miesza w dwóch wielkich garach z zupą jednocześnie.

– Tak. To takie trudne wiedzieć, że zjawi się tu tyle osób.

Henry wbija wzrok w jej plecy.

– Przepraszam za wcześniej, skarbie. Jestem trochę podenerwowany.

– W porządku. – Barbara nie odwraca się w jego stronę, za to uspokajająco ściska ramię Jenny.

– A jak się czuje Sarah?

Jenny bierze głęboki oddech.

– Żałuje, że nie może się zjawić. Jej mama mówi, że źle się z tym czuje. I nadal podtrzymuje wersję o przypadkowym przedawkowaniu. Wszyscy czujemy się okropnie.

W tonie jej głosu jest coś, co niepokoi Henry'ego.

– Co to znaczy „wszyscy”? To bardzo smutne, ale to nie wasza wina.

Jenny odwraca się w jego stronę.

– A może jednak trochę nasza.

– Co masz na myśli?

– Pokłóciliśmy się z nią przed tym apelem w telewizji.

– „My” to znaczy kto?

– Wszyscy. Ja, Tim i Paul. – Jenny łamie się głos. – Przez tę rocznicę jesteśmy podminowani. No i wy na okrągło się kłócicie... Nie wiem. Razem z chłopakami poszłam do Sarah, żeby pogadać o wspólnym oglądaniu tego programu. I daliśmy się nieco ponieść emocjom.

– Mów dalej...

– Źle się czujemy z tym, że wykręciliśmy się z wyjazdu do Londynu. Gdybyśmy pojechali, więcej ludzi opiekowałoby się Anną.

– Nie możesz tak myśleć – wtrąca Henry.

– Problem w tym, że wy tak myślicie, prawda? No i chłopaki znowu wypytywały Sarah, dlaczego nie trzymały się razem w klubie. Co konkretnie się wydarzyło, że się rozdzieliły? Czemu Sarah odpowiada tak wymijająco? – Jenny zaczyna płakać.

– Nie chcieliśmy, żeby Sarah tak okropnie się poczuła. Poniosło nas i tyle. No bo przecież ja zrezygnowałam z tamtego wyjazdu z powodu Johna i koncertu, a nawet już z nim nie chodzę. Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłam. Głupiego chłopaka postawiłam przed swoją siostrą. I wszyscy mamy takie potworne wyrzuty sumienia... Za to, że nas tam nie było... w Londynie. Ale nie powinniśmy się wyżywać na Sarah...

– Kiedy doszło do tej kłótni?

– Dzień przed programem w telewizji.

„Dlatego połknęła te tabletki – myśli Henry. – Jezu”.

Barbara obejmuje córkę.

– No tak. Narobiło się, skarbie. Ale wszyscy jakoś musimy sobie z tym radzić. Nie wolno ci się obwiniać. To, co powinnaś zrobić, to porządnie przegadać wszystko z Sarah. Wyjaśnić, że nie macie do niej pretensji.

– Nie mamy. Nie tak naprawdę. My jedynie jesteśmy...

– Zdenerwowani. Jak my wszyscy. Porozmawiam z mamą Sarah i zapytam, czy możecie ją odwiedzić. Naprawić to wszystko. No dobrze, otrzyj łzy i załóż nowy płaszcz. Niedługo zaczną się zjawiać goście. Pomogę ci się z tym uporać, obiecuję. Wyjaśnicie sobie wszystko z Sarah. Okej? Będzie dobrze. Ale dzisiaj musimy być

silni, dla Anny. Tak?

Henry patrzy na żonę i zastanawia się, gdzie się tego nauczyła. Zawsze wie, jak rozmawiać z dziewczynkami.

Dziewczynkami? Krzywi się z powodu użycia liczby mnogiej.

– Organizujemy to dla Anny, pamiętaj. Aby czekać na jej powrót z uniesioną głową. – Barbara wyciera twarz Jenny chusteczką i w tym momencie rozlega się dzwonek do drzwi.

Henry w samych skarpetkach idzie otworzyć, na progu zastaje proboszcza w watowanej kurtce i kaloszach.

– Nie będę wchodził. Błoto. – Uśmiecha się. – Dobry pomysł z tymi belami słomy, Henry. Chciałem wam jedynie pokazać tę krótką mowę, którą zaplanowałem. Nic zbyt kościelnego, tak jak ustaliliśmy. Kilka słów podnoszących na duchu. Przyszło mi do głowy, że może ty też chciałabyś coś powiedzieć, Barbaro? Wiesz, podziękować wszystkim za wsparcie i poprosić lokalną prasę o wystosowanie apelu do świadków. To drobiazg, ale może się okazać pomocny.

Barbara się uśmiecha, a Henry patrzy, jak Jenny znika na piętrze, żeby przymierzyć nowy płaszcz. Nagle woła do nich z góry.

– Patrzcie! Wyjrzyjcie przez okno. Musicie to zobaczyć... Chodźcie tutaj.

Zaskoczony proboszcz zdejmuje jednak kalosze i pędzi za Henrym i Barbarą na półpiętro, skąd rozciąga się widok na wąską drogę dojazdową prowadzącą do ich domu. Zaczyna zmierzchać i widok jest doprawdy urzekający. Wzdłuż drogi widać rząd różnego rodzaju świateł: lampionów i świec, a także latarek, rozpraszających panujący półmrok.

Zaskoczony Henry czuje, że drży mu dolna warga. Patrzy na migające światełka i wyobraża sobie, jak Anna biegnie przed nim w różowej sukience w kratkę pod płaszczem i bukietem w ręce.

Niedługo zjawi się Cathy, ich łączniczka z policją. Dociera do niego, że to wszystko dzieje się już zbyt długo.

Będzie musiał porozmawiać z policją.

Będzie musiał powiedzieć wszystkim prawdę.

Matthew układa piramidki z saszetek z cukrem, kiedy do kawiarni wchodzi nadinspektor Melanie Sanders. Nigdy nie potrafi usiedzieć nieruchomo. Doprowadza to Sal do szaleństwa. W tej akurat chwili rzucił sobie wyzwanie, aby ustawić jednocześnie trzy piramidki. Kiedy tylko jedna się wali, musi ułożyć nową, a dopiero potem naprawić starą. Stół lekko się chwieje, nie ułatwiając mu zadania, i przez to Matthew bawi się tak dobrze, że kiedy dociera do niego, iż musi przerwać, czuje absurdalne, dziecinne ukłucie rozczarowania.

– Przepraszam, że zawracam ci głowę w weekend, Mel. – Wstaje i całuje ją w policzek, starając się nie patrzeć na przewracające się piramidki.

– W porządku. Właściwie to pracuję. – Mel wpatruje się w saszetki z cukrem.

– Nagle w budzecie znalazły się środki na nadgodziny? – Matthew odkłada saszetki do stalowego stojaka pośrodku błyszczącego blatu.

– Nie. Z powodu sprawy, którą tak tajemniczo się interesujesz, przyjechał z Londynu komisarz Półgłówek. Jestem niańką. – Gestem przywołuje kelnerkę, po czym zamawia cappuccino.

– Widzę, że zapalałaś do niego sympatią.

Melanie krzywi się i pokazuje język.

Matthew się uśmiecha. Tak dobrze widzieć Mel. W szkole policyjnej była jedną z niewielu osób, które także nie chciały pić rozpuszczalnej kawy. Pierwszego dnia zaprezentowała małą kafetierę. Okrutnie ich oboje wyśmiewano. Kiedy pracowali razem, korzystała z aplikacji w telefonie wyszukującej najbliższe kawiarnie z porządnymi ekspresami. Ich idealnym śniadaniem były kanapki z frytkami i dobra, włoska kawa.

Kiedy Matthew patrzy na nią teraz, dociera do niego, jak bardzo mu tego wszystkiego brakuje. Nie tylko pracy z Mel. Pracy w policji. Poczucia przynależności do zespołu, współpracy.

– Okej, Matt. Zamierzasz mi w końcu powiedzieć, o co naprawdę chodzi? Mam mało czasu. – Otwiera szeroko oczy. – Ten komisarz znowu chce rozmawiać z Ballardami. Zapewne pojawiło się coś nowego po tym apelu w telewizji. Oczywiście niewiele mi mówią, ale po wszystkim wypytam Cathy. Co się dzieje? Naprawdę muszę wiedzieć, czemu się tym interesujesz, Matt.

Matthew rozgląda się po kawiarni, po czym wyjmuje z kieszeni torebkę na dowody, w której znajduje się kartka i koperta.

Melanie odwraca ją, żeby odczytać wiadomość, następnie marszczy czoło i posyła mu pytające spojrzenie.

– Wysłano to do Elli Longfield, świadka z pociągu. Tej kwiaciarki. Skontaktowała się ze mną. Wcześniej dostała już dwie podobne wiadomości, które niestety wyrzuciła. Stemple pocztowe z różnych miejscowości. Liskeard. Jakieś miasto w Dorset. I Londyn.

– Nie pomyślała, żeby przyjść z tym do nas?

– Uwierz mi, od samego początku tak jej właśnie mówiłem. Ale ona wydawała się przekonana, że te kartki przysyła matka Anny, Barbara Ballard. Nie chciała robić jej kłopotów i tak ma wyrzuty sumienia.

Melanie wzdycha głośno. Kelnerka przynosi jej kawę.

– Ty się nie zmienisz. Coś takiego od razu powinno trafić do nas.

– Nie bądź niesprawiedliwa. Przekazuję ci to teraz, Mel. I nie dostałabyś tego, gdybym nie przekonał Elli. Nieważne. Oboje wiemy, że to prędzej jakiś świr niż rzeczywisty trop.

– Tak ci mówi intuicja, Matt? Świr? Ta kobieta miała sporo nieprzyjemności, kiedy wyciekło jej nazwisko.

– Tak, trochę to schrzaniłście. – Matthew uważnie przygląda się jej twarzy.

– Naprawdę nie wiemy, jak doszło do wycieku. Mówię serio. Ale na górze sporo było o to hałasu. Biuro prasowe się wściekło. No ale nieważne. Poświęciliśmy dużo czasu na zbadanie tych nieprzychylnych wiadomości, żeby ją uspokoić, zadośćuczynić, ale wyglądało na to, że tak naprawdę to tylko internetowe trolle albo dzieciaki. Może szkolni koledzy Anny. Było to nieprzyjemne, ale nie miało wielkiej wartości ani nie okazało się powiązane ze śledztwem. Ani z mężczyznami z pociągu.

– Myślisz, że w tym przypadku jest tak samo? Że to jakiś świr próbuje ją jedynie nastraszyć?

– Nie wiem. Sporo w to włożono wysiłku. – Uważnie ogląda kartkę. – Wątpię, żeby udało się zdjąć jakieś odciski palców, ale spróbujemy. Wrzucimy do systemu. To najpewniej jakiś przypadkowy psychol, ale powiedz, czemu ta Ella sądzi, że to mogła być matka?

Matthew opowiada jej o wizycie Elli w Kornwalii. O przepychance.

– I o tym także postanowiła nam nie mówić. Super.

– Nie sądzę, żeby to była pani Ballard. Rozmawiałem z nią, Mel.

– Jezu, Matt. To śledztwo nadal jest w toku...

– No ale, w ogóle by to do was nie trafiło, gdyby nie ja.

Melanie zanurza palec w mlecznej piance.

– Już się nie mogę doczekać, żeby to wyjaśnić komisarzowi Półgłupkowi. Masz rację. To pewnie kolejny troll, ale nie spodoba mu się, że o niczym nie wiedział.

– Co ten komisarz ma za problem? Sami raczej nie zaszli zbyt daleko.

– To arogancki wrzód na tyłku. Wygląda na dwunastolatka. Miałabym to

w nosie, gdyby był choć trochę kompetentny, ale jego uwagę zdaje się odwracać jakaś nowa sprawa zabójstwa w Soho. Do tego za każdym razem, kiedy tu przyjeżdża, traktuje mnie jak osobistego szofera. Na szczęście nie zjawia się często.

– Kiedy będziesz to przekazywać, możesz mi pomóc?

– Mam nie podawać twojego nazwiska? – Matthew przechyliła głowę i patrzy na nią wzrokiem kota ze Shreka. – Wiem, że brzmię jak zdarta płyta, ale powinieneś być zostać w firmie, Matthew. Ty to wiesz, ja to wiem, możesz więc sobie darować to spojrzenie.

Matthew nie odpowiada. Melanie to jedna z niewielu osób, które dokładnie wiedzą, dlaczego naprawdę odszedł z policji.

– Dobra. To mów. Jakie masz przeczucie co do matki? Według Cathy jest czysta.

– Zgadzam się. Moim zdaniem to nie ona wysłała te wiadomości. Zasugerowałem, że to pogróżki, a ona mówiła o nich jako o listach, nie kartkach. Ale coś tam jest nie tak, Mel.

– To znaczy?

– Udawała, że chce zadzwonić do męża, ale z mowy jej ciała dało się wyczytać, że tak naprawdę wcale nie chce, żeby się zjawił. Trochę to dziwne...

Melanie ponownie mruży oczy.

– Powiedz, jak to jest z rodzicami, Mel? Oboje są naprawdę czyści? I co wynikło z telewizyjnego apelu? Pojawiło się coś obiecującego?

– Wiesz co? Pogadajmy lepiej o tym, że wkrótce zostaniesz tatą. To znacznie bardziej interesujący temat.

Luke był naprawdę grzecznym dzieckiem, miałam wielkie szczęście, choć początkowo oczywiście w ogóle nie zdawałam sobie z tego sprawy. Brak punktu odniesienia, brak doświadczenia.

Szczerze mówiąc, spodziewałam się, że próby pogodzenia prowadzenia firmy z wychowywaniem dziecka okażą się niemal niemożliwe. Pod koniec mojej ciąży wszyscy zasypywali mnie ponurymi ostrzeżeniami. „Przygotuj się. Brak snu to forma tortur, nie będziesz miała czasu dla siebie. Nie będziesz miała czasu spokojnie się wykąpać”. Bla bla bla.

Doszło do tego, że zaczęłam się poważnie martwić, czy w ogóle będę w stanie prowadzić kwiaciarnię.

Kiedy będzie łatwiej? Pamiętam, że zadałam to pytanie koleżance, matce trzech dziewczynek. Miało to miejsce jakieś dwa tygodnie przed narodzinami Luke'a i nigdy nie zapomnę jej odpowiedzi. „Och, Ello, nigdy nie będzie łatwiej. Poczekaj tylko, aż będą mieć naście lat...”

Tamtego dnia po powrocie do domu wyplakiwałam sobie oczy, pełna czarnych myśli, że trzeba będzie sprzedać kwiaciarnię. Ale wiecie co? Wcale nie było tak trudno.

Jasne – pamiętam panikę po wyjściu ze szpitala, kiedy nie potrafiliśmy nawet przypiąć bobasa w samochodowym foteliku, mimo że sporo wcześniej ćwiczyliśmy. Pamiętam uczucie strachu, kiedy dotarło do nas, że rzeczywiście pozwolą nam zabrać do domu to małe zawiniątko, gdy tymczasem nie mamy najmniejszego pojęcia, co dalej. Pamiętam także, jak podczas tych pierwszych tygodni budziłam się między karmieniami, przekonana, że zapomniałam go odłożyć do kosza Mojżesza i że spadł z łóżka.

„Gdzie dziecko, Tony? Gdzie położyłam dziecko?”

Ale zaskakująco szybko wszystko się uspokoiło.

Luke był naprawdę spokojnym, uśmiechniętym niemowlęciem. Bezproblemowym. Przyjechała do nas moja mama i musiałam zatrudnić pomoc, żeby utrzymać kwiaciarnię, ale i tak poszło gładko. Kiedy mały skończył dziesiąty tydzień, przesypiał już spokojnie całą noc. Był tego rodzaju dzieckiem, które nakarmione i przebrane potrafi się sobą zająć. Mogłam kłaść go na macie, a on gaworzył i się uśmiechał.

„Ty nigdy taka nie byłaś. Musiał to odziedziczyć po ojcu”, oświadczyła moja matka.

Spokojne usposobienie Luke'a pozwoliło mi na powrót do pracy w kwiaciarni

znacznie wcześniej, niż zakładałam. Do sufitu przytwierdziliśmy hak i kupiliśmy jedno z tych huśtawko-krzeselek. Godzinami potrafił w nim siedzieć, odbijając się nóżkami od podłogi, obserwując, jak układam bukiety, i gaworząc do klientów.

Siedzę na łóżku Bóg wie jak długo, odtwarzając w głowie te wszystkie obrazki. Wyglądam materiał spodni. Martwiłam się, w co się ubrać, ale nie zamierzam się przebierać. „Nieważne, w co będziesz ubrana, Ello. Twój strój niczego nie zmieni ani nie rozwiąże”. Liczy się to, że mój syn – mój piękny Luke – przechodzi piekło, a ja nie miałam o tym pojęcia. Żadnego. Tak bardzo byłam zajęta rozmyślaniami o Annie, jej mieszkającej w Kornwalii rodzinie i tych cholernych kartkach, że nie dostrzegałam, co się dzieje tuż pod moim nosem. Że życie mojego biednego syna legło w gruzach.

Przeżyłam szok, kiedy w końcu to z siebie wyrzucił. Ponownie – tak bardzo naiwna. Nie wiedziałam nawet, że uprawiają seks...

– Gotowa, skarbie? – Tony stoi w drzwiach. – Luke czeka na dole.

– Tak. Jasne.

W salonie powtarzam Luke’owi to, co mówiłam już wiele razy w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin: że minął czas na żal i gdybanie, że teraz musimy podołać nowej sytuacji. Wszyscy razem. Przypominam mu, że nie jest już sam. Jeśli Emily będzie chciała urodzić to dziecko, powinniśmy zapewnić jej wsparcie. Jako rodzina. Luke nie powinien uważać, że to oznacza, iż muszą żyć jako para. Albo się ustatkować. Są na to zdecydowanie zbyt młodzi. Ale musi zapewnić, że odegra rolę ojca w życiu dziecka. Że okaże wsparcie. Stawi czoła temu, co się stało. A my będziemy go wspierać. Ich. Dziecko.

Twarz Luke’a jest kredowobiała. Twarz Tony’ego jest kredowobiała. Zastanawiam się, czy tylko ja myślę o tym, że dla rodziców Emily to wszystko musi być jeszcze okropniejsze. Ona ma szesnaście lat...

Jedziemy w ciszy. Dwadzieścia minut. Podczas ostatniego kilometra Luke udziela wskazówek. Fakt, iż nawet nie wiemy, gdzie mieszka jego dziewczyna, wiele mówi o tej sytuacji. Podwoziłam go do kina. Spotykali się w mieście. Jeździł autobusem.

Zastanawiam się, gdzie w ogóle mieli okazję uprawiać seks.

Ta myśl przenosi mnie ponownie do pociągu. Do Sarah i tamtego mężczyzny. Jak oni mogli to zrobić? W toalecie w pociągu. I przypominając sobie swój szok, dostrzegam ironię obecnej sytuacji.

Włączam radio, ale Luke prosi, abym je wyłączyła.

– Przy skrzynce na listy w lewo. Drugi skręt w prawo. To ten wolno stojący dom na końcu ślepej uliczki. Właśnie ten.

Ładny budynek. Z czerwonej cegły i pnączem porastającym werandę. Okna wyglądają na świeżo pomalowane, a przed domem mają starannie utrzymany

ogródek. Schludnie przycięta trawa, klomby z różami i mnóstwo geranium. Nie wiem, czemu się temu wszystkiemu przyglądam. Może dlatego, że tak naprawdę wcale nie mam ochoty wychodzić z samochodu.

– Gotowy, synu? – Tony jako pierwszy otwiera drzwi.

Luke wzrusza ramionami. Patrzę na niego i widzę, że nadal jest w szoku. Wciąż powtarza, że się zabezpieczyli.

„Używaliśmy prezerwatywy. Nie rozumiem”.

– Skarbie, co się stało, to się nie odstanie. Możesz na nas liczyć – mówię. – A teraz chodźmy już.

Rodzice Emily przedstawiają się nam, ale nie wymieniamy uścisków dłoni. Żadne z nas nie ma zamiaru udawać. Dziewczyna siedzi skulona na dużym fotelu z poduszką przyciśniętą do brzucha, równie blada jak Luke.

– Emily nie chciała, żebyśmy się spotykali, ale my uznaliśmy, zważywszy na ich młody wiek, że takie spotkanie jest bardzo ważne. – Wypowiadane przez Rebecę słowa brzmią, jakby je sobie przećwiczyła. Dostrzegam, że jej mąż wzrok ma wbity w Luke’a. Mogę sobie wyobrazić, jakie myśli przebiegają mu przez głowę, ale mam ochotę je wymazać. Luke to dobry chłopak. Nawalił, zgoda, ale ona także. Żałuję, że nie mam odwagi powiedzieć jej ojcu, żeby przestał się tak patrzeć na mojego syna.

– Emily i Luke sporo rozmawiali o możliwych rozwiązaniach, ale uważamy, że powinniśmy się dowiedzieć, jakie jest stanowisko obu rodzin. – Rebecca patrzy na mnie.

– Cóż, myślę, że masz rację. To ważne, żebyśmy porozmawiali. I od razu pragnę powiedzieć, jak bardzo nam przykro, zapewne tak samo, jak wam, że w tak młodym wieku znaleźli się w takiej sytuacji. – Czuję na sobie spojrzenie Tony’ego. Przechyla głowę, sygnalizując mi tym samym swoje wsparcie, po czym sam zabiera głos.

– Z tego, co mi wiadomo, próbowali zachować się rozsądnie. Zabezpieczyli się.

– Tony kieruje te słowa do ojca Emily, ale odpowiedzią jest lodowaty wzrok.

– Ona ma szesnaście lat.

– Tato, proszę. – Emily zerka na Luke’a, który nadal jest blady jak ściana i wbija wzrok w podłogę.

– Chcemy dać jasno do zrozumienia – ponownie zerkam na Tony’ego, po czym wracam spojrzeniem do rodziców Emily – że jako rodzina zrobimy wszystko, co w naszej mocy, aby zapewnić Emily wsparcie.

– Córka zdecydowała, że nie podda się aborcji. Chcemy, aby była jasność. Ale możliwe, że zastanowi się nad adopcją.

Czuję się, jakby ktoś kopnął mnie w brzuch. Nasz wnuk...

Rebecca patrzy córce w oczy.

– Analizujemy tę kwestię jako rodzina. Emily musi wziąć pod uwagę wiele spraw. Maturę. Studia. – Łamie jej się głos, a ja czuję bolesne ściskanie w żołądku.

– Może powinniśmy jeszcze o tym porozmawiać? – Tony odkasłuje.

– Uważamy, że decyzja powinna należeć do Emily. – Rebecca patrzy teraz na swojego męża. – Oczywiście omówi to z Lukiem, ale chcemy wiedzieć, na czym wszyscy stoimy. W kwestii wsparcia.

– Już mówiłem Emily, że może na mnie liczyć. – Luke patrzy jej prosto w oczy. – Mówiłem jej to.

– Tak. Cóż, może powinieneś pomyśleć o konsekwencjach, zanim...

– Tato. Proszę. Proszę. – Głos Emily jest niemal nieznośnie cichy.

– Więc... czy jeszcze coś chcecie dzisiaj od nas? Poza zapewnieniem, że Emily i Luke mogą liczyć na nasze wsparcie? – Z napięcia zaciskam dłonie w pięści.

– Nie. – Rebecca unosi brodę. – Ja... Chcieliśmy jedynie dopilnować, aby wszyscy wiedzieli, na czym stoimy. – Podnosi się i dociera do mnie, że to sygnał do wyjścia. Że chodziło tylko o upewnienie się, czy Luke nam o wszystkim powiedział.

Daję Rebecce kartkę z moim adresem mailowym.

– Dziękuję.

Wychodzimy w milczeniu. Żadnych uścisków dłoni. Nic więcej do powiedzenia.

Także w milczeniu wracamy do domu. Teraz to się stało rzeczywiste. W wieku siedemnastu lat Luke zostanie ojcem. Chcę się odezwać, powiedzieć, że wychowam to dziecko. Że w żadnym razie nie wolno im go oddać. Dziecka Luke'a...

A potem, kiedy zajeżdżamy pod dom, doznaję kolejnego szoku. Ze skrzynki pocztowej wystaje kolejna kartka. Tym razem bez koperty, ale nie da jej się pomylić z niczym innym. Czarna z kolorowymi literami.

Jest ósma wieczorem. Co znaczy, że ten, kto to robi, był pod naszym domem.

Jak skamieniała stoję pod werandą, wyobrażając sobie, jak ta osoba stoi dokładnie w tym miejscu. Przeraza mnie myśl, co to oznacza. Dla mnie i dla mojej rodziny. Dociera do mnie, że od razu powinnam była pójść na policję. Powiedzieć Tony'emu. Boję się, wszystko zaczyna mi się wymykać z rąk. Uświadamiam sobie także, że dzisiejszy wieczór nie powinien należeć do mnie i do Anny czy tego, co te kartki mogą albo czego nie mogą znaczyć.

Dzisiejszy wieczór powinien należeć do Luke'a.

9.00

Podoba mi się to, że nie jest pewna.

Dlatego właśnie lubię obserwować ludzi. Dlatego muszę to robić.

Nie pamiętam już nawet, jak się to wszystko zaczęło. Wiem jedynie, że stało się ważne. Trzeba obserwować, to niezwykle ważne – wychwytywanie różnic między tym, jak ludzie się zachowują, kiedy wiedzą, że są obserwowani... i kiedy o tym nie wiedzą.

Niektórzy postępują mniej więcej tak samo bez względu na to, czy są pod obserwacją, czy nie. Ale z większością ludzi jest inaczej. Pewność ma się dopiero wtedy, kiedy dużo się obserwuje.

Czasem, i to jest równie ważne, nie trzeba wcale wiele robić. Ludzie po prostu się dowiedzą. Zdradzą się. Wtedy obserwowanie staje się bardziej interesujące, dlatego że w końcu się odwrócą. W stronę okna. Albo dokładnie w tę stronę, co trzeba, i opuszczą roletę albo zaciągną zasłony. Zapalą światło. Albo sprawdzą drzwi.

Bywa, że muszę im trochę pomóc. Trochę to podkreślić. Dopóki nie zobaczę tego spojrzenia, które umiem już rozpoznawać. Chyba właśnie to spojrzenie lubię najbardziej.

Ktoś ma wrażenie, że jest obserwowany, ale brak mu całkowitej pewności...

Sarah siedzi na łóżku, wzrok utkwiała w stojącej na metalowej szafce zimnej herbacie. Czemu mama ciągle ją przynosi? Nie smakuje jej ta szpitalna lura. Ma dziwny zapach.

Ramię nadal ją boli od kroplówki. Początkowo nie rozumiała, czemu to całe zamieszanie trwa tak długo. Sądziła, że zrobią jej płukanie żołądka. Że trochę powymiotuje. Przeprosi. Wróci do domu. Ale nie.

Nikt nie mówi, jaka jest prawda. No bo i czemu? Każdy, kto przedawkował, chce przecież umrzeć, czemu więc detale dotyczące przeżycia miałyby mieć znaczenie? Do wpatrującej się w herbatę Sarah dociera, że w sumie to nawet nie pamięta, czy rzeczywiście chciała umrzeć. Nie pamiętała już, co konkretnie myślała, kiedy łykała tabletki. Wszystko spowił całun paniki związanej z tym, co się może wydać po tym programie w telewizji. Tym, że wszyscy się dowiedzą, co się wydarzyło w pociągu. Co naprawdę wydarzyło się w klubie...

Tak. Tylko panika. Pragnienie, aby to wszystko ustało.

Ale nie świadomy wybór. To nie było tak. I z całą pewnością nie chce teraz umrzeć. Dlatego konieczność stawienia czoła wszystkim szczegółom napawa ją takim przerażeniem. Obsesja na punkcie wątroby. Te badania. Szepty. Ponura mina konsultanta analizującego wyniki badań.

Sarah czuje, że trzęsą się jej ręce. Kiedy spuszcza na nie wzrok, okazuje się, że tak się właśnie dzieje. Żałuje, że nie sprawdziła wcześniej wszystkiego w internecie. Zastanawia się, jak to jest, kiedy się umiera. Czy to rzeczywiście boli? Czy się wie, że to już?

Przez chwilę jej myśli biegną ku Annie, ale szybko kładzie temu kres. Nie. Anna się odnajdzie. Anna musi się odnaleźć. Ale jednocześnie Sarah czuje się taka rozdarta. Pragnie powrotu przyjaciółki, ale nie chce, żeby wyszło na jaw...

W międzyczasie matka Sarah stara się pomniejszać znaczenie przeprowadzanych badań i testów; śpiwnym głosem powtarza, że wszystko będzie dobrze. Ale wcale tak nie jest. Wyniki badań wątroby są nadal niepewne. Jest czwarty dzień. Czwarty dzień to podobno wyjątkowo nefajny czas.

Oddano jej telefon i owszem, sprawdziła to sobie w necie. Mnóstwo ludzi umiera czwartego dnia, bo wątroba przestaje im pracować. Okazuje się, że dojsście do siebie po przedawkowaniu paracetamolu wcale nie oznacza, że jest się już bezpiecznym.

– Czy wątroba mi wysiądzie, mamoo?

– Przestań, Sarah. Nic ci nie będzie.

Nieprawda. Wyniki balansują na granicy i niewykluczone, że będzie potrzebny przeszczep. A może nie. Podobno z wątrobą nigdy nic nie wiadomo.

Faszerują ją węglem i kroplówką z jakimś lekarstwem, które ma pomóc wątrobie z poradzeniem sobie z tym bałaganem, ale brak jest gwarancji. Można jedynie czekać...

Najbardziej na świecie Sarah brakuje jej siostry, Lily. Mama nie chce rozmawiać o Lily, więc jedyne, co mogła zrobić, to napisać wiadomość na Facebooku. Tyle że Lily na razie nie odpisała. Od wieków nie zamieściła nic na tablicy... Ostatnie dodane przez nią zdjęcie zostało zrobione w jakimś dziwnym ośrodku jogi.

Słysząc, jak ktoś przesuwa parawan rozstawiony wokół łóżka. Wróciła jej matka.

– Kupiłam ci to. – W rękach trzyma dwa czasopisma i szpitalny banał, czyli winogrona.

Sarah patrzy na mamę i zalewa ją znajoma i dezorientująca mieszanina uczuć. Miłość. Gniew. Frustracja.

– Zadzwońię do twojego ojca. Powiem mu, jak się czujesz.

– Nie. Nie chcę, żeby tu przyjeżdżał. Chcę Lily.

– Sarah, daj spokój. Ma prawo wiedzieć, co u ciebie, a jeśli będzie chciał przyjechać...

– Nie dzwoń. Mówiłam, że nie mam ochoty go widzieć. Czemu nie chcesz rozmawiać o Lily?

– Lily dokonała własnych wyborów. Ma teraz swoje życie. Twój tato... bardzo się martwi.

Sarah odwraca głowę. Wystarczy, że się uparł i przyjechał do tego hotelu w Londynie. Rozmawiał z policją. Co rusz dzwonił. Dopytywał się. Może się bał tego, co ona może powiedzieć policji.

Sarah patrzy na matkę, zaaferowaną winogronami i czasopismami, przestawiającą pudełko z chusteczkami i nalewającą sok z butelki.

Ile razy próbowała poruszyć ten temat? Porozmawiać z nią. Wyjąć zawleczkę z granatu. Ale zawsze wygląda to właśnie tak. Matka ją zbywa. Ucisza. Zawleczka wraca na swoje miejsce. Pozostają pozory, że ich rodzina to standardowa rodzina, w której rodzice nie są razem. Że to smutne, ale poprawne. Zwyczajne. Przecież wiele par się rozwodzi.

„Twój ojciec odszedł, ale damy sobie radę. Wszystko odbędzie się w sposób kulturalny. Oboje nadal bardzo cię kochamy...”

Przez te wszystkie lata Sarah co jakiś czas się zastanawiała, czy nie podzielić się prawdą z Anną. Ale Anna wiodła zupełnie inne życie. Piękna Anna. I jej piękne życie.

Sarah opada na poduszki i zamyka oczy.

– No i dobrze, skarbie. Zdrzemnij się. Ja poczytam.

Poznały się w trzeciej klasie podstawówki, ona i Anna. W tamtych czasach tata Sarah pracował jako kierowca ciężarówki i często wyjeżdżał. Jej matka od zawsze chciała mieszkać na wsi, więc kupili nieduży dom w szeregowcu na osiedlu na obrzeżach wsi.

Sarah pamięta swój szok, kiedy Anna po raz pierwszy zaprosiła ją do siebie na podwieczorek. Drogę do wielkiego domu z panującym w nim chaosem, z psami i rzędem kaloszy w pomieszczeniu przeznaczonym specjalnie na buty, które okazało się większe od kuchni jej matki.

„Tylko sobie wyobraźcie – powiedziała swojej rodzinie. – Całe pomieszczenie wyłącznie na buty i dla psów. To szaleństwo”.

Tej pierwszej nocy po wizycie na farmie Sarah leżała w łóżku, przytłoczona tym, co zobaczyła i czego doznała. Podwieczorek w jej rodzinie to spaghetti z puszeki albo tosty czy choćby kanapki z frytkami z piekarnika. Nieco bardziej się starali tylko w weekendy, a nawet wtedy podawali jedzenie z puszek i woreczków.

U Anny było doprawdy surrealistycznie. Jej mama ugotowała niesamowitą potrawkę z mięsem i jarzynami, posypaną na wierzchu ziołami, na deser zrobiła crumble z jabłkami i domowym sosem z mleka i jajek. Była środa i Sarah początkowo sądziła, że ta wyjątkowa uczta to z powodu jej wizyty, ale Anna powiedziała, że nie, że to normalny podwieczorek. „Dlaczego cię to dziwi? Co ty lubisz jeść?”

Z pola wrócił ojciec Anny, żeby z nimi zjeść, okazał się czarujący i zabawny. Siedział przy stole w grubych, wełnianych skarpetkach. Zapytał Sarah, czy chciałaby przyjść z Anną obejrzeć niedawno urodzone owieczki.

Sarah przyjrzała się twarzom siedzących przy stole osób i miała wrażenie, że obserwuje wszystko ze środka dziwnej bańki. Dotarło do niej, że to jest naprawdę ich wersja normalności, a nie przedstawienie odgrywane na użytek gościa. Normalność Anny. Zupełnie inne życie Anny. I może to coś, co poczuła, nie było zazdrością, ale nie było jej przyjemnie, kiedy po raz pierwszy porównała swoje życie z życiem kogoś innego.

W innych aspektach ona i Anna także diametralnie się różniły. Anna była śliczna, serdeczna i cierpliwa. To ona jako pierwsza podeszła do Sarah, kiedy zobaczyła, jak ta stoi sama na placu zabaw – nowa uczennica. Anna zaprosiła ją do gry ze skakanką. A potem grały razem w odbijanie dwóch piłek od murku, recytując na zmianę rymowanki i zonglując piłkami, tak by nie upadły. Uradowały się, kiedy się okazało, że to ich wspólna pasja – *two-ball*. Wkrótce stały się najlepsze w szkole w tę grę. W sumie właśnie tak się wszystko zaczęło. Anna i Sarah. Najlepsze przyjaciółki.

Minęło kilka miesięcy, nim Sarah zebrała się na odwagę i zrewanżowała się

Annie zaproszeniem do siebie. Do tego czasu spędziła na podwieczorku na farmie pewnie już z kilkanaście popołudni. Potrawki i zapiekanki, lasagne i inne przepyszne dania – a do tego zawsze coś słodkiego. Ulubionym deserem Anny były ciastka ze śliwkami, coś w rodzaju herbatników z gotowanymi owocami w środku. Bosko pachniały, według Anny cynamonem. Bywało, że jadły je jako zimne przekąski, kiedy grały na podwórku w *two-ball*, innymi razy matka Anny podgrzewała je i serwowała na deser z gęstą śmietaną albo sosem.

Jenny, siostra Anny, także często gościła przyjaciół, wtedy przy stole robiło się tłoczno i głośno jak na przyjęciu. Najczęściej bywali tam Tim i Paul; cieszyło to Sarah, bo Tim mieszkał na osiedlu domków komunalnych, więc nie tylko ona wiodła zupełnie odmienne życie. Lepiej się czuła ze świadomością, że matka Tima w ogóle nie gotuje. W sumie to sam musiał się troszczyć o to, co zje, i dlatego pani Ballard tak lubiła go rozpieszczać – całą resztę także – swoim otwartym na gości domem, duszonym mięsem z warzywami i odwróconymi ciastami z owocami.

Nie minęło dużo czasu, a stali się paczką, zaś dom na farmie ich prywatnym placem zabaw. W krzakach niedaleko stodoły urządzili sobie obozowisko. W ciepłe dni pani Ballard rozstawiała na trawniku przed domem zraszacze, żeby w strojach kąpielowych mogli się gonić w strumieniach wody. Pan Ballard pozwalał im wszystkim jeździć na przyczepie doczepionej do quada, a chłopcy wtedy jeszcze go podjudzali okrzykami: „Szybciej, szybciej!”. Podczas tamtego pierwszego lata farma stanowiła dla Sarah drugi dom. Była taka szczęśliwa.

A potem, kiedy zbliżało się już Boże Narodzenie, Anna zapytała wprost: „Nie mogłabym przyjść kiedyś do ciebie, Sarah?”

„Chyba tak”.

Sarah denerwowała się, ale czuła także wstyd i wyrzuty sumienia – pragnęła być dumna ze swojej rodziny, niemniej martwiła się, co Anna sobie pomyśli. Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego ktoś, kto ma tak cudowny dom, mógłby chcieć bywać w innym miejscu. Ale nawet jeśli Annę zaskoczyło ich niewielkie lokum, frytki z piekarnika i pieczona fasola, nie dała tego po sobie poznać.

„Tak tu ciepło – rzekła, kiedy umościły się na parterze pod kocem, jaki podała im matka Sarah. – U ciebie jest tak ciepło, Sarah. U nas zimą jest zawsze lodowato”.

Przyjaźń przetrwała i czasy kolejnej szkoły. Tam Sarah odkryła coś wyjątkowego o sobie samej – że jest o wiele bystrzejsza, niż do tej pory sądziła. Trudno to było ocenić w tym małym stawie, jakim się teraz okazała wiejska podstawówka. Zawsze przodowała w dyktandach, jej wypracowania wieszano na ścianach, a z matematyki miała same piątki, ale w gimnazjum gwiazda Sarah nagle jeszcze bardziej rozbłysła. Celujące oceny ze wszystkich przedmiotów – nawet z matematyki, która Annie przysparzała problemów.

Sarah przypadła w ich przyjaźni nowa rola. Czuła dumę i w końcu mogła zaoferować coś ważnego rodzinie, która traktowała ją z taką serdecznością. Pomagała Annie w odrabianiu pracy domowej z arytmetyki czy geometrii. W pisaniu wypracowań.

Paul także brylował jako zdolny uczeń. Jego i Sarah żartobliwie określano mianem „speców”. Paul był synem jednej z koleżanek pani Ballard, a kiedy nagle wystrzelił w górę i wyprzystojniał, Sarah z jeszcze większą niecierpliwością wyczekiwała odwiedzin na farmie. Rodzice Anny kontynuowali politykę otwartych drzwi, nawet kiedy dzieci stały się nastolatkami. I więcej jadły. Głośniej goniły się nawzajem, wchodziły na drzewa i bawiły się w chowanego. Inni rodzice skarżyli się na hałas, jedzenie, muzykę i bałagan, ale nie pani Ballard.

Przez jakiś czas, kiedy Sarah i Paul pomagali pozostałym w pracy domowej nad talerzami z pizzą i ciasteczkami, wszystko wydawało się tak wspaniale wyważone. Branie i dawanie. Radosne i dobre.

Tak. Ten pierwszy rok w nowej szkole to dla Sarah najszcześniejszy okres w życiu.

To znaczy do czasu, kiedy dobiegał końca. Sarah miała dwanaście lat, właściwie to prawie trzynaście. Jej matka przebywała akurat u dawnej szkolnej koleżanki, zaś Lily poszła na noc do przyjaciółki, kiedy Sarah nagle dostała okres.

Zaczęła grzebać w komodzie siostry, licząc, że znajdzie podpaski. Najlepiej z paskiem kleju i skrzydełkami, które widziała w reklamach i które wyglądały na raczej proste w użyciu. Ale jedyne, co udało jej się znaleźć, to pudełko z tamponami. Przeraziła się, kiedy zaczęła czytać instrukcję. Na domiar złego w tym momencie do pokoju wszedł ojciec.

Sarah się rozplakała. Czuła potworne zażenowanie, on natomiast oświadczył, aby nie była niemądra. Że nie ma się czym martwić ani czego wstydzić. Wszystko jest najzupełniej normalne. Żałował, że żony nie ma w domu, ale Sarah miała się nie bać ani nie denerwować. To po prostu część dojrzewania.

Objął jej ramiona i przez chwilę Sarah czuła się szczęśliwa, że ma ojca, którego nie peszą takie rzeczy i który potrafi swobodnie o nich rozmawiać. Wziął od niej ulotkę o tamponach. Wyjaśnił, że one są tak naprawdę dla starszych dziewcząt i najpewniej jeszcze nie dla niej. Sarah już, już miała go prosić, aby zabrał ją do apteki i kupił podpaski, ale wtedy jej ojciec oświadczył, że ważne jest, aby to sprawdzić. Żeby niczego nie uszkodzić.

„Co takiego?”

„Mogę sprawdzić, wiesz? Zobaczyć, jak bardzo jesteś dojrzała. No wiesz. Tam na dole. Możemy wy badać, czy możesz spróbować włożyć ten tampon”.

„Nie. Nie trzeba. Zaczekam, aż wróci mama”.

„Nie bądź niemądra. Nie masz się absolutnie czego wstydzić. Okres to coś

najzupełniej normalnego. Nic, czego należy się wstydzić”.

Patrząc wstecz, Sarah już wie, co zresztą w głębi duszy wiedziała i wtedy, że w żadnym razie nie było to w porządku. Ale wtedy, zszokowana, nie miała czasu, żeby przeanalizować całą sytuację. Więc zrobiła coś strasznego: pozwoliła mu spojrzeć. Pozwoliła wyczuć, czy jest wystarczająco dojrzała. Wtedy on rzekł: „Nie, raczej nie powinnaś jeszcze wkładać tamponów”. Zaproponował, że wyskoczy do sklepu i kupi jej coś innego. „Nie masz się czego wstydzić”.

Siedziała na łóżku z chusteczkami w majtkach, w które wsiąkała krew. Znieruchomiała. Siedziała jak sparalizowana, nie odzywając się ani słowem. Miała wrażenie, jakby jej całe życie nagle skurczyło się do rozmiarów tej ciasnej kulki, która bolała ją równie mocno jak brzuch.

Problem w tym, że nadal nie wie, co zrobić ani co myśleć. Nadal nie powiedziała mamie. Ani nikomu innemu. Nawet Annie. Nikomu.

Zawleczka nadal pozostaje przytwierdzona do granatu.

Kiedy jej rodzice nagle się rozstali, odmówiła odwiedzin u ojca, przez co oboje byli na nią bardzo źli.

– Nie wypijaś herbaty. – Mama zabiera z szafki kubek i na jego miejsce kładzie winogrona, usuwając celofanowe opakowanie.

Sarah podnosi na nią wzrok. Mama patrzy na trzymany w ręce kubek z zimną herbatą.

A co jest najgorsze? Nie potrafi wyrzucić z myśli słów ojca, który zawsze się zachwycał tym, jaka piękna jest Anna. Na szkolnych koncertach. Podczas wieczorków z rodzicami. Prawdę mówiąc, wszyscy tak mówili, ale Sarah była zdania, po tych wszystkich godzinach spędzonych w szpitalu, kiedy nie miała do roboty nic oprócz myślenia, że jej ojciec mówił to częściej niż inni.

„Jest śliczna. Twoja przyjaciółka Anna. Naprawdę śliczna z niej dziewczyna”.

– Dzwoniła Barbara, mama Anny, żeby zapytać, jak się czujesz. Wszyscy przesyłają pozdrowienia. Czuwanie się udało. Wzmianka o nim pojawiła się w lokalnych wiadomościach. A paczka pyta, czy mogłaby cię odwiedzić, rozerwać cię trochę.

– Paczka?

– Tak. Jenny, Tim i Paul. Bardzo się o ciebie martwią i chcieliby tu przyjść.

– Nie. Nie chcę. Jeszcze nie teraz.

– Cóż, skoro nie czujesz się na siłach. Ale pewnie dobrze by ci to zrobiło. Barbara wydawała się bardzo przejęta. Wiesz, jak bardzo cię lubi.

– Na razie nie. Okej? Kiedy wrócę do domu. Może, kiedy będę już w domu.

Sarah nie jest w stanie myśleć o tym teraz. Jej głowę nagle wypełniają myśli o czymś innym, ważniejszym i dezorientującym.

Nie powiedziała prawdy na temat tego, co się stało z Anną w klubie.

Nie powiedziała także nikomu o esemesie, jaki tamtego wieczoru otrzymała od taty.

Czasami ludzie mnie pytają: „Dlaczego kwiaty, Ello?”.

Prawda jest taka, że nie pamiętam, kiedy moje życie nie obracało się wokół nich. Już jako mała dziewczynka zbierałam polne kwiaty podczas spacerów z babcią, urzeczona kolorami i zapachami oraz tym, na ile sposobów da się je ze sobą łączyć, wpływając na nastrój. Radosny pęk pierwiosnków, do którego można dodać dla kontrastu kilka dzwonków. Odrobina śródziemnomorskości dzięki połączeniu błękitu z kolorem żółtym. Uwielbiałam, kiedy mama pozwalała mi wybierać w supermarkecie kwiaty, a potem układać je w wazonach. Nauczyłam się, że tulipany wyglądają odpowiednio tylko wtedy, jeśli obetnie się je na taką wysokość, aby opadały na krawędź. Nigdy nie zapomniałam, jaką radość sprawiło mi nauczenie się wskrzeszania róż dzięki świeżej wodzie i przycięciu łodyg pod bardzo ostrym kątem. Obserwowałam, jak ponownie unoszą główki, jakby dziękowały.

Nic więc dziwnego, że kiedy dorosłam na tyle, aby poszukać sobie pracy na sobotę, wiedziałam dokładnie, gdzie spróbuję w pierwszej kolejności. W miasteczku, w którym dorastałam, znajdowała się niewielka kwiaciarnia. Mijałam ją każdego dnia w drodze do szkoły i wiosną zawsze się zatrzymywałam, aby przyjrzeć się wystawionym wiadrom z żonkilami, aby zlustrować wystawę. Szczerze mówiąc, nie należała do szczególnie inspirujących: standardowe bukiety, standardowe dekoracje i za dużo goździków.

Ale w życiu nie czułam takiej dumy, jak kiedy zaoferowano mi pracę na sześć godzin w każdą sobotę. Wcześniej wstawiałam, żeby pomóc rozpakować nową dostawę, wdychając nieziemski zapach świeżego kwiecia. Do tego błyszczące wstążki, szelest papieru i celofanu. Szybko się nauczyłam szanować popularne gusty – nieszczęsne goździki i brzydkie paprocie. Pilnowałam się, żeby nikogo nie urazić, i początkowo gryzłam się w język. Ale wraz ze wzrostem mojej wiedzy i pewności siebie zaczęłam proponować stałym klientom coś od siebie. A może słoneczniki? Albo lilie? Dla odmiany coś innego?

Nie minęło dużo czasu, a kierowniczką, Sue, pozwoliła mi zamawiać nowe artykuły i układać własne nieduże bukiety.

„Masz naprawdę dobre oko, Ello. Jesteś stworzona do tej pracy... Powinnaś pójść na kurs”.

Więc poszłam. Najpierw na podstawowe, następnie bardziej zaawansowane szkolenie układania wiązanek ślubnych. Trzeci kurs poświęcono nowoczesnym dekoracjom kwiatowym. Wzięłam udział w konkursie, wygrałam i pojawiłam się

w lokalnej prasie. Nagrodą był tygodniowy staż u jednej z najlepszych florystek w Londynie, jeżdżenie bladym świtem na giełdy kwiatowe. Przerazające. Wyczerpujące. Upajające. Niebo...

A potem stało się coś niewiarygodnego. Po maturze poszłam do *college'u*: florystyka i studia biznesowe. Podczas tego pierwszego roku zmarła moja babcia, pozostawiając niespodziewany spadek do podziału między pięcioro wnuków.

„Wybierz się na wakacje”, mówili mi przyjaciele. „Kup samochód. Albo wycieczkę dookoła świata”.

Nie. Tamtego wieczoru leżałam w łóżku i miałam pewność, co chcę zrobić. Udało mi się wynegocjować umowę najmu lokalu mojej własnej kwiaciarni. Według rodziców to było kompletne szaleństwo. „Masz pojęcie, ile małych firm upada podczas pierwszego roku?”

I owszem – mieli rację. Wyjście na swoje zajęło mi dłużej, niż się spodziewałam. Prawdę mówiąc, przez pierwszy rok po odliczeniu kosztów miałam na rękę niewiele więcej niż płacę minimalną, a nie będę nawet wspominać, ile czasu poświęcałam na pracę. Ale moja firma nie padła. Wprost przeciwnie, drugi i trzeci rok działalności tylko umocniły moją pozycję.

Nauczyłam się, jak zarabiać na ślubach i świętach. Dniu Matki. Walentynkach. Wiedziałam, że diabeł tkwi w szczegółach.

Chcąc rywalizować z supermarketami, musiałam oferować coś oryginalnego. Unikatową cechą, wyróżniającą mnie wśród konkurencji, był nieformalny styl z elementami *shabby chic* plus dodatki własnej roboty. Moje bukiety były wiązane sznurkiem, jeszcze zanim stało się to powszechną praktyką. Wykorzystywałam szpagat i samodzielnie robione przywieszki ozdobione sprasowanymi kwiatami. Nauczyłam się niczego nie marnować. Sprzedawałam przecenione bukietki, kiedy zamówiłam zbyt dużo towaru. Spędzałam dodatkowe godziny z prasą do kwiatów, gdy i te zostawały w kwiaciarni. Nie minęło dużo czasu, a zaczęłam dodawać do bukietów bileciki i przywieszki, a potem także sprzedawać je osobno, zapewniając sobie tym dodatkowy dochód.

Właśnie tutaj jestem najszczęśliwsza. W mojej kwiaciarni. Moim dziele.

Tutaj nie martwię się zbyt wiele tym, co myślą o mnie inni albo co sama mówię.

Tutaj – kiedy jest dopiero szósta rano, a reszta świata przekręca się w łóżku z boku na bok – przebywam we własnym, małym świecie, z zamówieniami do zrealizowania przed spotkaniem z policją w naszym domu. W tym prawdziwym świecie, w którym Anna nadal jest zaginiona, a kartki zaczęły napawać lękiem nie tylko mnie, ale i Tony'ego.

Oddaję się pracy. Bukiet urodzinowy do odbioru w południe. Sześć dekoracji na stół na kolację w jednym z miejscowych hoteli. Dwie kawy. Trzy. Oddaję się pracy, korzystając z ulubionego sekatora. Czerwony uchwyt i najlepsze ostrze na

rynku. Doskonała jakość.

I wtedy dzieje się coś dziwnego. Mniej więcej o szóstej trzydzieści, może szóstej czterdzieści pięć, pozostawiam na ladzie ostatnią z dekoracji, niemal gotową, aby skorzystać z ubikacji mieszczącej się na zapleczu. Kiedy wracam, sekatora nie ma. Na zewnątrz słychać samochód i przyznaję, że czuję strach. Generalnie obchodzę się z sekatorem bardzo ostrożnie, nie tylko dlatego, że jest bardzo ostry, ale także z powodu jego ceny. Nie chcę upuścić go na podłogę. Ten sekator to trochę jak ulubiony nóż szefa kuchni. Mam w szufladach dwa zapasowe, ale najwygodniejszy jest ten czerwony. Pozostałe nie leżą mi tak dobrze w ręce.

Podchodzę do drzwi i wyglądam na parking. Stoi na nim jeden samochód. Ma włączone światła, więc nie widzę, kto siedzi w środku. Sprawdzam drzwi. Otwarte. W normalnych okolicznościach nie przejmuję się czymś takim. Kiedy tu jestem, traktuję kwiaciarnię jako otwartą. Jeśli ktoś zauważy palące się w środku światło i wchodzi, chętnie coś mu sprzedaję. Chętnie przyjmuję zamówienie. Ale dzisiaj, ten jeden raz, zamykam zasuwę. Stoję w bezruchu, a serce wali mi jak młotem. Czekam chwilę. Dwie minuty. Może dłużej.

Nie bądź niemądra, Ello. Nie myśl za dużo.

Samochód w końcu odjeżdża, a ja się nieco rozluźniam, kiedy sobie przypominam, że nad lokalami znajdują się mieszkania, więc to nic zaskakującego. Pewnie ktoś po prostu wyjeżdża do pracy.

Wracam więc na zaplecze, a kiedy przechodzę przez łuk łączący je z frontem sklepu, z konsternacją dostrzegam, że na kasie leży sekator. Naprawdę nie pamiętam, żebym go tam położyła. W ogóle nigdy nie kładę go w tym miejscu. Góra kasy jest nieco skośna... a gdyby spadł? Rozglądam się tak, jak robi się to w kuchni, kiedy nie można znaleźć jakiegoś składnika, który zdążyło się już wyjąć z lodówki.

Jestem zmęczona. Otóż to. Jesteś zmęczona i podenerwowana. Za dużo myślisz, Ello. Tony miał rację... powinnaś była zostać w domu i później zająć się pracą.

Zdecydowanie zbyt wiele myśli krąży mi w głowie. Szybko kończę dekoracje i wkładam je do stojącej obok lady chłodziarki – czegoś w rodzaju lodówki na kwiaty, która utrzymuje kompozycje w idealnej temperaturze do mojego powrotu.

Tony'ego, odzianego wciąż w szlafrok, zastaję w kuchni.

– Wszystko w porządku? Martwiłem się. Powinnaś była pozwolić, bym pojechał z tobą.

– Tak, w porządku. Chciałam złapać cię jeszcze w domu, żebyśmy porozmawiali o Luke'u. Wszystko już zrobiłam.

Ton głosu ma teraz nieco spokojniejszy, ale z jego postawy i cieni pod oczami wnioskuję, że on także mało spał tej nocy. Zareagował tak, jak się spodziewałam: jest bardziej zmartwiony niż zły. „Powinnaś mi była powiedzieć, Ello”. Okropnie

się przez to czuję. Pokazałam mu ostatnią kartkę. Ale nie wspomniałam jeszcze o Matthew...

– Nie wiem, co teraz myśleć o twojej pracy w kwiaciarni w pojedynkę. Do tego o tak wczesnej porze. Dopóki się nie dowiemy, co się konkretnie dzieje. Co mówi policja. Szkoda, że mnie nie posłuchałaś. Że nie zostałam w domu albo nie pozwoliłaś, żebym ci towarzyszył.

– Musiałam zrealizować zamówienia, Tony. Zresztą okaże się pewnie, że to jakiś świr. Krościaty nastolatek, który nie ma nic lepszego do roboty. – Nie brzmi to szczególnie przekonująco, bo sama już nie wiem, co myślę. W co wierzę. Jak bardzo powinnam się bać.

– Był tutaj, Ello. Ten, kto napisał tę kartkę, był tutaj. Pod domem.

– Tak. I masz rację, to wszystko zmienia, teraz wiem, że powinnam była od razu ci powiedzieć. I bardzo mi przykro, że tak nie zrobiłam. Teraz chętnie wysłucham rad. Policja zjawi się za pół godziny. Wysłucham, co mają do powiedzenia, Tony. Do tej pory nie martwiłam się tylko dlatego, że naprawdę podejrzewałam matkę Anny.

– Czy możemy się zastanowić nad twoją pracą o tak wczesnej porze?

– Jeśli cię to zadowoli, na przyszłość postaram się trochę inaczej układać sobie dzień. – Patrzę mu w oczy. – Rozmawiałaś z Lukiem?

Wczoraj, kiedy leżeliśmy już w łóżku, to Tony pierwszy wypowiedział te słowa. „Uznasz mnie za szalonego, jeśli powiem, że powinniśmy rozważyć adopcję tego dziecka?” Rozpłakałam się i mocno go uściskałam, czując tak wielką ulgę, że myśli dokładnie to samo co ja. Zgodziliśmy się, że jesteśmy za starzy i pewnie oszaleliśmy, ale nie było takiej opcji, abyśmy pozwili obcym osobom wychowywać dziecko Luke’a, jeśli rodzinę Emily to przerośnie.

– Mówi, że za jakiś czas wspomni o tym Emily. To dopiero dziesiąty tydzień i trochę za wcześnie na podejmowanie decyzji. – Dotyka mojego policzka. – Chyba poczuł ulgę, ale trudno powiedzieć. Nadal jest w szoku.

Tony wyjaśnia, że Luke chciałby na razie odpuścić sobie pracę w kwiaciarni. To dla niego zbyt wiele. W pełni go rozumiem, choć wiem, że niełatwo będzie mi znaleźć kogoś na zastępstwo. Zaczynanie pracy bladym świtem na ogół działa zniechęcająco. Ale Luke musi być najważniejszy, więc coś wymyślimy.

– Okej. Przekonajmy się więc, co powie policja, dobrze? Potem raz jeszcze porozmawiamy o Luke’u i kwiaciarni. – Ujmuję jego dłoń, nadal spoczywającą na moim policzku, i ją całuję.

Szczerze mówiąc, jestem zaskoczona tym, że odwiedzi nas ten komisarz z Londynu. Podobno przyjechał tutaj, aby spotkać się z Ballardami w sprawie nowych ustaleń, do nas przyjedzie w drodze powrotnej.

Wiem od Matthew, że wcześniejsza kartka trafiła w ręce jego dawnej znajomej

z policji. Nie znaleziono na niej żadnych śladów. Żadnych odcisków. Ale tę nową także chcą zobaczyć. Włożyłam ją do przezroczystego woreczka. Matthew mówi, że dostanę od nich porządne torebki na dowody i specjalne rękawiczki na wypadek, gdybym otrzymała kolejne przesyłki. Podobno zwiększa to szanse na zdjęcie odcisków palców. Poprosił, abym nie wymieniała jego nazwiska. Abym sugerowała, że sama przekazałam kartki policji.

Tony się odsuwa i zagląda pod zlew. Pewnie szuka sprayu na muchy, bo jedna bzyczy przy kuchennym oknie. W końcu odpuszcza i zamiast tego otwiera okno, wygania natręta ścierką, po czym ponownie odwraca się w moją stronę i przechyla głowę.

- Wyglądasz na naprawdę zmęczoną, Ello. Dobrze się czujesz, skarbie?
- Tak. Po prostu ulżyło mi, że wiesz już o kartkach.

Henry siedzi na swoim ulubionym miejscu na murku, z którego ma widok na leżące wyżej, przysparzające problemów łąki. Nad płynącą niżej rzeką czai się delikatna mgła. Owce pasą się bezpiecznie po drugiej części zbocza, więc Sammy jest zadowolony. Henry gładzi uszy psiaka.

W chwilach takich jak ta, kiedy obserwuje, jak wczesnoranne słońce przegania mgłę, Henry czuje niemal spokój. Myśli o tym, że na największej z łąk chciałby ustawić więcej płotu, żeby owce nie zsuwały się po błotnistym zboczu w stronę rzeki, ale ogrodzenie jest drogie, a Barbara nie wyraża zgody na wydawanie pieniędzy na farmę.

Nowe kuchnie i prysznice do domków letniskowych? Proszę bardzo. Zapłacenie web designerowi za optymalizację ich pozycji w wyszukiwarce, cokolwiek by to nie znaczyło? To najwyraźniej „ma sens pod względem finansowym”. Ale ogrodzenie? Pasza dla zwierząt? Naprawa traktora?

Patrzy na psa, który dyszy po radosnym obiegnięciu łąki. Ich i sąsiada. Dla Henry’ego to nadal ma prawdziwy sens. Pies, który wesoło obiega każdą łąkę, wraca do pana i triumfującym machaniem ogona oznajmia, że wszystko zostało sprawdzone.

Zerka na zegarek. Jeszcze godzina. Powinien się zbierać. Wziąć prysznic. Odbyć kolejną kłótnię z Barbarą. Po raz ostatni spróbować załagodzić sytuację, nim przyjdzie mu się z nią zmierzyć.

„No to chodź, chłopie”.

Celowo wybiera dłuższą drogę. Dzisiaj nie jest w stanie iść Ścieżką Pierwiosnków. Wiesza watowaną kurtkę w przedsionku, kiedy zjawia się Barbara.

– Gdzie byłeś? Musimy porozmawiać, Henry. Przed przyjazdem policji. Martwię się tym, jakie mogę mieć kłopoty. Musimy myśleć o Jenny.

– Zaraz do ciebie przyjdę.

W kuchni Barbara siedzi za dużym stołem z sosnowym blatem i bębni w niego palcami. Henry wbija wzrok w stojący obok kuchenki czajnik, zastanawiając się nad herbatą, ale porzuca ten pomysł. Przenosi wzrok na żonę.

– Mogę mieć poważne kłopoty, Henry. Wiedziałałam, że niepotrzebnie dałam ci się przekonać, aby skłamać policji. – Pociąga za rękaw swetra.

– Będzie dobrze, Barbaro. Naprawimy to. Zrozumieją.

– Czyżby? Naprawdę?

Henry zamyka oczy. Przykro mu, że zdenerwował żonę. Przykro mu, że ona musi przechodzić jeszcze i przez to. Że jest złym mężem. Ale jest także zmęczony

koniecznością przeproszenia milion razy, a to wcale nie pomaga ani niczego nie zmienia.

– Przepraszam, Barbaro.

– Cóż, z całym szacunkiem, ale na to już za późno. Okłamanie policji to krzywoprzysięstwo, tak?

– Tak chyba jest tylko w sądzie, skarbie.

Henry wbija wzrok w podłogę. I w swoje grube, szare, wełniane skarpety.

„Brzydę się tobą”. Znowu głos Anny. W jego głowie. Anna w samochodzie. Na fotelu pasażera. Nie chce spojrzeć mu w twarz.

I w tej chwili dociera do niego, że nic, co powie Barbara albo policja, nie sprawi, że poczuje się jeszcze gorzej niż teraz.

– Zresztą nadal nie rozumiem, dlaczego musieliśmy skłamać. Masz pojęcie, jak się czułam tamtej nocy, Henry? Nasza córka zaginęła. Ja tutaj... zupełnie sama.

Henry zamyka oczy. Milczy.

– Chcę, żebyś się wyprowadził.

– Och, daj spokój, Barbaro. W jaki sposób to pomoże? Pomyśl o Jenny. I jak mam utrzymać farmę, jeśli się wyprowadzę?

– Nie ma już farmy, Henry. Nie ma jej od lat.

Otwiera oczy i ich spojrzenia się spotykają.

– I ty się zastanawiasz, dlaczego nam się nie udało, Barbaro? Wychodzisz za farmera, a potem postanawiasz, że nie chcesz już być żoną farmera.

– To nie fair.

– Nie?

Przez kilka minut siedzą w milczeniu.

– No dobrze. Więc spotkamy się z nimi razem. Z policją, Barbaro. I wytłumaczę, dlaczego poprosiłem cię, abyś skłamała o tamtej nocy, kiedy zaginęła Anna. Będzie dobrze. Wyprostujemy to. Przykro mi, jeśli cię zdenerwowałem, ale o ile rzeczywiście chcesz, żebyśmy się wyprowadził, to z całym szacunkiem, uważam, że to, co będę robił od jutra, przestaje być twoją sprawą. Na razie pójdę wziąć prysznic.

Na górze, stojąc pod strumieniem gorącej wody, zdecydowanie zbyt gorącej, Henry po raz pierwszy czuje ulgę. Od lat się łudził, że potrafi to dalej ciągnąć. Ale teraz?

Podstawia twarz pod wodę, musi obniżyć temperaturę, inaczej poparzy wrażliwą skórę. I przez krótką chwilę robi to, czego nie robił od śmierci matki. W strumieniu gorącej wody, przez którą skóra robi mu się zbyt czerwona, Henry Ballard płacze.

Płacze z powodu Anny, która nigdy się nie odnajdzie. I która wie o nim to, co najgorsze.

„Brzydę się tobą, tato...”

Po prysznicu goli się po raz drugi dzisiejszego dnia, wybiera niebieską koszulę w kratkę, czyste dżinsy i granatową bluzę. Wykonuje to wszystko na autopilocie. Już dawno dał sobie spokój z tworzeniem w głowie scenariuszy. Będzie, co ma być.

Przyjeżdża ich troje. Miejskowa nadinspektor, Melanie Sanders, z którą mieli okazję spotkać się kilka razy i która wydaje się raczej miła; Cathy, funkcjonariuszka odpowiadająca za kontakty z rodziną; i wysoki, szczupły komisarz z Londynu. Jego akurat Henry nigdy nie lubił.

Atmosfera od samego początku jest znacząco inna niż podczas wcześniejszych spotkań. Cathy częstuje się kawą, którą Barbara stawia na tacy na stole, ale komisarz odmawia.

– Rozumiem, że chciał pan z nami porozmawiać, panie Ballard?

– Tak, przepraszam. Bardzo źle się z tym czuję, ale muszę wyjaśnić coś dotyczącego tej nocy, kiedy zginęła Anna.

Komisarz spogląda na dwie policjantki, po czym wraca wzrokiem do Ballardów.

– Interesujące. To musi być telepatia, panie Ballard, dlatego że przejechałem taki kawał drogi, żeby porozmawiać z panem dokładnie o tym samym. – Nawet nie próbuje kryć sarkazmu. – Widzi pan, po tym rocznicowym apelu w telewizji otrzymaliśmy kilka bardzo interesujących telefonów. Telefonów, które okazały się dla nas nieco dezorientujące.

Henry patrzy na Barbarę, która siedzi w kompletnym bezruchu.

– Może pan zacznie, panie Ballard.

– Dobrze. Bardzo mnie to krępuje, ale skłamałem odnośnie do tej nocy, kiedy zginęła Anna, poprosiłem też Barbarę, aby mnie kryła, bo tak bardzo się wstydziłem. Nie chciałem, aby to odwracało waszą uwagę od śledztwa.

Henry czuje, jak spojrzenie jego żony wwierca się w niego.

– To wyłącznie moja wina. Nie mojej żony. Za dużo wypilem. Nie było mnie w domu.

– Nie było pana w domu?

– Nie.

– I fakt, że mówi nam pan to teraz, nie ma nic wspólnego z tym, że ma pan świadomość, iż jesteśmy w posiadaniu nowych informacji?

– Nie. Oczywiście, że nie. Skąd miałbym o tym wiedzieć?

– Dobrze, panie Ballard. Rozumiem, że nowa wersja dotycząca miejsca pańskiego pobytu tej nocy, kiedy zginęła pańska córka, wyjaśni, jak to możliwe, że tamtego wieczoru widziano pański samochód w pobliżu stacji kolejowej.

– Słucham?

– Panie Ballard, przyjechałem tu dzisiaj, aby zapytać, jak to możliwe, że tego wieczoru, kiedy zginęła Anna, pański samochód znajdował się niedaleko dworca.

Nie tutaj, na farmie, jak wcześniej twierdziliście razem z żoną, ale w sąsiedztwie stacji, z której odjeżdża ekspres do Londynu. Moje pytanie jest więc następujące: czy tej nocy, kiedy zaginęła pańska córka, pojechał pan do Londynu? Czy właśnie to chciał nam pan powiedzieć?

– Proszę sobie nie żartować. Oczywiście, że nie. Byłem tu rano, kiedy przyjechała policja. Wie pan o tym. To nie byłoby możliwe. Za daleko. Jak mógłbym...

– Wie pan co, panie Ballard? Po namyśle uważam, że może byłoby lepiej, gdybyśmy kontynuowali tę rozmowę w nieco bardziej formalnych warunkach. Na miejscowym komisariacie. Jestem pewny, że nadinspektor Melanie Sanders użyczy nam jednego z sympatycznych pokojów przesłuchań.

Henry czuje przypływ paniki. Ma wrażenie, że zmieniała się temperatura otoczenia. Nie może zebrać myśli i przez chwilę nie jest w stanie określić, czy jest mu zbyt gorąco czy zbyt zimno. Po prostu coś jest nie tak z jego ubraniem. Materiał znajduje się zbyt blisko skóry. Przywiera do niej, jakby była jeszcze mokra po prysznicu. Spanikowany spogląda w stronę żony, ale nie znajduje wsparcia ani pociechy. W jej oczach dostrzega jedynie potworną konsternację.

– No to co, jedziemy, panie Ballard?

A może powinien zapytać, czy ma wybór. Czy to aresztowanie czy prośba? Powinien kazać zadzwonić Barbarze do ich prawnika? A może powinien się zaprzecić i odmówić? Szybko zbiera myśli. Musi zachowywać się bardzo, ale to bardzo ostrożnie. W tej chwili kilka niewłaściwych słów albo brak współpracy może się dla niego bardzo źle skończyć. Może zostać błędnie zrozumiany.

Dlatego Henry Ballard wstaje, a kiedy wychodzą z domu, stara się zachować spokój i postanawia, że przynajmniej na razie nie powie nic więcej.

Leżę w łóżku i rozmyślam o karmie. Niemądre, ale ta ostatnia kartka naprawdę namąciła mi w głowie.

Wciąż miewam te sny. Anna w pociągu. Odgłosy wydawane przez Sarah i tego kolesia w tej przeklętej ubikacji. A potem szok z powodu Luke'a i jego dziewczyny.

Nie należę do zwolenniczek pop-psychologii, ale nie da się nie dostrzec ironii, prawda? I mam wrażenie – sama nie wiem – jakby życie próbowało dać mi potworną nauczkę, a mój umysł po prostu sobie z tym nie radzi. W niektóre noce bywa tak źle, że aż mnie ściska w klatce piersiowej. Muszę wstać, zaparzyć herbatę, a potem oczywiście wstaje także Tony – mocno się martwiąc, a to ostatnie, czego pragnę. Kiedy jestem sama, próbuję odtwarzać sobie wydarzenia w głowie, analizować, jaką konkretnie ponoszę odpowiedzialność za to, co się stało z tą biedną dziewczyną. Tak bardzo żałuję, że nie potrafię się cofnąć w czasie i rozegrać wszystkiego zupełnie inaczej.

A potem? Problem w tym, że – z ręką na sercu – mimo wszystko nie potrafię cofnąć się tam w myślach i nie być zbulwersowaną tym, że tamta dziewczyna i tamten mężczyzna uprawiali seks w ubikacji tak szybko po poznaniu się.

Żałuję, że nie potrafię przedstawić tego innym w odpowiedni sposób. Zapytać otwarcie, co oni by zrobili na moim miejscu. Czy byliby zaszokowani czy wytrąceni z równowagi tym, co usłyszałam. Problem w tym, że policja ujawniła jedynie tyle, że świadek podsłuchał, jak dziewczęta są zagadywane przez mężczyzn, którzy właśnie wyszli z więzienia, i że świadek poczuł się zaszokowany tym, jak szybko się do siebie zbliżyli. Jak szybko poczynili wspólne, nieroztropne plany. Niebezpieczne plany.

Osądzono mnie tylko i wyłącznie za to. Za brak reakcji, kiedy dwie dziewczyny z prowincji zostały ewidentnie namierzone przez dwóch mężczyzn po odsiadce. O tym właśnie nawijały media społecznościowe i brukowce. Co wy byście zrobili? Pilnowalibyście własnego nosa? Dwie szesnastolatki. Dwóch mężczyzn prosto z więzienia.

Policja nigdy nie ujawniła informacji o seksie w ubikacji i poproszono mnie, abym dla dobra śledztwa zachowała to dla siebie, więc mogłam powiedzieć jedynie Tony'emu. Według niego miałam prawo być zaszokowana. Twierdzi także, że gdyby ludzie znali wszystkie fakty, nie byliby tacy prędcy w ocenie mojego postępowania.

Kiedy się dowiedzieliśmy o Luke'u i jego dziewczynie, ponownie poruszyliśmy

ten temat. Tony uważa, że to coś zupełnie innego – młoda dziewczyna uprawiająca seks w publicznej toalecie z niemalże nieznanym *versus* Luke i Emily, którzy popełnili błąd w pełnym uczucia związku. Wiem, że ma rację, niemniej czuję się z lekka hipokrytką, że tak ostro osądziłam Sarah.

Tony pojechał dziś wcześniej do pracy. On także pracuje w branży handlowej, ale w zupełnie innym sektorze: sprzedaje płatki zbożowe do supermarketów. Pełni obowiązki kierownika regionalnego, a jeśli słupki sprzedaży okażą się zadowalające, awansuje na stałe. Jestem z niego bardzo dumna, choć jego pracy towarzyszy ogromna presja, żałuję też, że tak często musi wyjeżdżać.

Na razie obiecałam tak sobie organizować pracę, aby zbyt często nie przebywać w kwaciarni sama poza godzinami jej otwarcia. Przynajmniej dopóki nie dowiemy się czegoś od policji i nie poczujemy się nieco spokojniejsi.

Tak więc trochę to dla mnie dziwne. Druga kawa w łóżku. Jest ósma, co dla florystki oznacza wylegiwanie się. Mam czas, żeby się porządnie zastanowić.

Nad karmą.

A także nad tym, czy jestem pruderyjna. To znaczy zdecydowanie można mnie uznać za ciut niedzisiejszą. Naiwnie sobie wyobrażałam, że mój siedemnastoletni syn nie uprawia jeszcze seksu. Martwię się, że w kwestii tego, co wydarzyło się w pociągu, wykazałam się hipokryzją. Czy w moim osądzie chodziło o płeć? Bo pierwsza myśl była taka, że Sarah nie jest tak miłą dziewczyną, jak sobie wyobrażałam, i właśnie dlatego odżegnałam się od tej całej sytuacji. A gdyby to był Luke? Nie. Może jednak nie jestem taką hipokrytką, bo w sumie byłabym tak samo zbulwersowana i zaszokowana, gdyby mój syn, albo inny młody mężczyzna, zachował się tak jak Sarah.

Może prawda jest taka, że po prostu lubię granice. Nie zrozumcie mnie źle, nie chodzi o seks jako taki; Tony i ja świetnie się dogadujemy w tej sferze życia, za co jestem wdzięczna. Uważam jedynie, że to coś prywatnego. Seks. Nie przypadkowego i swobodnego, nie coś, o czym się rozmawia z nieznanymi podczas proszonych kolacji. I z całą pewnością nie coś, czym dzieli się z nieznanym w ubikacji w pociągu.

A jeśli chodzi o karmę...

Dzwoni telefon – na wyświetlaczu widzę, że to Matthew Hill. Zerkam na zegarek. Dziesięć po ósmej.

– Witaj, Matthew. Właściwie to zamierzałam do ciebie zadzwonić. Dać ci znać, że ten komisarz z Londynu przełożył spotkanie, zjawi się nieco później. Musiał zostać w Kornwalii. Wspomniał coś o nowych faktach w dochodzeniu i liczę, że to oznacza progres.

– Cóż, nie chcę cię pozbawiać złudzeń, ale właśnie rozmawiałem ze swoim kontaktem w Kornwalii i wygląda na to, że dochodzenie zabrnęło w ślepią uliczkę.

Ale mniejsza z tym. Ważna wiadomość. Właśnie otrzymałem ten telefon. Moja żona zaczęła rodzić. Jadę po nią. Chciałem ci przekazać, że przez kilka dni mogę być niedostępny.

– Kilka dni? – Śmieję się. – Chyba nie wiesz jeszcze, w co się pakujesz, Matthew. Ale to wspaniała wiadomość. Daj mi proszę znać, jak poszło. Wiecie już, czy to chłopiec czy dziewczynka?

– Nie. Woleliśmy mieć niespodziankę...

– Rozumiem. Powodzenia. Jedź ostrożnie i postaraj się uspokoić.

– Do usłyszenia.

Odkładam telefon i siedzę nieruchomo. Matthew Hill wyraźnie nie ma pojęcia, co go czeka, i może nie jest to wcale takie złe. Kiedy zostajesz rodzicem, przekonujesz się, że miłość może się wiązać z większym strachem, niż sobie wcześniej wyobrażałeś, i już nigdy tak samo nie patrzysz na świat. Dlatego właśnie nie potrafię sobie poradzić ze swoim udziałem w zaginięciu Anny.

– Mogę ich wpuścić, skarbie? Tylko na pięć–dziesięć minut? To ci może poprawić nastrój. Pielęgniarka mówi, że jeśli nie zostaną długo, to może zrobić wyjątek.

Sarah patrzy na matkę i wie, że to nie jest tak naprawdę pytanie. Kiedy jej mama zalecenie ubiera w formę pytającą, robi tę charakterystyczną minę. Nachyla się lekko, nie mruga, a potem unosi brwi, sygnalizując, że istnieje tylko jedna poprawna odpowiedź. Konkretnie – tak. Kiedy Sarah była mała, buntowała się przeciwko tej taktyce, ale już dawno temu się nauczyła, że nie ma sensu stawiać oporu. I nie ma energii na wysłuchiwanie kolejnych wykładów.

– Okej. Ale jestem zmęczona, więc na krótko.

Jest dzień szósty i Sarah zapewniono, że funkcjonowanie jej wątroby się poprawia. Kiedy konsultant zagląda na salę, nie ma już tak zatroskanej miny, a pielęgniarki mówią, że wszystko zmierza we właściwym kierunku. Szpitalny zespół psychologów dał jej w końcu spokój i jest nawet mowa o rychłym wyjściu ze szpitala.

Sarah nie ma pewności, co czuje, jeśli chodzi o powrót do domu. Jej emocje zmieniają się jak w kalejdoskopie. Strach przed śmiercią szybko ustąpił miejsca zniecierpliwieniu szpitalem i matką.

Wróciły też wcześniejsze obawy – o to, co może przynieść telewizyjny apel.

Kiedy przyjaciele wchodzą na salę, wyglądają na wystraszonych. Sarah zajmuje teraz izolatkę sąsiadującą z oddziałem dziecięcym. Jako siedemnastolatka nie kwalifikuje się na oddział dla dorosłych, więc dzięki takiemu rozwiązaniu ma się poczuć mniej skrepowana. Od pielęgniarek się dowiedziała, że ma szczęście, bo ta sala była wolna.

Ma szczęście?

– Nie wiedzieliśmy, co ci przynieść, więc zdecydowaliśmy się na cukier. Twoja mama nie będzie zadowolona, ale co tam. – Tim trzyma w ręce duże pudełko herbatników i opakowanie krówek.

Sarah postanawia karać ich możliwie jak najdłużej i nikomu nie patrzy w oczy.

Minionej nocy miała sen, w którym wszyscy byli na farmie, na przyjęciu urodzinowym, jakie pani Ballard wyprawiła Timowi. Miał wtedy dziesięć lat, może jedenaście. Mama Anny bardzo się zbulwersowała, kiedy się dowiedziała, że matka Tima nie zawraca sobie głowy żadnymi przyjęciami; naprawdę się postarała – przepyszny podwieczorek i ozdobiony bitą śmietaną czekoladowy tort w kształcie gwiazdy. Tim i Paul przynieśli zestaw do balonów i nauczyli się tworzyć z nich kształt psa, miecza i kapelusza. Kiedy po przyjęciu Sarah szła wąską drogą do

domu, pod pachą trzymała intensywnie żółtego psiaka. Tak dobrze się bawiła tamtego dnia i było jej smutno, że to już koniec. Poczowała wtedy, że wyraz jej twarzy ulega zmianie. Chłopcy spojrzeli na nią z ukosa. „Ciężko wracać do domu, co nie?” Nie pamięta, który z nich to powiedział, Tim czy Paul, ale pamięta, jak się poczuła, kiedy pokiwała głową: zrobiło jej się naprawdę smutno, lecz miała też wyrzuty sumienia. Wiedziała, że nie powinna woleć rodziny Anny od swojej, tylko że nic nie mogła na to poradzić.

A teraz? Sarah w końcu podnosi wzrok i przesuwa go po twarzach. Zastanawia się, co, u licha, stało się z nimi wszystkimi. W którym momencie przestali być osobami, którymi byli dla siebie przed laty?

Jenny jest blada i Sarah ma nadzieję, że pamięta te wszystkie potworności, jakie powiedziała podczas ich kłótni. Nie tylko chłopcy zachowali się okrutnie. W tym momencie przed oczami wyobraźni Sarah widzi też Annę w klubie. Zamyka oczy i opiera się o poduszki.

– Dobrze się czujesz? Mamy zawołać pielęgniarkę? – pyta Jenny.

– Nie. Jestem tylko zmęczona.

– Tak. Oczywiście. Słuchaj, obiecaliśmy twojej mamie, że nie zostaniemy długo, ale chcieliśmy... – Jenny urywa i nagle wciąga głośno powietrze.

– Przyszliśmy, bo chcieliśmy przeprosić. Za to, co mówiliśmy. – Pałeczkę przejmuje Tim.

Sarah otwiera oczy i ponownie przesuwa wzrokiem po ich trójce. Tim. Paul. Jenny.

– Gryzą nas straszne wyrzuty sumienia. Za to, że wymiksowaliśmy się z wyjazdu, żeby zrobić coś innego. Taka jest prawda. – Paul bawi się sprzączką paska. – Nie powinniśmy byli wyżywać się na tobie.

– Przepraszacie, że tak powiedzieliście... ale i tak uważacie, że to moja wina?

Sarah wbija wzrok w chłopców. To oni krzyczeli najgłośniej podczas kłótni.

– Ci mężczyźni. Gdyby tylko znaleziono tych mężczyzn. – Znowu Jenny.

Sarah w końcu bierze głęboki oddech.

– Powiedźcie lepiej, jak wypadł apel w telewizji? Pojawiło się dużo telefonów? Mam przy sobie komórkę, ale za słaby net, żeby go obejrzeć.

Lody zostały przełamane. Rozmawiają o tym, jak bardzo pomógł ten program. Podobno telefony się rozdzwoniły. Sarah po raz kolejny kłamie, że te tabletki to był wypadek i że mają się nie martwić.

– Więc nie zrobisz tego ponownie? – Ton głosu Jenny jest naglący.

– Nie. Obiecałam mamie, że będę bardziej ostrożna. To było takie głupie. Wróćmy do programu. Co konkretnie pokazali?

Jenny naprawdę się cieszy, że wykorzystali ten uroczy filmik z Anną, a także kilka zdjęć, które przesłała mailem producentowi. Jej matka zdenerwowała się

jednak, bo wywiad z nią mocno okrojono.

– Wycięto wszystko, co mówiła o tych innych zaginionych dziewczynach, które odnalazły się po latach, i że nikt nie powinien tracić nadziei, kluczowa może się okazać nawet najdrobniejsza informacja.

Wszyscy przez chwilę milczą. Sarah ponownie zamyka oczy.

A potem nagle do izolatki wparowuje jej matka, przeganiając wszystkich i oświadczając, że personel nagiął zasady i że nie powinni tego nadużywać. Żegnają się i jeszcze raz przepraszają.

Po wyjściu przyjaciół matka Sarah siada na krześle obok łóżka i raz za razem wygładza spódnice.

– O co chodzi, mamo?

– O nic.

– Nie kręć.

Matka nalewa do pustej szklanki trochę soku i uzupełnia go wodą z plastikowego dzbanka. Przygląda się uważnie opakowaniu krówek.

– Okej. Znowu dzwonił z policji, Sarah. Oczywiście lekarze twierdzą, że jesteś zbyt słaba, żeby się z nimi spotkać. Chciałam cię przed tym uchronić. Wystarczająco wiele przeszłaś. Chcą znowu z tobą porozmawiać, kiedy już wrócisz do domu, więc uznałam, że powinnaś o tym wiedzieć. Przygotować się, żeby cię nie zaskoczyli.

– Ale o czym? O czym chcą ze mną rozmawiać?

– Podobno pojawili się nowi świadkowie z klubu. Po tym apelu w telewizji. Tyle tylko wiem.

– Ale ja już wszystko powiedziałam. Wszystko, co pamiętam.

– Wiem, skarbie.

– Nie. Nie chcę już z nimi rozmawiać.

– W porządku, kochanie. Rozumiem. Nie denerwuj się. Spróbuję im wyjaśnić, że musisz odpoczywać.

Sarah osuwa się na poduszki, zamyka oczy i po raz kolejny próbuje odsunąć od siebie echo głosu Anny. Desperację widoczną na jej twarzy tamtej nocy w klubie.

„Naprawdę musimy już iść. Nie czuję się bezpiecznie. Błagam cię. Proszę...”

Jeśli chodzi o złożoną Tony'emu obietnicę, że nie będę przebywała sama w kwaciarni wczesnym rankiem, nim nie zainstalujemy nowego alarmu... Cóż, spróbujcie wyciągnąć z łóżka o świcie nastolatka w depresji. Trudno się na niego gniewać. Luke obiecał, że będzie pracował do czasu, aż znajdę kogoś za niego, ale obecnie przypomina zombie. Wciąż wygląda na tak bardzo zmęczonego. Pozwalamy mu nie chodzić do szkoły przez kilka kolejnych dni, podczas gdy wszyscy oswiają się z tym, co się dzieje z Emily. Naprawdę nie wiadomo, jak to wszystko rozegrać.

Dziś rano zapukałam do jego drzwi, ale odpowiedziała mi cisza. Później do niego zajrzałam, wyglądał okropnie. Bolała go głowa, więc dałam mu proszki i poprosiłam, aby dołączył do mnie, kiedy będzie w stanie. Tony wyjechał do Bristolu, więc mam dylemat. Obowiązki względem klientów kontra bezpieczeństwo i złożona mężowi obietnica. Jedyńm plusem jest to, że policja okazuje się naprawdę pomocna. To pewnie wyrzuty sumienia z powodu wycieku mojego nazwiska. Dość często wysyłają radiowóz, który przejeżdża obok domu i kwaciarni tylko po to, żeby „zaznaczyć obecność”. Wydają się przekonani, że to jakiś niegroźny świr, ale my i tak zamówiliśmy do kwaciarni nowy alarm. Próbuje sobie wmawiać, że wszystko jest pod kontrolą.

Ostatecznie decyduję się udać do pracy w pojedynkę – tylko tym razem – i będę męczyć Luke'a, aż w końcu się zjawi. Niedawno zdał egzamin na prawo jazdy, Tony kupił mu mini, więc dojazd nie stanowi problemu.

Nim docieram do kwaciarni, wysyłam Luke'owi dwie wiadomości, ale nie otrzymuję odpowiedzi. Jeśli mam być szczerą, to smutno mi, że chce zrezygnować z tej pracy. Pomagał mi w weekendy, odkąd skończył czternaście lat; do tej pory chętnie to robił, świetnie sobie radzi w kontaktach z klientami. Taka sytuacja była korzystna dla obu stron – on miał dodatkowe pieniądze, a ja czułam, że ta praca uczy go dyscypliny i zrozumienia, jak to jest, kiedy otrzymuje się wynagrodzenie za przepracowane godziny – kiedy czuje się zmęczenie, ale i satysfakcję.

Wyjazd Tony'ego do Bristolu jest ważny dla jego awansu – zastanawiają się, czy powinni dokonać rebrandingu płatków – dlatego postanawiam, że nic mu nie będę mówić o zaistniałej sytuacji. Będzie się martwił i denerwował, że jestem tu zupełnie sama.

Okej, skoncentruj się, Ello. Sześć dekoracji na stół na lunch w urzędzie miasta. To ważna impreza i regularny klient z polecenia, więc nie chciałabym go zawieść. Taki jest problem z powracającymi klientami: z jednej strony ci to schlebia,

z drugiej zawsze się boisz, że możesz stać się od nich zależny. Czujesz strach, że może ci się powinąć noga i klient pójdzie do kogoś innego.

W normalnych okolicznościach rysuję szkice i ustaliam wszystko drogą mailową z kierowniczką cateringu, Kate. Ma dobre oko i często zamieszcza zdjęcia moich kompozycji w mediach społecznościowych, co w dzisiejszych czasach okazuje się bardzo pomocne. Dzięki niej zyskałam reputację osoby, która robi coś oryginalnego. Nie chcę jednak spocząć na laurach.

Dbam, aby wszystko zawsze wyglądało świeżo, dzięki temu zgromadziłam przez lata całe mnóstwo wazonów i podpórek. Żałuję jedynie, że nie mam więcej miejsca na przechowywanie towaru, choć pewnie i tak za dużo wydaję na prezentację. W przypadku firm tak małych jak moja granica jest naprawdę cienka, ale uważam, że inwestowanie w sprzęt pomaga w przypadku regularnych klientów, których trzeba czymś przecież zaskakiwać. Prowadzi to do większej liczby udostępnień zdjęć z moimi kompozycjami.

Do tego akurat zlecenia wykorzystuję małe wiaderka z cynkowanej stali; zdecydowaliśmy się na nowoczesność i intensywne barwy. Wybieram czerwone anturia, białe róże i eustomy na tle błyszczących, zielonych liści. Będzie to pięknie kontrastować z białymi obrusami i pomieszczeniem, w którym królują neutralne barwy.

Powtarzam Tony'emu, że przy każdym zleceniu na przyjęcie mam nadzieję, iż goście zapytają, kto odpowiada za kwiaty. Kate jest bardzo lojalna i zawsze ma pod ręką moje wizytówki. Frustruję się jedynie wtedy, kiedy odzywają się do mnie mieszkający daleko uczestnicy konferencji z propozycją nowego zlecenia, a ja przecież działam tylko w niedużym promieniu.

O rety. Czas płynie, a nadal ani słowa od Luke'a.

Jest jeszcze dość ciemno i zastanawiam się nad kolejną kawą, kiedy słyszę jakiś samochód. Może to on? Ale to chyba nie jest jego mini. Auto zatrzymuje się pod kwaciarnią. Nieruchomieję.

Niedorzeczne. To tylko samochód, Ello. Uspokój się.

Stoję w kompletnym bezruchu, czekając, aż auto odjedzie, tak się jednak nie dzieje. Światła gasną. Mówię sobie, że to pewnie ktoś do jednego z mieszkań.

Odczekuję minutę albo dwie, po czym ponownie piszę do Luke'a. Nie odpisuje. Panuje teraz cisza, więc wracam do kwiatów. Nakazuję sobie skoncentrować się na pracy. I wtedy... O mój Boże.

Ktoś łapie za klamkę. Drzwi są oczywiście zamknięte na klucz. Chryste.

Luke ma klucz. To nie może być on.

Biorę do ręki komórkę, gotowa, aby wezwać pomoc. Jeśli temu komuś uda się dostać do środka, ucieknę przez zaplecze, dzwoniąc jednocześnie na policję. Nawet gdy plan ten dopiero formuje się w mojej głowie, czuję strach, ale jednocześnie

mam wrażenie, że zachowuję się niedorzecznie.

Znowu szarpanie za klamkę. Nie widzę, kto to taki, bo roleta jest opuszczona.

Stoję w bezruchu. Światło pali się jedynie na zapleczu. Nie otworzę drzwi. Nie ma mowy. Część mnie pragnie wierzyć, że to Luke – że zapomniał klucza. Ale przecież zadzwoniłby do mnie.

Kroki. Tak. W końcu słyszę, jak ktoś się oddala. To dobrze. Dobrze. Dzięki Bogu. Znowu zapalają się światła samochodu. Odjeżdża.

Zastanawiam się, czy powinnam zadzwonić do Tony'ego, ale wtedy sobie przypominam, że miałam nie przebywać tutaj sama. To takie dziwne, że możesz stać w jakimś miejscu – miejscu, w którym zazwyczaj czujesz się bezpieczna i szczęśliwa – a potem nagle tkwisz w tym samym punkcie i czujesz się jak zupełnie inna osoba.

Nie chcę być tą osobą.

Nie znoszę tej nowej osoby.

Czuję, że do oczu napływają mi łzy. Ty głupia, głupia babo. Czemu przed rokiem nie mogłaś zachować się tak, jak należy? Czemu nie zadzwoniłaś z pociągu do rodziców i to nie ich obarczyłaś odpowiedzialnością za to wszystko?

Dlaczego, dlaczego, dlaczego? Dlaczego nie zrobiłaś tej jednej, prostej rzeczy, Ello?

Nie wiem, jak długo tak stoję, ale kiedy zerkam na zegarek, przekonuję się, że zdecydowanie za długo. Zaczynam mieć mało czasu.

W tym momencie dzwoni mój telefon, a ja podskakuję przerażona. Imię Luke'a na wyświetlaczu.

– Byłeś przed chwilą przy drzwiach?

– Nie. A co się stało? Dzwonię, żeby ci powiedzieć, że właśnie wyjeżdżam. Czemu jesteś taka wystraszona, mamoo?

– Bez powodu. Bez powodu. Mógłbyś przyjechać tu jak najszybciej? Obiecałeś tacie...

Rozłączam się. I od razu żałuję swojego tonu. Cholera. Wysyłam esemesa z przeprosinami.

„Przepraszam. Jestem po prostu zmęczona. Kawa już czeka”.

A potem w końcu wracam do kwiatów i próbuję się zatracić w cudnych kolorach i zapachu. Skoncentrować się na pracy. Przez chwilę się zastanawiam, czy te wiaderka to dobry wybór. Może powinnam się była zdecydować na lustrzane kwadratowe pojemniki. Nie, zresztą i tak już za późno. Nie mam czasu, żeby zaczynać od nowa.

Na dworze zdążyło się zrobić jasno, a ja czuję ulgę, bo dzięki temu lepiej widzę przejeżdżające i parkujące samochody. Nie mam już tego absurdalnego uczucia, że jestem obserwowana, jakbym się znajdowała w akwarium.

Kilka minut przed siódmą ktoś znowu łapie za klamkę. Tym razem esemes od Luke'a potwierdza, że to on. Rzeczywiście zapomniał kluczy.

– Czemu zamykasz drzwi, mamó? Sądziłem, że lubisz, jak uda ci się coś niespodziewanie sprzedać.

– Tata mówi, że tak właśnie powinnam robić. Przez te głupie kartki, które ktoś mi przysyła.

– Przecież policja mówiła, że to najprawdopodobniej jakiś internetowy troll.

– Mówiła. I tak pewnie jest. Ale chcemy zachować ostrożność. No wiesz, dmuchać na zimne. Jak tam głowa?

– Już nie boli. Znowu będziesz się musiała z nimi spotykać? Z policją? – Wygląda na zaniepokojonego i żałuję, że tyle mu powiedziałam.

– Nie wiem. Raczej nie. Jestem pewna, że wszystko się uspokoi.

– Cóż, jeśli się dowiem, kto ci wysłał te kartki, to się z nim rozprawię.

– Nie mów tak, Luke. Wcale w ten sposób nie pomagasz. Musimy pozwolić, aby zajęła się tym policja. Nie my.

– Nie tak mówił tata.

– Słucham?

– Och, nic takiego. – Wygląda na zmieszanego. – To co, chcesz jeszcze jedną kawę, mamó? Ja to umieram z głodu. Masz coś do jedzenia?

Henry po raz pierwszy wziął do ręki broń, kiedy miał dziewięć lat. Ojciec kazał mu obiecać, że nie zdradzi się tym przed mamą. Razem z wujkiem George'em zabrali go na jedną z niżej położonych łąk, tuż przy rzece, aby zapolować na króliki.

Szkodniki – takim mianem określał je ojciec. Siedem królików zjadało tyle co jedna owca. Siały spustoszenie wśród upraw, także w ogrodzie warzywnym, a ich nory stanowiły zagrożenie dla inwentarza. Ojciec Henry'ego twierdził, że jako dziecko widział ciele z potwornie wykręconą łapą po tym, jak wpadło do króliczej nory. Trzeba je było oczywiście zastrzelić, ale strasznie cierpiało, nim z zamykanej na klucz szafki przyniesiono broń. „Przekłęte króliki...”

Podczas tej pierwszej lekcji strzelania poznał zasady dotyczące bezpieczeństwa. I przepisy. Usłyszał, że własną strzelbę dostanie, kiedy będzie znacznie starszy, a i to dopiero, jeśli udowodni, że jest odpowiedzialny i przestrzega wszystkich zasad. Prawo zezwalało na odstrzeliwanie królików, ale nie borsuków, trzeba więc było bardzo uważać.

Tato i wujek wyjaśnili mu reguły bezpieczeństwa. Strzela się tam, gdzie nie ma żywego inwentarza. Ani publicznego dostępu. Tylko za dnia. Zawsze należy sprawdzić, czy nie ma się przed sobą innych strzelców. Przed oddaniem strzału trzeba się upewnić, gdzie się znajdują wszystkie towarzyszące ci osoby.

Leżąc na trawie, jego ojciec naładował broń i nauczył Henry'ego, jak się strzela. Ostrzegł go, że strzelbę odrzuci nieco w jego ramię i że powinien być na to przygotowany. Wkrótce się do tego przyzwyczai, a oni zabiorą go na strzelanie do rzutków, żeby mógł poćwiczyć.

Po pierwszym strzale Henry poczuł przerażenie. Miał fuksa. Od razu trafił. Zaszokowany patrzył, jak królik podskakuje, po czym upada. Zdumienie i radość jego ojca pozostawały w sprzeczności z tym, co działo się w żołądku Henry'ego. Nic nie powiedział, ale zrobiło mu się niedobrze, do gardła podeszła mu żółć.

„Dobra robota, synu. Poważnie. Masz do tego smykałkę. Mój Boże, George. Widziałeś? Ma chłopak oko”.

Obecnie szafka na broń znajduje się w niedużym gabinecie sąsiadującym z pomieszczeniem na buty. Spełnia wszystkie przewidziane prawem wymagania, aczkolwiek Henry żałuje, że nie wybrał modelu z zamkiem szyfrowym. To podstawowa wersja na klucz, który trzeba przechowywać osobno. Formalnie rzecz biorąc, nie powinien nikomu mówić, gdzie chowa klucz, i regularnie zmieniać jego lokalizację. W praktyce nieraz już się zdarzyło, że zapomniał nową sekretną lokalizację i przeszukiwał gniewnie cały dom, klnąc na Barbarę i dziewczynki. Tak

więc teraz trzyma go w szufladzie ze skarpetkami, a konkretnie w starej, czerwonej skarpecie do rugby, której i tak nigdy nie zakłada. Łatwo mu to zapamiętać i jest zdania, że złodziej raczej nie będzie grzebał w jego bieliźnie.

Kiedy jednak raz na jakiś czas w wiadomościach słyszy się o tym, że jakieś dziecko dostało się do broni, Henry wpada w panikę i natychmiast sprawdza, czy klucz znajduje się na swoim miejscu.

Dzisiaj budzi się wcześnie w gościnnym pokoju. Barbara nalegała, aby się wyprowadził ze wspólnej sypialni od razu po powrocie z komisariatu. Formalnie nie został aresztowany, a policja sprawdza na razie jego nową wersję, a mimo że Barbara chce, aby się wyprowadził z domu, do Henry'ego dociera, że jego sytuacja wcale się nie poprawiła.

Co ci powiedziała policja? Dlaczego twój samochód stał niedaleko stacji? Mówiłeś, że się upiłeś. Że spałeś na parkingu pod pubem. Czemu, do diaska, nie chcesz mi powiedzieć, co się dzieje, Henry...

Patrzy na zegarek. Piąta trzydzieści. Sprawdza, czy w szufladzie stolika nocnego leży klucz, który wyjął ze skarpety wczoraj wieczorem, kiedy Barbara zajmowała się szykowaniem kolacji. Zakłada te same ubrania co wczoraj, po czym chowa klucz do kieszeni. Następnie rozsuwa zasłony i krzywi się na widok nieba zbyt pięknego na ten dzień. Na ten nastrój. Na ten plan.

Henry przez jakiś czas wsłuchuje się w swój oddech, obserwując chmury. Cirrostratusy. Ojciec uczył go także o chmurach. Farmer powinien umieć je czytać. Cirrostratusy są jak cienkie, niemal przezroczyste prześcieradła na linie z praniem. Oznaczają zbliżający się deszcz. Henry czuje w środku znajomy, mimowolny skurcz.

Schodzi na dół, starając się zachowywać najciszej, jak to możliwe, uważając na trzeci stopień od dołu, który najgłośniej trzeszczy. Przez kuchnię przechodzi do przedsiionka, gdzie z entuzjazmem wita go Sammy. Kiedy Henry napotyka znajome spojrzenie bursztynowych oczu, ściska go w żołądku. Klepie psa po głowie – zostań – następnie udaje się do gabinetu i wyjmuje z kieszeni klucz. Wybiera swoją najstarszą strzelbę, z drewnianej, stojącej w rogu szafki bierze amunicję (nie do końca jest to bezpieczne, nieco nagiął przepisy), po czym zamyka metalową szafkę i wraca do pomieszczenia na buty, gdzie nadal stoi Sammy. Głowę ma przechyloną i czeka na pozwolenie.

– Nie. Nie dzisiaj, piesku. Ty zostajesz.

Pies wydaje się skonsternowany. Strzyże uszami. Lekko przebiera łapami.

– Powiedziałem: zostań. Słyszysz? Wracaj na posłanie.

Ich spojrzenia ponownie się spotykają i Sammy siada. Patrzy z wywieszonym językiem, jak Henry wychodzi.

Jest chłodniej, niż się spodziewał. Przygląda się trawnikowi naprzeciwko

podjazdu, raz jeszcze wspominając namioty i trampolinę. Dziewczynki piszczące z radości w swojej kryjówce w krzakach.

Pamięta, że mała Anna uwielbiała, jak brało się ją za nogi i obracało wokół trawnika. I jak mu było smutno, kiedy zrobiła się za wysoka i coś takiego stało się już niebezpieczne.

„Jesteś za wysoka”.

„Och, proszę, tatusiu”.

„Uderzysz głową w ziemię. Nie mogę”.

Przypomina mu się czuwanie, zaskoczyło go. Wzruszające było to, że zjawilo się tyle osób. Świeczki. Śpiewanie. Barbara i Jenny trzymające się pod ramię, zbyt zasmucone, żeby się włączyć. Usta miały zaciśnięte, powstrzymywały łzy.

Teraz ogląda się na dom, następnie najciszej, jak się da, przechodzi po zwirowym podjeździe do sąsiedniej stodoły. Korzysta z niedużych bocznych drzwi. Siada w kącie, na jednej z bel słomy pozostałych po czuwaniu.

Kładzie strzelbę na ziemi i czuje, jak serce bije mu coraz szybciej. Boi się?

Nie otrzymuje żadnej odpowiedzi.

Zamiast tego przed oczami przesuwają mu się cały album z obrazami. Tasowane i rozkładane karty. On i Barbara w podróży poślubnej. Zupełnie inni ludzie. Dziewczynki jako niemowlęta. Anna z jasnymi włoskami, Jenny z ciemnymi. Może to jego podświadomość wysyła te sentymentalne wspomnienia, żeby Henry przekonał siebie do zmiany zdania. Ale nie. Wkrótce policja się dowie, że wcale nie spał w samochodzie dlatego, że był pijany. Wkrótce także Barbara pozna prawdę.

I wtedy w jego głowie pojawia się nowa myśl.

„Henry, ty idioto”.

W domu usłyszą strzał. Cholera. Przyjdą i znajdą go. Zobaczą. Pierwsza może będzie Jenny. Czemu, u licha, wcześniej o tym nie pomyślał?

Wyjmuje z kieszeni telefon i opracowuje strategię. Może zadzwonić na policję. Kazać im przyjechać. Tak. Może się także zamknąć od środka, żeby dopiero policja otworzyła drzwi. Czy to się uda? A może powinien odejść dalej od domu? Aż na wzgórze? Ale wtedy znajdzie go ktoś inny. Jakiś inny biedny, niewinny człowiek. Dopiero teraz do Henry’ego dociera, że w ogóle tego nie przemyślał. Szuka w kieszeni kawałka kartki. Długopis? Znajduje jedynie kilka starych paragonów, kawałek drutu i puste opakowanie po gumach do żucia.

Zamyka oczy i marszcząc czoło, myśli o przyjaciółce Anny, Sarah, i jej tabletkach. Czy ona wszystko przemyślała? Rzeczywiście zamierzała to zrobić? Napisała list pożegnalny? W jaki sposób się wytłumaczy, jeśli tego nie zrobi?

Serce wali mu tak mocno, że aż sprawia to ból. Przygotowuje broń – najpierw ją ładuje, po czym ustawia na ziemi, lufę kierując w swoją szyję.

Z jakiegoś powodu przychodzi mu do głowy program telewizyjny, w którym charakteryzator opowiadał, że w filmach wykorzystuje się wątrobę, aby krew i fragmenty mózgu wyglądały realistycznie. Wyobraża sobie, że już pociągnął za spust. Ciekawe, co nastąpi potem? Nicość? A może coś innego? Henry nie należy do osób religijnych, więc nie wie, czego się spodziewać. Zaskakuje go jednak to, że przejmują się bólem.

Przesuwa lekko strzelbę, tak że wylot lufy skierowany jest w sufit, i podejmuje decyzję. Nie napisze listu, więc będzie musiał zadzwonić. Tak. Ponownie bierze do ręki telefon, aby zadzwonić na policję.

Ma w komórce numer nadinspektor Melanie Sanders i postanawia, że to do niej najpierw się odezwie. Lubi ją. Wydaje się przyzwoita. O wiele bardziej niż ten koleś z metropolitarnej. Słyszy sygnał. Jeden. Drugi. Trzeci. Modli się, żeby odebrała. Piąty. Szósty. Serce nieprzerwanie wali mu jak młotem, kiedy zamyka oczy, modląc się, żeby nie włączyła się poczta głosowa.

Sarah milczy podczas jazdy do domu, natomiast jej mamie nie zamyka się buzia. Na razie nie musi chodzić do szkoły. Pozostanie w domu tak długo, jak będzie trzeba. Aż nabierze sił.

Jej matka cieszy się, iż Sarah pogodziła się z przyjaciółmi, musi szukać w nich teraz wsparcia. Nikt nikogo nie wini. Koniec z tymi bzdurami. A może urządzą sobie niedługo wieczór z pizzą? Obejrzą jakiś film?

Sarah jest zaskoczona, bo drogę z samochodu do domu pokonuje chwiejnym krokiem. To pewnie przez ten czas spędzony w łóżku. Patrzy na rosnące pod oknem od salonu krzewy różane i dostrzega mnóstwo kwiatów. Kiedy zabierano ją do szpitala – pamięta, że leżała na noszach i niesiono ją obok klombu – jeszcze ich nie było. Teraz jest pięć. Nie, sześć. Dziwnie się czuje, że tak szybko się to zmieniło.

– Chodź, chodź, skarbie. Zaparzę nam pyszną herbatę.

Nie chce herbaty, ale nic nie mówi.

W stanie lekkiego oszołomienia wchodzi do salonu. Jej mama kładzie na kanapie torbę. Sarah patrzy na nią. Torba w kratkę, a w niej kosmetyczka, która w Londynie tak bardzo jej była potrzebna. Eyeliner, tusz do rzęs i ulubiony błyszczczyk. Przegląda się w wiszącym nad kanapą lustrze. Dzisiaj nie jest pomalowana. Jej oczy wydają się małe. Usta ma wysuszone.

W odbiciu widzi oprawione w ramki zdjęcia ustawione na drewnianej półce, która wisi na przeciwległej ścianie. Na jednym z nich siedzi w nadmuchiwanym basenie i puszcza bańki mydlane. Obok niej kucają uśmiechnięci rodzice. Na innej fotografii stoi na rękach, a jej spódniczka opada, odsłaniając białe majtki w różowe groszki. Marszczy czoło, próbując sobie przypomnieć, kto zrobił to zdjęcie.

A potem dostrzega swoją siostrę, Lily, siedzącą na ławce we Francji, podczas wakacji. Wygląda na smutną. Nie, nie smutną, to nie jest odpowiednie słowo. Wydaje się jakaś taka odległa i zdystansowana.

Sarah słyszy, jak mama krząta się w aneksie kuchennym.

– Czemu tak naprawdę Lily wyjechała?

– Przepraszam. Nie słyszę cię przez ten czajnik. – Mama wraca do salonu.

Sarah wpatruje się w zdjęcie siostry.

– Czemu Lily nas zostawiła?

– Nie sądzę, aby to była odpowiednia pora na taką rozmowę. Musisz odpocząć, skarbie.

Przechyła głowę, po czym odwraca się i patrzy na mamę. Do oczu napływają jej

ły, drży jej dolna warga. Wie, z jaką łatwością jej mama włoży zawleczkę z powrotem do granatu, tak jak zawsze. A Sarah jak zawsze jej na to pozwoli...?

– Chodziło o tatę, prawda? Dlatego wyjechała.

Z twarzy jej matki odpływa krew.

– Czemu tak mówisz? Wiesz, dlaczego odszedł wasz ojciec. Nie dogadywaliśmy się, a kiedy narobiło się z Lily, wszystko stało się trochę...

– Co się narobiło?

Sarah nie widziała siostry od trzech lat. Lily czasem dzwoni, aby sprawdzić, co u Sarah, ale od ostatniego telefonu minęło już sporo czasu. Są znajomymi na Facebooku, ale ilekroć Sarah zagląda na profil siostry, ledwie ją rozpoznaje. Przechodzi jakąś fazę hipisowską. Włosy ma pomalowane na dziwne kolory. Dziwne ubrania. Mieszka w Devon razem z jakąś dziwną grupą. Jej wszystkie posty dotyczą kryształów i uzdrawiania. Jogi i świec. Reiki i mąki orkiszowej. Sarah za nią tęskni; nie może uwierzyć, że Lily nie kontaktowała się z nią w ostatnim czasie, kiedy to wszystko znowu pojawiło się w wiadomościach.

– Chcę znać prawdę, mamo.

– Prawdę? W twoich ustach brzmi to tak melodramatycznie, skarbie. Sporo przeszłaś. Jesteś wytrącona z równowagi. Twój ojciec i ja przestaliśmy się dogadywać i tyle. Wiesz, że oboje nadal cię kochamy.

Sarah próbuje coś wyczytać ze spojrzenia matki; nie odwraca wzroku, licząc, że wywoła to w niej jakąś reakcję. Ale czajnik sygnalizuje, że woda się zagotowała, i mama się odwraca.

– Nie chcę nic pić, dziękuję. Położę się.

– A może zjesz kanapkę?

– Już mówiłam, że nie trzeba.

Sarah bierze z kanapy torbę i udaje się na górę. Zamyka drzwi swojego pokoju i opiera się o nie plecami, z ręką na chłodnej, ceramicznej gałce. Pamięta, że to Lily je wybrała – nowe gałki do całego domu. „To niesamowite, jaką różnicę czynią detale”. To był ten etap, kiedy Lily ciągle mówiła o studiowaniu sztuki i była nakręcona jak nie jednym, to innym projektem. Ich niewielkie pomieszczenie gospodarcze zostało zamienione w pracownię. Jednego tygodnia Lily filcowała wełnę albo malowała na jedwabiu, następnego farbowała bawełnianą pościel, z której zamierzała zrobić szmaciaki.

A potem nagle wszystko się urwało. Zastąpiły to kłótnie. Krzyki i trzaskanie drzwiami. Wagary. Spędzanie całego dnia w łóżku. Zdystansowanie na twarzy Lily na tym zdjęciu z Francji.

Sarah spogląda na zegarek, po czym podchodzi do biurka i zapala lampkę. Włącza laptopa i niecierpliwie czeka, aż się uruchomi. Na Facebooku czeka na nią mnóstwo nowych wiadomości ze słowami wsparcia i życzeniami powrotu do

zdrowia. Większość znajomych wie, że dzisiaj wraca ze szpitala. Wieści szybko się rozchodzą. Kiedy Anna zaginęła, Sarah musiała usunąć ze znajomych wiele osób, które czyniły nieprzyjemne uwagi. Przez jakiś czas zastanawiała się, czy zupełnie nie zlikwidować konta. Nadal raz na jakiś czas otrzymuje jakiś niemiły komentarz, ale stara się je ignorować i blokuje każdego, kto przekracza granicę. Prawda jest taka, że nie potrafi znieść tego, co niektórzy mówią, ale jeszcze bardziej przejmują się tym, co mogą mówić za jej plecami. Nie likwiduje więc konta.

Sarah wchodzi na profil siostry, która w międzyczasie zdążyła zmienić zdjęcie profilowe – końce włosów ma teraz zabarwione na różowo. Wstawiła także nowe zdjęcia: sady i łąki, joga o świcie. Spora grupa osób trzymających się za ręce, twarze odwrócone od aparatu.

Otwiera okienko nowej wiadomości do siostry i zalewa ją fala smutku. Ostatni raz pisały ze sobą krótko po tym, jak zaginęła Anna. Czyta raz jeszcze ich wszystkie wiadomości. Lily kilka razy dzwoniła, ale wtedy Sarah nadal była w szoku i zamknęła się na wszystko inne.

Teraz czuje się inaczej. Przygryzając wargę, pisze: „Muszę z tobą porozmawiać, Lily...”. Przed wysłaniem wiadomości czyta ją ponownie. Dociera do niej, że nie brzmi to zbyt jasno; to za mało, aby sprowokować reakcję. Dopisuje swój nowy numer telefonu, a potem coś jeszcze... „Chodzi o tatę. Martwię się, że miał coś wspólnego z zaginięciem Anny...”

Z mocno bijącym sercem trzyma palec nad przyciskiem „wyślij”. Przez chwilę nie jest pewna, czy potrafi to zrobić. Nie wie, czy ma w sobie wystarczająco dużo odwagi, aby wyjąć zawleczkę z granatu. Na chwilę zasłania dłońmi usta.

A potem wypuszcza głośno powietrze i wysyła wiadomość.

– Mówię serio, musisz przestać tak na mnie patrzeć. – Żona Matthew uśmiecha się do niego, a nowo narodzona córeczka ssie radośnie jej lewą pierś. Niemowlę, niesłychanie maleńkie, z imponującą ciemną czupryną, zostało delikatnie ułożone na poduszce, żeby nie obciążać brzucha Sally po cesarskim cięciu.

Matthew nic nie jest w stanie na to poradzić. Usta ma uchylone, oczy szeroko otwarte. To wszystko jest takie...

– Przepraszam. Ale to do mnie jeszcze nie dociera.

– Wiem. To rzeczywiście cud, ciągle to powtarzasz, Matt. Bardzo się cieszę, że tak to odbierasz, naprawdę, ale musisz przestać na mnie patrzeć takim wzrokiem.

– Jakim wzrokiem?

– Pełnym uwielbienia. Jakbym nagle stała się jakąś boginią. To mnie przyprawia o gęsią skórkę. Jeszcze bardziej niż mina, jaką robisz podczas seksu.

– Mojej minie do seksu niczego nie brakuje. – Pokazuje żonie język.

Matthew nie zamierza się przyznawać, ale już to sprawdził w łazienkowym lustrze po tym, jak na początku ich znajomości Sally określiła ją jako dość interesującą. Nigdy wcześniej tego nie słyszał. Po uważnych oględzinach doszedł do wniosku, że jest, może nie niepokojąca, ale... skupiona.

– Wspominałem już, że jesteś niesamowita? – Matthew muska ramię żony, a po chwili gładzi ciemne włosy córeczki.

Córka. Bawi się tym słowem w myślach i oddycha głęboko.

– Powiedz, jakie masz plany na dzisiaj, tatusiu?

To pytanie go zaskakuje.

– Jak to? Zamierzam siedzieć tutaj z moimi dwiema ślicznymi dziewczynami. A cóż miałbym robić innego?

– Przez cały dzień?

– A czemu nie?

– Dlatego że jeśli będziesz tu siedział z tą miną przez cały dzień, nie prześpię się ja, nie prześni się twoja śliczna córka, a ty umrzesz z nudów.

– To nie jest nudne. To jest...

– Cud. Wiem, kochanie.

Oboje się śmieją.

Matthew rozgląda się po pokoju, po czym wstaje i podchodzi do leżącej na krześle torby z dziecięcymi rzeczami. Miękkimi i uroczyimi ciuszkami w kolorze białym i żółtym, nie chcieli znać wcześniej płci dziecka.

Dzięki awaryjnej cesarce mogą się cieszyć prywatnością jednoosobowego

pokoju. Odwrócony plecami do żony, raz jeszcze myśli o tym, jakie to wszystko było straszne. Osiem godzin tortur zwanych porodem, a potem potworna wiadomość, że dziecko ułożyło się w niewłaściwej pozycji i że konieczne jest cesarskie cięcie. Sal wcale tego nie chciała i Matthew nigdy nie zapomni strachu, niepokoju i szoku na twarzy żony, kiedy przewożono ją na salę operacyjną. Trzymał ją za rękę, próbował uspokajać.

To pewnie stąd to uniesienie. Ten wzrok pełen uwielbienia. Fala przemożnej ulgi.

– Sugeruję, żebyś na kilka godzin pojechał do domu. Wziął prysznic i trochę się przespał. A wieczorem możesz wrócić. Po południu ma wpaść moja mama i jeśli mam być szczerą, Matthew, to jestem wykończona. Przyda mi się trochę snu.

Siada obok niej na łóżku.

– Na pewno? Dziwnie się czuję z myślą, że miałbym cię zostawić.

– Jesteś tutaj od wielu godzin, skarbie.

– To nic w porównaniu z tym, przez co przeszłaś ty.

Sally zaciska usta i zaczynają jej błyszczeć oczy.

– Przeróżające to było, prawda?

Kiwa głową, bojąc się, że zawiedzie go głos, jeśli zbyt szybko się odezwie. Na wszelki wypadek kaszle.

– Posłuchaj, Matthew, spędzę tu kilka kolejnych dni, nie spodziewaliśmy tego. Może więc do czasu, aż wrócę do domu, popracujesz trochę nad swoją sprawą?

– Nie myślałem o pracy. – Kłamstwo.

Jego żona przechyla głowę. Tak dobrze go zna.

– Okej. Może trochę, ale tylko dlatego, że po czymś takim wszystko postrzega się inaczej.

– To znaczy?

– Och, nieważne. – Żałuje, że to powiedział; nie chce łączyć swojej ślicznej dziewczynki z pracą, z tą nową, przesładującą go myślą. Żony także nie chce z tym łączyć. Jednak prawda jest taka, że na tak wiele spraw patrzy teraz zupełnie inaczej. Zdjęcie Anny z Facebooka, wykorzystywane w mediach przez ostatni rok. Jej matka, Barbara. Także Ella. Inaczej to postrzega. Czuje ściskanie w żołądku i przyłapuje się na tym, że macha nerwowo prawą nogą.

– Cóż, według mnie coś takiego ma sens. Popracujesz trochę pomiędzy odwiedzinami, a kiedy wypuszczą nas do domu, będziesz mógł nas rozpieszczać.

Matthew zagryza dolną wargę. Sal planowała wyjść do domu najszybciej, jak to możliwe. Sam liczył na to, że po pierwszych paru tygodniach wróci do pracy. Ale cesarka i przymusowy pobyt w szpitalu wszystko pozmieniały.

– Okej, masz rację. Pojadę do domu, zrobię pranie, trochę popracuję, a wieczorem wrócę. O ile jesteś tego pewna.

– Jestem pewna.

Całuje ją czule w usta i muska wargami główkę córki.

– Niesamowite, co?

– Cud – odpowiada Sally. Ton głosu ma żartobliwy, ale oczy znowu jej błyszczą.

Godzinę później Matthew chodzi po domu. Niesamowicie dziwna jest myśl, że niedługo będą tu razem. Rodzina. Nie tylko on i Sal, ale ich troje. Rozgląda się i zastanawia, czy wystarczy im miejsca. W kącie stoi duży, wiklinowy kosz z kilkoma nowymi rzeczami, których część wydaje mu się zupełnie obca. Coś, co się nazywa zestawem do ćwiczeń ruchowych dla niemowląt, wymaga złożenia. Przewijaki i tym podobne.

Wydaje się to jednocześnie wspaniałe, cudowne, ale także przerażające. Matthew rozważa, czy jest gotowy – czy ktokolwiek bywa przygotowany na coś takiego.

Włącza ekspres i przegląda pocztę. Nic ważnego. Odkłada ją na blat w kuchni. Kiedy wyjmuje z kieszeni telefon, zielone światełko na ekspresie sygnalizuje, że jest gotowy do pracy. Umieszcza porcelanową filiżankę pod dyszą i dopada go wyczerpanie. Ma poczucie, że nie do końca wpasowuje się w otaczającą go przestrzeń. Wciska guzik odpowiadający za podwójne espresso, a drugą ręką wybiera numer Melanie. Ku jego zaskoczeniu od razu odbiera.

– Zastanawiałam się, ile minie czasu, nim zadzwonisz. Skąd wiesz? Bębny bongo, a może jesteś jasnowidzem, co zresztą zawsze podejrzewałam? – Głos Melanie jest ściszony.

Matthew marszczy czoło. Nie ma pojęcia, o czym ona mówi.

– Wieści szybko się rozchodzą.

– Ella wie?

Matthew milczy.

– Cóż, nikomu o tym nie mów, bo robi się naprawdę gorąco. Z tego, co wiem, media jeszcze tego nie zwietrzyły i chcemy, aby taka sytuacja trwała jak najdłużej.

Matthew stoi ze wzrokiem wbitym w obiecującą cremę na espresso, zaskoczony tym, że jego bluff zadziałał. Pociąga mały łyk, zastanawiając się, co, u licha, mogło się stać. Aż do wczorajszego wieczoru policja w Londynie i Kornwalii pragnęła tyle wzmianek w mediach, ile tylko się da. O czym nagle nie chce, żeby wiadano?

– To może powiedz mi, co możesz, Melanie, a ja podzielę się wszystkim, co wiem. Obiecuję także mieć oczy i uszy szeroko otwarte i dać ci cynk, kiedy media to zwietrzą. – Ma sporo znajomych wśród miejscowych dziennikarzy i Melanie o tym wie.

– Mówię to zupełnie nieoficjalnie.

– Och, daj spokój, Mel. Znasz mnie. Może i zaprzepaściłem swoją karierę, ale nie zamierzam bruździć tobie.

– Okej, ale nie przez telefon. Kiedy możemy się spotkać, tam gdzie zawsze, w Saltash?

– Napiszę.

– Dobrze. I ani słowa nikomu. Jasne?

– Umowa stoi.

– Powiedz jeszcze, co u Sally? Jest już po terminie, prawda?

Matthew zalewa falą wyrzutów sumienia. Na kilka minut zupełnie zapomniał. Nie. Niezupełnie zapomniał... raczej się wyłączył. Zdumiewa go, że do tego dopuścił, i zastanawia, czy tak to właśnie będzie teraz wyglądało. Praca. Dom. Oddzielanie od siebie tych dwóch światów. Nagle ma przed oczami obraz ze szpitala, wyraźny i piękny.

– Jestem tatą, Mel. Dziewczynka. Mam śliczną córeczkę.

Henry rozgląda się po celi i myśli o Sammym. Ma nadzieję, że Jenny zabierze go na długi spacer. Nachyla się i chowa twarz w dłoniach. Biedna Jenny. Na domiar złego musi się mierzyć jeszcze z tym.

Zamyka oczy na wspomnienie potwornego zamieszania, jakiego narobił. Czemu, och, czemu nie miał na tyle odwagi, żeby pociągnąć za spust?

Próbuje leżeć na tym twardym podwyższeniu służącym za łóżko, ale bołą go plecy. Cienki, niebieski materac słabo izoluje go od twardego betonu. Ciekawe, jak długo będą go tu trzymać. Patrzy na drzwi i wzdryga się na samo wspomnienie dźwięku, jaki wydają przy zamykaniu. Człowiek nie jest sobie w stanie tego wyobrazić, dopóki nie znajdzie się po ich niewłaściwej stronie. Henry generalnie nie cierpi na klaustrofobię, ale też nigdy nie musiał tego sprawdzać w takich okolicznościach. Jest przyzwyczajony do przebywania na świeżym powietrzu. Do wolności. Próbuje sobie przypomnieć, co mówi prawo. Jak długo policja może tak kogoś trzymać bez wniesienia oskarżenia.

Zabrano mu buty i pasek i nagle do Henry'ego dociera, że pewnie częściej niż inni ludzie chodzi w samych skarpetkach. Kalosze zostawia zawsze w przedsionku. Nie zawraca sobie głowy kapciami. Przez tych kilka ostatnich dni musiał schudnąć, bo kiedy wstaje i podchodzi do drzwi z tą potworną kratą, czuje, że spodnie wiszą na nim luźno.

Myśli o Barbarze i jej ciastkach ze śliwkami. O Annie robiącej gwiazdę na trawniku. O paczce jej przyjaciół biegającej wokół zraszacza. Pragnie tam wrócić. Tardis – tylko za jego pomocą byłoby to możliwe. Wróciłby do zupełnie innej wersji tego wszystkiego.

Nagle przepelnia go zarówno zniecierpliwienie, jak i wściekłość. Ma tego dosyć. Wszystkiego. Tego miejsca. Tego cholernego miejsca.

– Mogę z kimś rozmawiać? – Cisza. Kopie w drzwi i krzyczy głośniej: – Muszę z kimś porozmawiać.

Mija kilka minut i rozlega się dźwięk przesuwanej kraty. Do celi zagląda umundurowany funkcjonariusz.

– Proszę o zachowanie ciszy.

– Chcę się skontaktować ze swoim prawnikiem.

– Sądziłem, że nie zrobił pan nic złego i nie potrzebuje prawnika. – Ton męczyzny ocieka sarkazmem.

– Cóż, teraz chcę się widzieć z prawnikiem. Znam swoje prawa i nie będę z nikim rozmawiał, dopóki nie spotkam się z adwokatem.

– Okej, zarejestrowałem. Ale tutaj to my dowodzimy i będzie pan musiał zaczekać.

Henry wytrzymuje jego spojrzenie.

– Nie zrobiłem nic złego.

– Jasne.

Mijają dwie godziny, a on musi doznać upokorzenia wiążącego się ze skorzystaniem z okropnej, stojącej na widoku ubikacji. Modli się, aby w międzyczasie nikt nie zajrzał przez kratę.

Kiedy w końcu siedzi naprzeciwko Adama Bensona, który do tej pory zajmował się jedynie ich sprawami majątkowymi i testamentem Henry’ego, dociera do niego powaga sytuacji. Adam nie kryje swojego ograniczonego doświadczenia w postępowaniu karnym. Henry nie chce jednak wynajmować nikogo innego. Rada Adama jest prosta:

– Powiedz mi prawdę. Zaufaj mi. Czy jest coś, Henry, co musisz mi powiedzieć? Bo jeśli tak, sugeruję, abyś zrobił to teraz, żebym mógł nawiązać kontakt z osobami, które mają większe rozeznanie w przypadkach takich jak twój.

Prawda?

Henry oczami wyobraźni widzi Annę, siedzącą obok niego w samochodzie. Jej poblada twarz. „Brzydę się tobą”.

Henry’emu drży dolna warga, kiedy prowadzą go do pokoju przesłuchań. Adam już tam czeka, a naprzeciwko niego siedzi ten przeklęty komisarz z Londynu. Człowiek, którym Henry gardzi.

– Nie możecie mnie tu trzymać. Nie zrobiłem nic złego. Nic niezgodnego z prawem.

– Mierzył pan ze strzelby w jednego z moich funkcjonariuszy, panie Ballard. Określamy to jako zachowanie zagrażające życiu.

– Włamaliście się do mojej stodoły. Byłem zaskoczony. Chroniłem swoją własność.

– Włamaliśmy się po tym, jak zadzwonił pan do nas w stanie wzburzenia, panie Ballard, żądając rozmowy z nadinspektor Melanie Sanders. Funkcjonariusze włamali się, aby nie dopuścić, by zrobił pan krzywdę sobie lub komuś innemu. Obaj to wiemy, więc proszę sobie darować bzdurne gadanie o wtargnięciu na teren prywatny. Oszczędzi nam to mnóstwo czasu.

Adam kiwa głową do Henry’ego.

– Byłem zdruzgotany. To mnie przerosło. Zaginięcie Anny. – Słyszy, jak głośno wali mu serce, i próbuje się uspokoić. Nagle tak bardzo pragnie znaleźć się w domu, przeprosić Barbarę, a przede wszystkim Jenny za tę scenę w stodole. Za krzyki. Impas. Biedny Sammy ujadł wściekle na dworze. A to się narobiło. Chce także porozmawiać z Melanie Sanders, a nie tym palantem z Londynu.

– Dlaczego nie mogę się zobaczyć z nadinspektorem Melanie Sanders? – Kiedy zadzwonił ze stodoły, oświadczył, że będzie rozmawiał tylko z nią.

– W tej chwili nie ma jej w pracy. Mówiliśmy tak, kiedy pan do nas zadzwonił... No dobrze. Podczas naszej ostatniej oficjalnej rozmowy... przed tym incydentem...

– Komisarz wbija wzrok w jakieś dokumenty. Henry zakłada, że to zapis jego ostatniego przesłuchania, tego po programie wyemitowanym w rocznicę zaginięcia jego córki. – Przedstawił nam pan drugą wersję tego, gdzie się pan znajdował w noc zaginięcia Anny. Obecnie twierdzi pan, że samochód większą część nocy stał niedaleko stacji kolejowej, bo za dużo pan wypił i postanowił przespać się na tylnej kanapie.

– Zgadza się.

– I tak właśnie powiedział pan żonie? Dlatego poprosił ją pan, aby skłamała?

– Było mi wstyd, że się tak upiłem. Uznałem, że nie wyglądałoby to dobrze.

– Ale tu się pojawia problem, panie Ballard. Raz jeszcze rozmawialiśmy ze świadkami, którzy zadzwonili po emisji programu, i twierdzą, że w samochodzie nikt nie spał.

– Może mnie nie widzieli, leżałem nisko na siedzeniu. A może nie zdążyłem jeszcze wrócić z pubu.

– No tak, z pubu. Głowa Lwa. No i tu się pojawia drugi problem. Bo widzi pan, zastanawia mnie, czemu nie zaparkował pan przed pubem. Poza tym nikt z Głowy Lwa nie pamięta pana z tamtego wieczoru.

– Panował tam spory ruch. Na parkingu i w pubie. Wszędzie pełno ludzi. Czemu mieliby pamiętać akurat mnie?

Henry czuje, że pocą mu się ręce schowane pod stołem. Wyciera je w spodnie. Odwraca się do prawnika, który sporządza notatki. Po co to robi? Zerka na czarne urządzenie do nagrywania i zastanawia się, czy otrzymają kopię. Zaczyna się przekonywać, że problem z kłamaniem jest taki, że trzeba pamiętać szczegóły tego kłamstwa, aby za każdym razem do siebie pasowały. Każda kolejna wersja czyni to coraz trudniejszym.

– Jak dobrze zna pan przyjaciółkę pańskiej córki, Sarah? – Detektyw nagle nachyla się nad stołem i uważnie obserwuje reakcję Henry'ego.

– Nie wiem, co ma pan na myśli. To najlepsza przyjaciółka Anny. Od wielu lat. Często u nas bywa, tak jak i jej inni przyjaciele. Zawsze są mile widziani.

– A kiedy widział pan Sarah po raz ostatni, panie Ballard?

– Słucham?

Sarah myśli o śpiewaniu. Na początku przyjaźni z Anną szybko się przekonała, że łączy je nie tylko obsesja na punkcie *two-ball*, ale także miłość do śpiewu. W szkole podstawowej obie należały do chóru, z kolei w gimnazjum razem zapisały się do muzycznej grupy teatralnej.

Przez wiele lat to siedlisko teatralnych ambicji zapewniało im istną huśtawkę emocji: łzy i napady złości, triumf i tragedie. Przez dwa pierwsze lata ich przyjaźni na ogół nic nie zakłócało. Razem śpiewały w chórze. Ale kiedy doszło do przesłuchań do ważniejszych ról, pojawiła się rywalizacja. Podczas gdy buzowały w nich hormony wymieszane z marzeniami i kompleksami, Anna i Sarah nowymi oczami obserwowały przyływy i odpływy swojej przyjaźni.

Gdy Sarah zaskoczyła swoimi dojrzewającymi talentami akademickimi, Anna okazała się lepsza w śpiewie. W połowie gimnazjum dwie przyjaciółki złapały obsesję na punkcie kariery jako gwiazdy musicali. Obie wierzyły, że coś takiego jest jak najbardziej możliwe, i planowały razem zdawać do akademii muzycznej. Wyobrażały sobie, jak dzielą wspólne mieszkanie, a całe dni spędzają na śpiewaniu na scenie na West Endzie. Ignorowały przy tym przewracanie oczu Tima czy Paula i dorosłych członków swoich rodzin. Zwłaszcza ojciec Anny wyrażał się o tym pomysłe w sposób lekceważący.

„To wszystko przez *Mam talent, Anno*”. Siedząc w skarpetkach przy stole w kuchni, jak mantrę powtarzał, że udział w szkolnych przedstawieniach to jedno, ale zupełnie czymś innym jest oszukiwanie samego siebie, że można zrobić karierę w show-biznesie. „Wiecie, jak kończy większość studentów akademii muzycznych? Jako kelnerzy i barmani. Pora, abyście skończyły z tymi bzdurami i pomyślały o jakichś solidnych studiach. Obie. O kierunku, po którym nie będziecie miały problemu ze znalezieniem pracy...”

Sarah i Anna ignorowały jego słowa. Owijały się kocem na łóżku w pokoju Anny i po raz nie wiadomo który oglądały swoje ulubione musicale. *Koty, Ducha w operze, Starlight Express*.

I wtedy – co za radość – na początku trzeciej klasy okazało się, że szkoła będzie wystawiać ulubiony musical obu dziewcząt: *Nędzników*.

Sarah wzdycha i patrzy na zegarek, mrużąc oczy na to wspomnienie. Pierwszej rozmowy z Anną o tym, o jaką rolę będą się ubiegać. Pamięta, jak siedziały w pokoju Anny i milczały, bo dotarło do nich, na jaką próbę zostanie wystawiona ich przyjaźń. Nagle zabrakło miejsca na lojalność i kompromis. Obie były gotowe sprzedać własną duszę, byle zagrać Fantynę.

Od samego początku Sarah wiedziała, że większe szanse na otrzymanie tej roli ma Anna, ale to jej nie powstrzymało przed wypróbowaniem własnych sił. W tajemnicy wielokrotnie oglądała Anne Hathaway w wersji filmowej, aż w końcu perfekcyjnie opanowała każdy niuans, każdy oddech, każdą łzę. Ze wstydem zaczęła żywić nadzieję, że Anna się rozchoruje albo że ojciec zabroni jej zajmować się podczas tego ważnego roku czymś poza nauką.

Ale nie. W dniu przesłuchania obie – najlepsze przyjaciółki i jednocześnie arcyrywalki – publicznie życzyły sobie powodzenia, głowy miały jednak pełne nowych i dezorientujących myśli. Choć Sarah czuła wstyd, zżerały ją przemożna ambicja i zazdrość.

Trzeciego października było już po wszystkim. Kartka wywieszona na tablicy ogłoszeń kółka teatralnego potwierdzała, że to Anna zagra Fantynę. Sarah będzie śpiewać w chórze, a oprócz tego zostanie dublerką Madame Thénardier. Czarnego charakteru.

Mina Anny mówiła wszystko o jej charakterze.

„Chcesz, żebym się wycofała, Sarah? Mówię poważnie, jeśli tyle to dla ciebie znaczy, to się wycofam. Zresztą tato i tak nie chce, abym brała w tym udział. Nie chcę, żeby nas to skłóciło”.

„Nie bądź niemądra. Cieszę się razem z tobą”.

A potem przez tygodnie, miesiące musiała to wszystko oglądać. Anna w centrum uwagi. Wszyscy zdumieni jej talentem. Wszyscy chłopcy, którzy dotąd wyrażali się o kółku teatralnym z lekceważeniem, nagle zobaczyli ją w nowym świetle, gdyż próby nagrywano i udostępniano na Facebooku. Nawet Tim i Paul, którzy nie znosili musicali, stali się bardziej tolerancyjni i wykazywali zainteresowanie postęпами. Sarah nadal sekretnie durzyła się w Paulu i nie zносиła czytać jego komentarzy na Facebooku o tym, jak fantastycznie Anna wygląda w kostiumach.

To wtedy w Sarah zaczęła się dokonywać zmiana. Nie była to świadoma decyzja. Raczej eksperyment, który miał jej dodać pewności siebie, a który okazał się kroczeniem po stromym i śliskim zboczu. Odkryła, że istnieją inne sposoby na to, aby stać się popularną wśród chłopców. Początkowo dawało jej to poczucie władzy. Szybko jednak poznała drugą stronę medalu. Plotki i nieprzyjemne komentarze w mediach społecznościowych. Udostępnione zdjęcie. I nagle wszystko zaczęło się sypać.

Nie minęło dużo czasu, a otwarcie zaczęto nazywać ją zdzirą. Krążyły paskudne plotki, że na jednej imprezie zrobiła laskę dwóm chłopakom z drużyny rugby.

Anna, jak zawsze lojalna, kazała jej ignorować hejterów. Sarah zastanawiała się, czy w duchu nie podejrzewała, że jej przyjaciółka schodzi na złą drogę, ale nigdy otwarcie o tym nie porozmawiały. Publicznie Anna zawsze stała za nią murem. Twierdziła, że ludzie zmyślają, bo zazdroszczą jej inteligencji. Sarah nigdy nie

wyznała, że te wszystkie plotki to prawda.

Wszystkie.

Właśnie wtedy ich mała paczka zaczęła się rozpadać. Czy Tim i Paul usłyszeli zbyt wiele od swoich kolegów? Sarah nie miała pewności.

A teraz, kiedy sprawdza w telefonie rozkład jazdy pociągów, dociera do niej, że koniecznie musi jechać do Tintley, aby porozmawiać o tym wszystkim z jedyną osobą, która być może wykaże się zrozumieniem. Z Lily.

Przez cały rok Sarah przekonywała siebie, że to Antony'ego i Karła należy winić za to, co się stało z Anną. Ale teraz kotłują się w niej nowe i niepokojące myśli, z każdym dniem coraz bardziej nie dają jej spokoju.

Sarah wciąż myśli o swoim ojcu, który niespodziewanie pojawił się na szkolnym musicalu. A potem nawijał i nawijał o tym, jak zachwycająca była Anna. I nie potrafi zapomnieć, co rzeczywiście wydarzyło się w Londynie. Tego, co wydarzyło się w klubie. I esemesa.

Esesesa, o którym bała się powiedzieć komukolwiek.

OBSERWACJA...

8.00

Starannie wybieram obiekty obserwacji.

Muszą być wyjątkowi. Czasem wybieram takie, a nie inne osoby, bo je kocham i wiem, jak bardzo mnie potrzebują, a czasem dlatego, że ich nienawidzę. Żadnych półśrodków. Po co zawracać sobie głowę, jeśli nie żywi się silnych uczuć?

Teraz nie jest mi łatwo, bo na jakiś czas trzeba było przerwać obserwację. To takie frustrujące. Ale muszę zachować spokój. Wykazać się większym sprytem niż ludzie, których obserwuję. Trzeba robić odpowiednią minę. Mówić odpowiednim tonem.

To także świetnie mi wychodzi.

Odpowiednia mina.

Odpowiedni ton.

Dlatego nie wiecie, kogo obserwuję. Ani dlaczego.

Wczoraj późnym wieczorem Luke dostał esemesa. Emily straciła dziecko. Przez większą część nocy rozmawialiśmy i chodziliśmy w kółko po domu.

Luke jest wstrząśnięty – przepełnia go połączenie smutku, ulgi i potwornych wyrzutów sumienia. Emily nie chce z nim rozmawiać. Raz odebrała, ale tylko płakała, a potem mu napisała, żeby dał jej spokój. Emily nie wie, co czuć. Nikt nie wie.

Jeszcze nigdy nie widziałam swojego syna w takim stanie. Takiego smutnego. Nadal nie puszczam go do szkoły. Zaczyna się martwić, ile będzie miał do nadrobienia, ale moje zdanie jest takie, że albo uda mu się wszystko podgonić, albo w ostateczności powtórzy rok. Bardzo chcę zostać dzisiaj w domu i zapewnić mu wsparcie, ale mam dylemat. Muszę dokończyć dekoracje ślubne, po które o ósmej przyjedzie dostawca. W domu panny młodej te kwiaty muszą się znaleźć najpóźniej o wpół do jedenastej, a w miejscu, gdzie odbędzie się przyjęcie, niewiele później. Dzwoniłam do dwóch koleżanek z branży z zapytaniem, czy w ramach przysługi nie przejęłyby tego zamówienia, ale obie są zajęte.

Co mam zrobić? Zawieść pannę młodą?

Tony wyjechał na trzy dni na spotkanie z innymi kierownikami regionalnymi. Nie mógł się z tego wykręcić, bo będzie tam też dyrektor generalny. Muszę zadzwonić. Zapytać, czy mądrze jest zostawiać Luke'a i czy mogę się czuć bezpieczna w kwiaciarni, sama o tak wczesnej porze, skoro zainstalowano w końcu alarm.

Wymieniliśmy zamki w drzwiach i mamy nowy alarm, ale system szwankuje i rodziny mieszkające nad rzędem sklepów się skarżą. Coś przypadkowo go uruchamia. Były już trzy fałszywe alarmy i szczerze mówiąc, mam dość. System kosztował mnóstwo pieniędzy i okazał się niewystarczająco dobry. Kiedy dzwonię do firmy, która go zamontowała, słyszę, że to na pewno ja coś źle ustawiam. Ale przecież robię wszystko zgodnie z instrukcją obsługi. W ostatnim mailu pletli bzdury o tym, że system potrzebuje czasu na ustabilizowanie się, jakby to była trwała ondulacja, której trzeba dać kilka dni na opadnięcie. Mówimy przecież o elektronice. Nauce. W odpowiedzi zagroziłam, że zadzwonię do urzędu ochrony konsumentów. Wiadomość zwrotna zawierała informację, że alarm mogą uruchamiać myszy. Myszy? Możecie w to uwierzyć?

Musiałam pojechać do kwiaciarni o drugiej w nocy, zostawiając na trochę biednego Luke'a samego. Przyznaję się: zamiast zresetować alarm po prostu go wyłączyłam. Wiem, postąpiłam nieodpowiedzialnie. Ale on tylko wszystko

pogarsza.

Teraz jest piąta rano i muszę natychmiast wyjechać, jeśli mam skończyć te bukiety na czas. Robię dwie herbaty i z jednym kubkiem udaję się do pokoju Luke'a.

Siedzi na łóżku w dresie, który miał na sobie wczoraj.

– Zaparzyłam herbatę.

Patrzy na mnie, jakbym mówiła do niego w obcym języku. Jakby mnie nie poznawał.

– Myślisz, że wszyscy w szkole się dowiedzą?

– Nie wiem, skarbie. Mam nadzieję, że nie.

– Ja też. Nie zniósłbym tego. To znaczy chodzi mi o Emily. – Chowa twarz w dłoniach.

– Posłuchaj, kochanie. Nie oczekuję, że pojedziesz ze mną do kwiaciarni. Ale twój tato... będzie zły, jeśli się dowie, że znowu przebywałam tam sama, lepiej więc mu o tym nie mówmy.

Luke podnosi na mnie wzrok. Jego twarz pozbawiona jest wyrazu.

– A to bezpieczne, żebyś była tam sama?

– Tak. Oczywiście. Nic się nie martw, skarbie. Mamy alarm. Policja jest przekonana, że te kartki przysyłał po prostu ktoś, kto chciał zwrócić na siebie uwagę. To nieprzyjemne, ale niegroźne.

– Na pewno? Chcesz, żebym pojechał?

– Nie, skarbie. Nie czujesz się dobrze. Chcę, żebyś odpoczął, i obiecaj mi: będziesz pamiętać, że wszystko będzie dobrze. Możesz na nas liczyć. Wiem, że w tej chwili czujesz wielki smutek i masz w głowie mętlik, ale z czasem będzie lepiej.

– Nadal się martwisz... tamtą dziewczyną? Anną?

– Nie, skarbie. Staram się o tym nie myśleć. Teraz martwię się tobą.

Mówię mu, że będę pod telefonem i żeby natychmiast dzwonił albo pisał, gdyby coś go zaniepokoiło. Nie otworzę dzisiaj kwiaciarni. Kiedy przekażę bukiety dostawcy, zamknę ją i przyjadę prosto do domu.

– Może tak być, Luke? Dasz sobie radę przez kilka godzin?

Kiwa głową.

– Miej włączony telefon, skarbie.

Kolejne kiwnięcie.

O tej porze nigdy nie ma ruchu, więc nie mija dużo czasu, a siedzę już w samochodzie pod kwiaciarnią. To niedorzeczne, ale zaczęłam jeździć z zablokowanymi drzwiami. Nie powiedziałam o tym Tony'emu i sama nie wiem, czego się boję. Prawda jest taka, że w kwiaciarni często doznaję uczucia, że ktoś mnie obserwuje. Wicie, takie dziwne wrażenie, jakby ktoś delikatnie puknął cię

w ramię, a kiedy się odwracasz, nikogo nie widzisz. To pewnie paranoja. Luke'owi i Tony'emu mówię, że przekonują mnie słowa policji, ale wcale tak nie jest. Wciąż myślę o sekatorze.

Zastanawiałam się, czy nie zadzwonić znowu do Matthew, ale nie chcę zawracać mu głowy. Zresztą to prywatny detektyw, a nie ochroniarz.

Rozglądam się. Wszędzie panuje spokój. Światła w mieszkaniach nad sklepami są pogaszone. Od samochodu do kwaciarni mam pewnie nie więcej niż dwadzieścia kroków. Pokonywałam tę trasę milion razy, w jedną i w drugą stronę. Nie mogę się tak zachowywać.

Weź się w garść, Ello.

Biorę głęboki oddech, odblokowuję drzwi i szybko wysiadam. Z kluczami w ręce docieram do drzwi i dopiero wtedy zamykam pilotem samochód. Z mocno bijącym sercem wchodzę do lokalu, po czym się upewniam, czy dobrze zamknęłam drzwi. To specjalny, nowy zamek, który po zatrzaśnięciu potrzebuje klucza, trochę tak jak w hotelowych łazienkach. W ciągu dnia drzwi pozostają otwarte, podparte wiadrem z bukietami dnia. Na razie jednak sprawdzam dwukrotnie, czy na pewno są zamknięte. Dobrze. Nie podnoszę rolety na drzwiach. Co prawda można zajrzeć do środka przez okno wystawowe, ale z tym akurat nic nie zrobię. Zresztą i tak będę pracować na zapleczu.

Szybko przechodzę na tył lokalu. Zdejmuję płaszcz, rzucam na krzesło i włączam ekspres do kawy. Już wczoraj go sobie naszykowałam, kiedy robiłam sześć dekoracji na stół, które stoją teraz na środkowej półce chłodziarki. Na dolnej leżą w wodzie kwiaty do trzech bukietów ślubnych, w takiej kolejności, w jakiej będą mi potrzebne. Najpierw dwa bukiety dla drухen, potem bukiet panny młodej.

Dawniej, na samym początku, wszystkie bukiety ślubne przygotowywałam dzień wcześniej. Martwiłam się, że nie zdążę albo że coś mi nie wyjdzie. Teraz wiem dokładnie, ile czasu na co potrzebuję, i więcej we mnie pewności siebie. Wolę, aby wszystko było świeże, dlatego bukiety układam dzień wcześniej tylko wtedy, jeśli jest jakiś problem z dostawą albo wyborem kwiatów.

Kiedyś sama dostarczałam zamówienia, ale obecnie pomaga mi świetny facet. Tom jest niedrogi i solidny, ostrożnie obchodzi się z kwiatami i jeszcze nigdy mnie nie zawiódł. Zjawia się tu za niecałe trzy godziny, więc muszę brać się za robotę.

Dzisiejsze zamówienie to trzy nieformalne bukiety z róż i margerytek – kwiatów, które łatwo dostać. Takie nieformalne, układane w ręce bukiety to moja specjalność, ale ta akurat panna młoda chce tradycyjnego związania wstążką. Szybko się z tym uporam, ale zawsze rezerwuję sobie nieco więcej czasu. Podoba mi się, że panna młoda zdecydowała się na prostotę. Jej sukienka ma dużo koronki, więc dla kontrastu kwiaty mają być bardzo proste. Mądrze.

Różowe gerbery z pączkami róż dla dwóch drухen. Układam sobie rośliny

i akcesoria na blacie, po czym odcinam kawałki taśmy klejącej i przytwierdzam do krawędzi lady. Zabieram się za pierwszy bukiet, wybierając do środka najlepszy kwiat. Kolejne dołączam spiralnie. Sprawnie mi idzie. Kwiaty są doskonałej jakości i wpadam w dobry rytm. Nie zawsze tak się dzieje. Nie mija dużo czasu, a bukiet jest gotowy. Podchodzę do lustra, żeby sprawdzić, jak się prezentuje. Bardzo dobrze. Tak. Jestem naprawdę zadowolona. Doskonały kształt. Wracam do blatu i taśmą zabezpieczam łądygi: nie za ciasno, trzeba uważać, żeby ich nie zniszczyć. Następnie wkładam pierwszy bukiet do wazonu i zerkam, czy kawa jest już gotowa. Napelniam duży kubek, dolewam mleko i siadam.

Dopiero teraz pozwalam błędzić swoim myślom. Moją uwagę przyciąga wbity w sufit hak – ten, do którego przymocowaliśmy kiedyś huśtawkę Luke’a. Oczami wyobraźni widzę, jak się huśta i śmieje. Taki szczęśliwy.

Wczoraj bardzo się starałam go pocieszać, ale nie potrafiłam znaleźć odpowiednich słów. Teraz myślę o tym, jak mało mnie dzieliło od stania się babcią, i nagle za dużo dla mnie tego wszystkiego. Łzy. Bez żadnego dźwięku, jedynie wilgoć na policzkach. Pozwalam sobie płakać, kiedy piję kawę, a słone łzy wpadają mi do ust i mieszają się z napojem. W końcu kręcę głową i ze stojącej na blacie torby wyjmuję chusteczki. Wycieram twarz i odwracam się w stronę kwiatów.

Znowu włącza się autopilot. Wycieram ręce w wiszący obok zlewu ręcznik, po czym wyjmuję z szuflady dwustronną wstążkę w odcieniu kości słoniowej. To ta droga wstążka przeznaczona na śluby. I jeszcze opakowanie szpilek z główkami w kształcie perełek.

Wyjmuję bukiet z wazonu i ulubionym sekatorem z czerwoną rękojeścią przycinam łądygi, żeby miały idealnie równą długość. Następnie bardzo ostrożnie owijam łądygi wstążką i zabezpieczam ją szpilkami. Przytrzymuję bukiet na wysokości talii, żeby się upewnić, czy dobrze leży, i sprawdzam, czy ze wstążki nie wystaje żadna szpilka. Wszystko w porządku. Bukiet jest piękny.

Teraz czeka mnie małe wyzwanie, muszę sprawić, aby drugi bukiet drużny wyglądał identycznie jak pierwszy i nie wprowadzał zamieszania na ślubnych zdjęciach. To właśnie tego człowiek uczy się z czasem. Znaczenia detali.

Podnoszę wzrok, żeby zerknąć na wiszący nad zlewem zegar, i w tym momencie to słyszę. Nieruchomieję, ściągam brwi, bo ten dźwięk nie ma sensu. Brzmi tak, jakby ktoś wkładał klucz do drzwi.

Z miejsca, w którym stoję, nie da się zajrzeć do kwaciarni.

– Luke, czy to ty?

Nikt inny nie ma klucza.

Ponownie staję w bezruchu, jakbym mogła w ten sposób umniejszyć swoją obecność. Powstrzymać coś niedobrego.

– Luke, zaczynam się bać. Wszystko dobrze, skarbie?

Nikt nie odpowiada, więc cicho wyjmuję z torby telefon i wybieram numer alarmowy.

– Dzwonię na policję. Słyszysz?

Rozlega się inny dźwięk, jakby ktoś złapał za klamkę. A potem kroki. Podchodzę do łukowatego przejścia z zaplecza, żeby wyrzeć. Na zewnątrz widać światła samochodu, który wycofuje, po czym szybko odjeżdża.

Z walącym sercem i telefonem w dłoni słyszę, jak ktoś w końcu odbiera, i w tym momencie to dostrzegam... przez szybę. Na ziemi, tuż za drzwiami.

– Policja, straż czy pogotowie?

Wpatruję się w leżący na ziemi przedmiot, jakieś pół metra od drzwi, i nagle przez głowę przemykają mi niewyraźne obrazy. Żaden z nich nie ma dla mnie sensu.

– Bardzo przepraszam. Pomyłkowo wybrałam numer. –

Rozłączam się i podchodzę do drzwi. Przekręcam klucz, otwieram, robię krok i podnoszę przedmiot. Następnie szybko wracam, zamykam drzwi od środka.

Wolną rękę przyciskam do klatki piersiowej, próbując uspokoić szalone bicie serca. W głowie eksplodują pytania.

Trzymam przedmiot w dłoni i przyglądam mu się, jakbym mogła w ten sposób zmienić to, co sobą reprezentuje. Obracam go, zdumiona, jak bardzo jest mi znajomy. Wszystkie wspomnienia robią się nagle wyraźne.

Wybieram numer Luke'a.

Odbiera dopiero po szóstym sygnale. Głos ma zaspany.

– Co się stało, mamu? Spałem.

– Jesteś w domu?

– Taaa. Pewnie.

Nic nie rozumiem. Czemu miałby kłamać? Czemu miałby tu przyjeżdżać i mnie straszyć?

Wpatruję się w trzymany w ręce kawałek plastiku i gładzę go kciukiem. Wiem, że należy do Luke'a. I próbuję zdecydować, co mam, u licha, teraz zrobić.

Henry wbija wzrok w siedzącą na ścianie muchę. Nie ma pojęcia, dlaczego policja pyta go o Sarah. Nie chcą wyjaśnić.

Ma wrażenie, że znajduje się tu od wielu godzin, i ta mucha doprowadza go do szaleństwa. Przez chwilę siedzi nieruchomo, a potem skacze – najpierw ukośnie, lądując jakieś pół metra dalej, a potem w górę. Henry mruży oczy i próbuje przetworzyć dziwną znajomość tej scenki, aż w końcu zaskakują odpowiednie trybiki w jego umyśle.

Śmieje się głośno. Norman Bates. Ponownie się śmieje i kręci głową. Cóż za oniryczny absurd. W celi panuje dobra akustyka, więc nasłuchuje, aż echo jego śmiechu w końcu ucichnie, najpierw na zewnątrz, potem w jego głowie. Czeką na absolutną ciszę. Pochyla się, na chwilę chowa twarz w dłoniach, po czym podejmuje decyzję i wstaje.

„No dobrze, Norman, to może tym razem zabijemy tę muchę?”

To postanowienie – świadomość, że w końcu ma coś do roboty – dodaje mu otuchy. Rozgląda się po celi, stojąc przed kolejnym wyzwaniem: czego mógłby użyć jako broni? Przez chwilę myśli nawet, żeby zdjąć koszulę i uderzyć nią w muchę, ale wyobraża sobie, jak policjant zagląda przez kratkę i widzi jego nagi, lekko obwisły brzuch, więc odsuwa od siebie ten pomysł. Nie oddano mu jeszcze paska. Hmmm... I nagle już wie. Spuszcza wzrok na stopy. Zdejmuje lewą skarpetkę. Materiał okazuje się wystarczająco rozciągliwy. Na szczęście to mieszanka bawełny i wełny, a nie syntetyczny szajs. Idealnie się nadaje. Siada na niebieskim materacu, nieruchomieje i czeka. Mucha przemieszcza się jeszcze kilka razy, aż w końcu zatrzymuje się na przeciwległej ścianie.

Henry powoli celuje, wykonując jak najdelikatniejsze ruchy. „Cierpliwość, Henry. Czekasz... czekasz... i strzelasz. Cholera”. Skarpetka z imponującą prędkością zderza się ze ścianą, ale chybia o milimetr i mucha z bzyknięciem przelatuje na drugi koniec celi.

Henry wstaje, podnosi skarpetkę i znowu siada na łóżku. Cóż za ironia. Niekończąca się walka z muchami. Już jako mały chłopiec z niechęcią patrzył, jak naprzykrzają się bydłu. Robiło mu się niedobrze, kiedy widział, jak podpełzają ku oczom krowy czy cielaka, a biedne zwierzę macha ogonem albo uszami.

Doskonale znał ich szkodliwość, nie tylko wobec inwentarza. W kuchni jego matka głośno narzekała na okropne choroby przenoszone przez muchy. Wysoko na ścianie wisiały mniejsze wersje przemysłowych lamp owadobójczych, jakie spotykano w restauracyjnych kuchniach. Henry wpatrywał się w nie jak

urzeczony – choć zbierało mu się także lekko na wymioty – obserwował, jak niebieskie światło odczytuje kolejny wyrok śmierci.

Na farmie ojciec przeszkolił go w kwestii ochrony stada przed muchami. To bardzo ważne, jako że muchy są nie tylko irytujące, ale przyczyniają się do chorób oczu, niskich zbiorów i innych problemów. Kiedy w końcu przejął farmę, przyzwyczał się, że co roku sporą część budżetu trzeba przeznaczyć na spraye i przywieszki na uszy.

„Szczerze nienawidzę much”, myśli teraz, kiedy prześlizguje się wzrokiem po celi w poszukiwaniu swojego nowego wroga. Zgaduje, że muchę przyciągnie ta przerażająca muszla klozetowa ze stali nierdzewnej. Ma rację. Nie mija kilka minut, a owad sadowi się na krawędzi. Henry przez chwilę się zastanawia, kiedy go w końcu wypuszczą. Modli się, aby nastąpiło to, zanim zachce mu się kupę. Nie wyobraża sobie, aby któryś z policjantów otworzył drzwi w czasie, kiedy on będzie robił coś tak osobistego. Nie ma specjalnego protokołu w tym względzie? Zajrzeć najpierw przez kratę i pozwolić skończyć?

Mucha się nie rusza. Henry po raz drugi naciąga skarpetkę, ponownie starając się jak najmniej ruszać. Teraz mucha chodzi – najpierw w środku muszli, następnie wraca na brzeg. Tutaj nie ma czegoś takiego jak deska. W końcu owad nieruchomieje i Henry może wycelować.

Tym razem nie tylko triumfuje, ale także odczuwa absurdalną radość.

– Mam cię!

Te słowa okazują się głośniejsze, niż zamierzał, i wkrótce w kratce pojawia się nowa twarz. Inny, młodszy funkcjonariusz, co stanowi potwierdzenie, że w pracy jest już kolejna zmiana.

– Co się tu dzieje?

Henry się krzywi, kiedy dociera do niego cena trafienia w cel. Skarpetka znajduje się teraz w wodzie razem z martwą muchą.

– Moja skarpetka jest w ubikacji.

– Czemu, u licha, ją tam wsadziłeś? Próbujesz zatkać toaletę, co?

– Nie. Zabijałem muchę.

– To teraz sam możesz ją sobie wyjąć. – Nowa twarz znika.

Henry przez chwilę analizuje słowa funkcjonariusza, zastanawia się, jak może to obrócić na swoją korzyść. Nie mogą go przecież zmusić do włożenia ręki do ubikacji. W żadnym razie. Złoży oficjalną skargę. Każe to zrobić swojemu prawnikowi. Napisze do władz. Do miejscowej gazety.

W pewnym momencie słyszy, jak otwierają się drzwi. Staje w nich ten nowy policjant, najwyraźniej przemyślał sprawę. Jest wyposażony w gumowe rękawice, worek na śmieci i plastikową szczotkę do WC.

– Proszę stanąć pod ścianą.

Ton głosu ma rozkazujący i Henry natychmiast spełnia jego polecenie. Następnie przygląda się, jak młody mężczyzna za pomocą szczotki wyławia skarpetkę, wkłada ją do worka, po czym spuszcza wodę.

– Widział pan martwą muchę? – Henry bardzo chce, żeby mu uwierzono.

– Mam gdzieś cholerną muchę. Proszę mi oddać drugą skarpetkę, żebyśmy nie mieli powtórek z rozrywki.

– Marzną mi stopy.

– Trzeba było o tym pomyśleć, zanim wpadłeś na pomysł zatkania ubikacji.

Henry wzdycha, zdejmuje skarpetkę i podaje ją policjantowi.

– Kiedy wróci mój prawnik? Mówił, że z samego rana. Sprawdziliście to, co wczoraj powiedziałem komisarzowi? Gdzie rzeczywiście byłem tej nocy, kiedy zaginęła Anna? Zamierzacie mnie teraz wypuścić? Nie możecie mnie tu trzymać. Znam swoje prawa.

Policjant wypuszcza głośno powietrze, po czym wychodzi z celi, zamyka drzwi i odzywa się zza nich.

– To nie należy do mnie. – Unosi worek. – Ja wykonuję brudną robotę.

Sarah bacznie się przygląda, jak Lily krząta się przy starej kuchence AGA – mniejszej i bardziej zdezelowanej wersji niż ta z kuchni w domu Anny. AGA Ballardów jest granatowa i znacznie szersza, ma także więcej palników. Matka Anny nieustannie ją czyściła, żeby chromowane elementy błyszcząły. Ta jest kremowa, ma odpryski i generalnie widać, że nikt o nią nie dba.

– Kawa czy herbata? – pyta Lily, nie odwracając się. Otwiera szafkę i wyjmuje dwa ceramiczne kubki, ciemnozielone w białe stokrotki.

– Eee, poproszę kawę.

Lily jest zupełnie inna, niż Sarah ją zapamiętała. Znacznie chudsza, a długie, sięgające niemal do pasa włosy ma tak obcięte, że układają się na plecach w kształt litery V. Ich końcówki zafarbowała na krzykliwy, mało atrakcyjny róż. Kolor włosów i jej nowy wygląd stanowią główny temat rozmowy między siostrami, odkąd Lily odebrała Sarah z dworca w Tintley. Obie wyraźnie unikają wyjawienia powodu tej wizyty.

Lily odwraca się, opiera o kuchenkę i raz jeszcze wyjaśnia, że jest bardzo zadowolona ze swoich włosów. Bierze w palce grube pasmo, aby pokazać, że dziesięć ostatnich centymetrów poddała dekoloryzacji, żeby móc korzystać z tonerów i farb roślinnych. Jak na razie miała na nich oberżynę, co nie do końca spełniło jej oczekiwania, potem zieleń, a teraz róż. Ten ostatni jest jej ulubioną opcją, aczkolwiek martwi się, że szybko zblednie.

Ale co naprawdę myśli o tym Sarah?

Odpowiada, że wygląda to naprawdę ekstra, co nie do końca jest prawdą, bo ta nowa wersja jej siostry wprawia ją w zakłopotanie. Lily po raz ostatni odwiedziła Sarah i matkę jakieś trzy lata temu, niedługo po tym, jak odszedł ojciec, a ona zdecydowała się wyjechać. Nie wyglądała wtedy zbyt zdrowo, ale przynajmniej dało się ją rozpoznać. Brązowe, obcięte na pazia włosy, dzinsy i bluza. I co najmniej pięć kilo więcej niż teraz. Twierdziła, że przyjechała tylko dlatego, aby je uspokoić, zapewnić, że dobrze jej w Devon – nie zdradziła konkretnego miejsca swojego pobytu – nawiązała nowe przyjaźnie i zaczyna nowe życie, w którym będzie mogła malować i robić to, co jest dla niej ważne.

Sarah pamięta, że chciała ją wtedy zapytać: „A ja nie jestem już dla ciebie ważna?”. Ale nie zdobyła się na odwagę. Później, na górze, Lily szepnęła do niej: „Wszystko w porządku?”, z taką paniką, że Sarah nie mogła udzielić odpowiedzi innej niż twierdząca. Nie powiedziała prawdy o tym, jak bardzo tęskni za siostrą, jak bardzo jest zaskoczona i zasmucona separacją rodziców oraz nagłym rozpadem

rodziny.

Ubrania noszone przez tę nową Lily naśladowują styl hipisowski. Długa do połowy łydki bawełniana spódnica i bluzka w stylu boho ze sznurkami przy nadgarstkach i dekolcie. Można je związać, u Lily wiszą jednak luźno. Choć całe ciało ma zasłonięte, widać, że jest zdecydowanie zbyt chuda. Same kości, Sarah dostrzega to zwłaszcza na nadgarstkach, które zdobi kilka bransoletek.

– Przepraszam, że po zaginięciu Anny nie dzwoniłam częściej – mówi nagle Lily. Odwraca się i do dużej, żółtej kafetery nalewa gorącą wodę. – To musiało być dla ciebie okropne.

Dwa telefony krótko po zaginięciu, kartka i kilka krótkich wiadomości na Facebooku. Sarah liczyła wtedy na znacznie więcej i wsparcie siostry bardzo by jej się przydało. Choć twierdziła, że nie chce o tym rozmawiać, tak naprawdę chciała. Powiedziałyby prawdę, gdyby Lily bardziej się postarała? Gdyby naciskała? Nie zna odpowiedzi na to pytanie, więc milczy, czekając na kawę. Podczas podróży wyobrażała sobie to wszystko zupełnie inaczej. Tsunami wyznań. Łzy. Uściski. Ulga.

„Martwię się, że tata miał coś wspólnego z zaginięciem Anny...”

Czemu Lily nie zapytała?

Teraz, kiedy Sarah jest już na miejscu, wcale nie ma pewności, jak się to wszystko potoczy. Ona i Lily wydają się sobie obce w tej dużej, zagraconej kuchni. Zawleczka twardo tkwi w tym przeklętym granacie.

– Powiedziałaś mamie, że tu jesteś?

– Tylko tyle, że pojechałam do ciebie i żeby się nie martwiła.

– To dobrze. Nie chcę, by znała ten adres. – Lily strzepuje ze spódnicy jakiś paproszek, a potem Sarah czuje na sobie spojrzenie siostry.

– Może zadzwoniłabyś i potwierdziła, że jestem u ciebie, co, Lily?

– Myślisz, że to konieczne?

– Tak. Ona się denerwuje. – Pauza. Sarah ma wyrzuty sumienia. – Powiadomiła policję, że uciekłam z domu.

– Och, Sarah, od razu powinnaś mi to była powiedzieć. Niepotrzebna nam tutaj policja.

– Przepraszam.

– Okej. – Lily przez chwilę spogląda w sufit, po czym przenosi wzrok z powrotem na Sarah. Ręce kładzie na biodrach. – Nie mam w tej chwili komórki. Staramy się ich unikać. Mamy jeden wspólny telefon na wszelki wypadek.

Sarah uznaje to za dziwaczne. Nie mieć komórki? Zaciekawiona tym, kim tak naprawdę są ci „my”, o których mówi Lily, wyjmuje z kieszeni swój telefon, wybiera numer, po czym czeka, aż mama odbierze. Wtedy od razu przekazuje go Lily.

– Cześć, mamó. Z tej strony Lily. Dzwonię, żebyś wiedziała, że Sarah powiedziała ci prawdę i nie musisz się martwić. Nie zaginęła. Przyjechała do mnie na kilka dni, nic jej nie grozi.

Sarah słyszy dobiegający z telefonu głos matki. Udaje jej się wyłapać kilka słów. Dom. Coś tam, coś tam... Policja. Próbuje wyczytać coś z miny Lily. Siostra ściąga brwi. Mruży oczy. Nieznaczny ruch głową, a potem...

– Mamó, rozumiem, że się denerwujesz, ale Sarah nie chce wracać w tej chwili do domu. Nie trzeba angażować policji. Ona nie uciekła. Nie zaginęła, przyjechała do mnie... Jeśli muszą z nią porozmawiać, mogą to zrobić po jej powrocie. – Kolejna głośna interwencja ze strony ich matki. Lily zamyka tym razem oczy i się krzywi. – Cóż, pozwalam sobie mieć w tej kwestii odmienne zdanie. Powiem Sarah, aby telefon miała zawsze włączony, żeby mogła odczytywać wszystkie wiadomości. Okej. No to pa. – Opuszcza komórkę, szuka przycisku kończącego połączenie, po czym oddaje aparat Sarah. – Ona się nie zmieni.

Sarah kręci głową i w tym momencie zaczyna dzwonić jej komórka. Tę melodyjkę ściągnęła sobie w szpitalu. Staromodny dźwięk telefonu. Wtedy bardzo jej się podobał. Przypominał jej stare sitcomy. Tutaj nagle wydaje się absurdalny. Na wyświetlaczu widać potwierdzenie, że to jej matka. Odrzuca połączenie i wycisza telefon, a Lily odwraca się i nalewa kawę do dwóch kubków. Unosi karton z mlekiem i patrzy pytająco na Sarah, a ta kiwa głową.

Stoją i piją kawę. Sarah rozgląda się za krzesłem i po raz kolejny się zastanawia, czy ośmieli się poruszyć temat, który napawa ją takim przerażeniem. Jakby wyczuwając to, Lily nagle oświadcza, że oprowadzi ją po domu. Wyprowadza ją z kuchni.

– Chodź. Oprowadzę cię. Musisz poznać moich przyjaciół.

Sarah czuje się skrepowana. Nie interesuje jej zwiedzanie domu i na pewno nie ma ochoty na towarzystwo.

Dom okazuje się duży i cały urządzony w stylu *shabby chic*. W salonie stoją duże, wypłowiałe sofy, w jadalni cała ściana to półki z książkami, jest tu też ogromna oranżeria z całym mnóstwem roślin. Drewniane podłogi przykrywają dywaniki w jaskrawych kolorach. Lily nie zamyka się buzia. Wyjaśnia, że oprócz niej i Caroline, właścicielki domu, mieszkają tu trzy pary. To nie jest komuna, bardziej wspólnota ludzi podobnie myślących. Większość z nich to artyści.

– Więc masz pracę? To znaczy skąd masz pieniądze na to wszystko? – Sarah sączy kawę, stojąc pośrodku oranżerii. Zastanawia się, gdzie się podziewają pozostali. Kogo dzisiaj pozna?

– Wszyscy pracujemy i wszyscy coś tu wnosimy. Na różne sposoby. Dom należy do rodziców Caroline. Czynnosc jest symboliczny.

– Szczęściarze.

– Wierzmy, że każdy jest odpowiedzialny za swoje szczęście. Że to od nas zależy, kim się stajemy. Czy wykorzystujemy nasz potencjał.

Sarah przypomina sobie, że dokładnie te słowa usłyszała, kiedy Lily po raz pierwszy przyjechała do domu. Podejrzewa, że to cytat z tajemniczej Caroline.

– Jaka ona jest? Caroline?

– Caroline jest naprawdę wyjątkowa. – Lily trzyma kubek w obu dłoniach. – Poznasz ją później.

– I nikomu nie przeszkadza, że się tu zatrzymam?

Lily się uśmiecha, ale nic nie mówi. Sarah przygląda się uważnie siostrze i postanawia, że dość tego.

– No dobrze. Skoro jesteśmy same, naprawdę muszę porozmawiać z tobą o tacie, Lily. Po to tu przyjechałam.

Wyraz twarzy Lily ulega natychmiastowej zmianie. Nie tylko blednie, ale pojawia się na niej coś pomiędzy przerażeniem a koszmarnym zmęczeniem. Stoi w zupełnym bezruchu, a kiedy bierze oddech, żeby udzielić odpowiedzi, w drzwiach prowadzących do ogrodu pojawia się jakiś mężczyzna. Sarah nie zauważyła, jak przechodził przez trawnik, i jest tak zaskoczona skrzypnięciem drzwi, że niemal wylewa kawę.

– Przepraszam. Przepraszam. Nie widziałam cię.

– Moja wina. – Mężczyzna przechodzi przez oranżerię z wyciągniętą ręką. Sarah jest ponownie zaskoczona, tym razem formalnym uściskiem dłoni. Mężczyzna jest ubrany w takim samym stylu jak Lily: dziwaczne, workowate spodnie w odcieniu intensywnej zieleni z gumką na dole nogawek. Granatowy T-shirt. – Ty musisz być siostrą Saffron*?

– Saffron? – Sarah patrzy na Lily, przechyla głowę i unosi brwi.

– Wszyscy otrzymujemy tu nowe imiona. – Lily uśmiecha się do intruza. – To jest Moon**.

„O rany. Więc to jakaś sekta?” Sarah zauważa, że Moon ma takie same kolorowe bransoletki jak Lily.

– Miło cię poznać, Moon, dziękuję, że pozwalacie mi się tu zatrzymać, ale naprawdę muszę porozmawiać z siostrą na osobności.

Sarah sądziła, że ta aluzja do więzów rodzinnych okaże się wystarczająca, ale nie. Mężczyzna podchodzi do Lily i dotyka koralików wokół jej lewego nadgarstka. Wpatruje się w twarz jej siostry, jakby wyczytywał z niej jakiś sekret.

– Rozmawialiśmy o tym, Saffron. Teraz to zależy od ciebie. Chcesz, żebym został? Tak?

– Co to znaczy, że rozmawialiście o tym? – Sarah jest skonsternowana. Odstawia kubek na nieduży stolik, po czym się prostuje. – To nasza sprawa. Rodzinna. To moja siostra i muszę z nią porozmawiać o czymś ważnym. Na osobności.

Moon się nie rusza. „Czy to partner Lily?”

Lily milczy, a na jej twarzy nadal maluje się udręka. Ciszę w końcu przerywa Moon.

– Pamiętaj, że to twój wybór, Saffron. Chcesz porozmawiać z Sarah? – Długa pauza. – Czy nie?

– Podwójne espresso. – Matthew wyjmując z portfela banknot pięcioletni. W tym momencie staje obok niego Melanie.

– Podwójne? Jesteś pewny, Matt, że to dobry pomysł?

Odwraca się do niej z uśmiechem, szczerze uradowany jej widokiem, i całuje ją z entuzjazmem w policzek. Melanie oblewa się rumieńcem. On zresztą także.

– A co dla ciebie, Mel? Ciasto? Opiekana bułka drożdżowa? Ja stawiam.

– Za dużo mam dziś w sobie kofeiny.

Melanie decyduje się na herbatę earl grey z cytryną i dziękuje za ciasto.

Matthew nie powstrzymuje to przed zamówieniem dla siebie ciasta marchewkowego. Siadają przy stoliku stojącym we wnęce zapewniającej spokój. Ku jego zdziwieniu Melanie wyjmując z plecaka prezent, opakowany w różowy papier w białe bociany i przewiązany różową wstążką.

– Och, Mel. Nie trzeba, naprawdę. Kiedy miałaś na to czas? – Czuje się wzruszony.

Tym razem to ona uśmiecha się szeroko i nalega, aby rozpakował prezent. Okazuje się, że to przesłodki pajacyk i czapeczka do kompletu, białe w jasnoróżowe serduszka.

– Cudne. To niesamowicie miłe z twojej strony.

– Powiedz, jak to wygląda? To całe ojcostwo?

Matthew bierze głęboki wdech. Melanie to pierwsza osoba, z którą się spotkał poza najbliższą rodziną po narodzinach dziecka.

– Kompletnie przytłaczające. Sal była niesamowita, ale nieźle się namęczyła. – Opowiada w skrócie, oszczędzając drastycznych szczegółów, o przebiegu porodu. Koszmarze, jakim było czekanie na korytarzu na wieści. O strachu. A potem o radości. I dziwnym stanie zawieszenia, kiedy nie do końca się wie, co robić ani jak się zachowywać, o pobycie Sally w szpitalu.

– Więc dlatego jesteś w pracy? Uznałam to za dziwne.

– To przez tę sprawę. Nie mogę jej wyrzucić z myśli, Mel. A teraz... – Milknie, kiedy pojawia się kelnerka z ich zamówieniem. A gdy się oddala, Matthew dostrzega jej włosy w odcieniu truskawkowego blondu i przypomina mu się sprawa uprowadzenia dziecka, nad którą pracował kilka lat temu. Młoda matka miała włosy w takim samym kolorze. I także kręcone, jak kelnerka. Pamięta, że kiedy ją przesłuchiowano, nagle musiała się oddalić, żeby wymiotować. Bardzo jej współczuł, kiedy patrzył, jak siedzi tam z trzęsącymi się rękami, blada i przerażona. Ale dopiero teraz uświadamia sobie ze wstydem, że sam okazywał

zniecierpliwienie, chcąc wykonywać swoją pracę. Dopiero teraz zaczyna rozumieć...

Matthew podnosi głowę i widzi, że Melanie mu się przygląda.

– Wszystko w porządku, Matt?

– Przepraszam. Mało śpiam. Poranki i wieczory spędzam w szpitalu, a w ciągu dnia ogarniam sprawy domowe.

– I pracujesz.

– I pracuję, owszem. Staram się przed powrotem dziewczyn do domu pozamykać kilka kwestii.

– Cóż, mam nadzieję, że nie liczysz na zamknięcie sprawy Anny Ballard, bo jak na razie nie zanoszą się na to. – Nachyla się w jego stronę. – Okej. Rozmawiam z tobą tylko dlatego, że ci ufam, i dlatego, że w tej akurat chwili mam ochotę zrobić to samo co ty, czyli rzucić wszystko w diabły.

Matthew próbuje wyczytać coś z jej twarzy. Modli się, aby nie mówiła poważnie. Powinien jej powiedzieć, że często tego żałuje? Że bywają dni, kiedy tak bardzo chciałby cofnąć czas?

– Tylko się nie waż odchodzić, Melanie, słyszysz? Jesteś warta tyle co trzech tych komisarzy z Londynu.

– Jasne... ale oboje wiemy, że to niczego nie zmienia.

Matthew wzdycha, żałując, że nie może powiedzieć, iż to nieprawda.

– No dobrze, Matt. Słuchaj w takim razie... ale to wszystko ma zostać między nami, rozumiesz?

– Słowo harcerza. – Oboje wiedzą, że dawno temu przekroczyli wszystkie granice; że sprawdza się to tylko dlatego, że ufają sobie nawzajem.

– Do naszego komisariatu dzwoni ojciec Anny, tak? Chce rozmawiać ze mną. Mówi, że będzie rozmawiał tylko ze mną. Okazuje się, że razem ze strzelbą zamknął się w stodole.

– Chryste.

– No właśnie. A co robi komisarz Półgłówek? Postanawia mi o tym nie mówić. Mało tego. Podstępnie daje mi dzień wolny, a sam wparowuje tam bez pardonu i wkurza Ballarda, odmawiając mu spotkania ze mną. Tak bardzo pieprzy sprawę, że Henry Ballard zaczyna wymachiwać strzelbą, mało się przy tym nie postrzeliwując.

– Ja pierdziele. Co teraz?

– Teraz siedzi w areszcie, a mnie nie pozwalają się do niego zbliżyć. Jeden funkcjonariusz dał mi cynk i udało mi się porozmawiać z Cathy, która przebywa teraz w domu razem z matką, Barbarą.

– Ale dlaczego nie dopuszczają cię do tego?

– Kto to wie? Pewnie dlatego, że przejrzałam na wylot tego niekompetentnego,

napuszonego komisarzynę.

– Błagam, tylko mi nie mów, że mu to powiedziałaś. – Melanie oblewa się rumieńcem. – Och, Mel.

– Cóż, podobno pracuje teraz także nad sprawą jakiegoś seryjnego zabójcy i z tego, co widzę, ma w dupie to, czy Anna Ballard się odnajdzie. Jest leniwy i czeka po prostu, aż pojawi się ciało, żeby wszystkim zajęli się specje od medycyny sądowej.

– No dobrze. I co, rzeczywiście uważają teraz, że to ojciec jest winny? A ty myślisz, że mógł to zrobić? Co z tymi dwoma facetami, którzy wyszli z więzienia? Sądziłem, że pozostają głównymi podejrzanymi.

Melanie odchyła się na krzesło.

– Ja też.

W tym momencie dzwoni jej telefon. Nowa jazzowa melodyjka, co Matthew wcale nie zaskakuje. Mel zawsze miała bzika na punkcie jazzu. Aby świętować zaliczenie pierwszego szkolenia, zorganizowała wyjście do fantastycznego klubu jazzowego. To był naprawdę świetny wieczór.

Melanie wyjmuje telefon z kieszeni, a Matthew kiwa ze zrozumieniem głową, kiedy jego przyjaciółka wstaje i odchodzi, aby odebrać. Dopija kawę i ze stojącej na środku stolika ceramicznej miseczki wyjmuje saszetkę z cukrem. Już, już chce zacząć budowanie piramidy, ale beszta się w duchu. „Przestań się bawić. Nie dzisiaj”. Odkłada saszetkę na miejsce i czeka na powrót Mel.

– Mówię ci, jest jeszcze lepiej. Nie uwierzysz, co się jeszcze wydarzyło.

Matthew nic nie mówi, unosi jedynie brwi.

– Okej, po pierwsze czeka mnie spotkanie z komendantem. Ten mały kutas naskarżył na mnie. Złożył oficjalną skargę.

– O Boże, tak mi przykro, Mel. To przeze mnie?

– Skąd! Nie wiedzą, że z tobą rozmawiam. Zresztą nieważne, jakoś sobie poradzę. – Bierze głęboki oddech. – Matt... zarządzili blokadę informacji dla mediów, ale mówię ci, nie ma takiej opcji, żeby udało im się utrzymać w tajemnicy to, co się teraz dzieje.

– Dlaczego ten człowiek jest bez skarpetek? – Komisarz patrzy pytająco na sierżanta eskortującego Henry’ego.

– Mówiłem już swojemu prawnikowi, że nie chcę czekać na skarpetki. Chcę mieć to w końcu za sobą. – Henry siada obok adwokata.

Komisarz mówi głośno „dla dobra nagrania”, że Henry Ballard nie zaprotestował przeciwko temu, że będzie przesłuchiwany bosy, ton jego głosu i wyraz twarzy wskazują na to, że obecny stan rzeczy nie robi na nim wrażenia.

– Sprawdziliście to, co wam powiedziałem?

– To ja jestem tu od zadawania pytań, panie Ballard.

Henry przygryza dolną wargę, podczas gdy komisarz przebiega wzrokiem po leżących przed nim dwóch kartkach. Próbuje cokolwiek z nich odczytać, ale widząc tekst do góry nogami, wyłapuje jedynie imię, które sugeruje, że rzeczywiście sprawdzono jego nową wersję alibi.

April.

– Czy pańska żona wie o tym romansie?

– Nie wie. – Henry nie zamierza dodawać, że zdążył już otrzymać od Barbary ostatnie ostrzeżenie. Wdał się w głupi romans, kiedy dziewczynki były małe. Barbara wydawała się wtedy bardziej zainteresowana Anną, Jenny i ich przyjaciółmi niż nim. To nie było nic poważnego i gorzko tego żałował. Kiedy Barbara się dowiedziała, dała mu drugą szansę, ale jasno się wyraziła, że trzeciej nie będzie.

– I naprawdę pan sądzi, że wierzy w te pańskie bzdury o spaniu w samochodzie, panie Ballard?

– Nie wiem, ale wolałbym, żeby nie mówiono jej o April...

– Nie wątpię, ale jak na razie dysponujemy trzema wersjami tego, co robił pan tamtej nocy. Marnuję w ten sposób czas. Czy naprawdę muszę panu przypominać, że to poważne dochodzenie?

– Jak pan śmie. – Henry wstaje, a jego krzesło z głośnym zgrzytem przesuwa się po wyłożonej płytkami podłodze.

– Proszę siadać!

Henry go ignoruje.

– Moja córka pozostaje zaginiona. Minął cały rok, a wy nadal nie macie pojęcia, co się z nią stało. Od razu na początku pozwalacie wymknąć się dwóm głównym podejrzanym i to pan niby musi mi przypominać, że to poważne dochodzenie?

Prawnik Henry’ego kładzie mu delikatnie rękę na ramieniu, a drugą sygnalizuje,

aby usiadł, on jednak aż się gotuje. Wystarczająco długo dostosowywał się do tego niekompetentnego barana.

– Gdyby od razu powiedział nam pan prawdę, panie Ballard, dałoby się uniknąć marnowania mnóstwa naszego czasu. A teraz proszę usiąść.

Henry w końcu opada na krzesło.

– Czy April z wami rozmawiała? Złożyła zeznanie? – Dziwnie się czuje, wypowiadając głośno jej imię. Nie podoba mu się myśl, że była u niej policja. Że sąsiedzi wszystko widzieli.

– Tak. Potwierdziła pańską ostatnią wersję wydarzeń. Ale przecież ma pan w zwyczaju prosić obecne w pańskim życiu kobiety o to, żeby dla pana kłamały. Pierwszą poprosił pan o to oczywiście żonę.

– Barbara jest zupełnie bez winy. Powiedziałem jej, że nie chcę, aby policja wiedziała, jak bardzo się upiłem. Planowałem sięść za kółkiem, a potem musiałem się przespać w samochodzie.

– I ona rzeczywiście w to uwierzyła?

Henry wbija wzrok w bose stopy; może jednak niepotrzebnie wyraził zgodę na zjawienie się tu bez skarpetek. Zakładał, że w końcu go wypuszczą. Po co te kolejne pytania? Zgodnie z przepisami została im godzina na to, aby albo postawić go w stan oskarżenia, albo wypuścić.

– Nie muszę panu przypominać, panie Ballard, że mogę pana oskarżyć o naruszenie spokoju albo zachowanie zagrażające życiu.

– W stodole zdenerwowałem się tylko dlatego, że chciałem rozmawiać z Melanie Sanders. Już to mówiłem.

– Dlaczego właśnie z nią? – Ton jego głosu mówi więcej niż słowa.

Henry próbuje coś wyczytać z twarzy komisarza. Dociera do niego, że powinien zachować ostrożność.

– Łatwo mi się z nią porozumieć i tyle. Była dobra dla mojej rodziny, ona i Cathy.

– No tak. Cóż, jest na zwolnieniu, już to panu mówiłem. A tą sprawą dowodzę ja.

Przez chwilę słychać tylko szelest kartek. W końcu odzywa się prawnik Henry'ego.

– Jeśli to wszystko i przedstawiona przez pana Ballarda wersja wydarzeń okazuje się satysfakcjonująca, wnoszę o jego zwolnienie. To bardzo trudny czas i mój klient musi być z rodziną.

Komisarz zdaje się zastanawiać nad tymi słowami. Nagle otwierają się drzwi do pokoju przesłuchań.

– Co znowu? Mam nadzieję, że nie ma to związku ze skarpetkami?

Sierżant przechodzi przez pokój i nachyla się do ucha komisarza. Wyraz twarzy

tego drugiego ulega zupełnej zmianie. Henry ściąga brwi, kiedy komisarz mówi do urzędnika nagrywającego, że wychodzi z pokoju i na chwilę musi zawiesić przesłuchanie.

– Co się dzieje? – Henry zadaje to pytanie prawnikowi, który wzrusza jedynie ramionami.

Komisarz wraca po kilkunastu minutach po marynarkę, którą zostawił na oparciu krzesła, i oświadcza, że Henry zostaje zwolniony bez wniesienia oskarżenia, ale że policja zastrzega sobie prawo do pytań uzupełniających i możliwe, że konieczne będzie kolejne przesłuchanie.

Po tych słowach komisarz bierze głęboki oddech i patrzy uważnie na Henry'ego. Następnie oznajmia, że pojawił się niespodziewany zwrot w policyjnym śledztwie. Ton głosu ma odmieniony, powściągliwy. Dodaje, że Henry zostanie odwieziony do domu i że więcej wyjaśnień uzyska w czasie jazdy.

Henry ma kompletny mętlik w głowie. Wcześniej planował, że zadzwoni do Barbary, licząc, że wieść o schadzce z April się nie rozniosła i że żona zgodzi się po niego przyjechać. Zastanawia się, dlaczego policja chce mu wyświadczyć tę przysługę. Przesuwa wzrokiem po twarzach obecnych w pokoju osób; atmosfera uległa zdecydowanej zmianie.

– O co chodzi? Co się stało?

– Więcej dowie się pan w drodze do domu, panie Ballard.

Sarah siedzi na sofie. Nachyla się i chowa twarz w dłoniach. Musi pomyśleć, pomyśleć, pomyśleć. Musi dobrać odpowiednie słowa, aby przywołać prawdziwą Lily, ukrywającą się gdzieś w środku tej zdystansowanej nieznajomej. Ale nie przychodzą jej na myśl żadne słowa. Zamiast tego przypominają jej się – tak jak ma to często miejsce w nocy – ostatnie kwestie, jakie wypowiedziała do Anny. Okropny, pełen gniewu dialog, o którym nie powiedziała policji. Wcześniej planowała, że wszystko powie Lily. Tej dawnej Lily.

Naprzeciwko nich siedzą teraz trzy osoby. Dotykają tych swoich bransoletek, a Sarah każe im w myślach spadać i pozwolić porozmawiać z siostrą. Oprócz Moona jest tutaj para, która się przedstawiła jako Rainbow i Waterfall***.

– Czyli to jakaś sekta? – Sarah wyrzuca to w końcu z siebie. Patrzy na nich i ma gdzieś, czy jej słowa mogą ich obrazić. – Bo o co chodzi z tymi bransoletkami i dziwnymi imionami?

– Nie masz się czym denerwować, Sarah. To coś dobrego. Uspokaja i leczy. – Lily patrzy jej w oczy i wydaje się tak niesamowicie krucha, że Sarah ma wrażenie, że zaraz rozplącze się z frustracji.

– Okej. Jeśli nie poprosisz tych ludzi, aby wyszli, zamierzam powiedzieć wszystko przy nich. O tacie, Lily. I jeśli tylko nie zrozumiałam tego opacznie, myślę, że doskonale wiesz, iż nie jest to rozmowa, której chciałabyś, aby byli świadkami.

Lily w końcu odwraca się w stronę swoich dziwnych przyjaciół i prosi ich, aby zostawili je same.

– Naprawdę, jesteś tego pewna? – Moon mówi to bardzo cicho, patrząc Lily w oczy, i Sarah ma już pewność, że są kochankami.

– Tak. Nic mi nie będzie. Jeśli zajdzie taka potrzeba, przyjdę po was.

Kiedy w końcu wychodzą, Lily zamyka drzwi i siada naprzeciwko Sarah.

– Co to za miejsce, Lily? To, jak się obecnie ubierasz, jak się zachowujesz, nie podoba mi się, nic nie rozumiem. Przecież jesteśmy siostrami, a mimo to odnoszę wrażenie, że nie chcesz mieć już ze mną nic wspólnego.

– To nie tak.

– W takim razie jak? Rok temu zaginęła moja najlepsza przyjaciółka. Możliwe, że nie żyje. A ty prawie w ogóle się nie odzywasz.

– Przepraszam. Powinnam była częściej dzwonić. Masz rację. Przepraszam. Kiedy tu przyjechałam, Sarah, byłam w bardzo kiepskiej kondycji. Potrzebowałam przestrzeni. Musiałam się wzmocnić i odkryć, w jaki

sposób zachować tę siłę.

Przez chwilę siedzą w milczeniu, a Sarah wraca myślami do scen sprzed wyjazdu Lily i rozstania rodziców. Do trzaskania drzwiami. Krzyków i słów, które za zamkniętymi drzwiami raczej wypluwano z siebie, niż szeptano. Nikt jej nie mówił, co się dzieje.

A potem przypomina jej się ta okropna scena z ojcem.

„Muszę sprawdzić, czy jesteś wystarczająco dojrzała...”

Próbuje sobie przypomnieć konkretne daty. Kiedy to było? Kilka miesięcy przed rozpadem jej świata? Tak. Powód, dla którego czuła taką dezorientację podczas rozstania rodziców. Tęskniła za tatą, którego tak kochała jako mała dziewczynka, ale cieszyła się także z jego odejścia, przez co dręczyły ją potworne wyrzuty sumienia.

– Czemu tata naprawdę odszedł, Lily?

– Dlaczego uważasz, że mógł mieć coś wspólnego z Anną? Czemu tak pomyślałaś? Czemu tak mówisz?

– Bo miałam cały rok, żeby się tym zadrećcać. I myślę, że obie wiemy, dlaczego może ich coś łączyć.

Lily trzęsie się ręką i Sarah nie potrafi oderwać od niej wzroku. Drugą ręką jej siostra podciąga rękaw i Sarah przypominają się inne sceny z ich domu. Kiedy Lily zaczęła wagarować i się ranić. Nacinać skórę na rękach cyrklem z zestawu do matematyki.

– Tata powiedział mi kiedyś coś dziwnego, Lily. Nikomu o tym nie mówiłam, ani mamie, ani Annie. Nikomu. I nie wiem nawet, co to dokładnie było ani czy zbytnio tego nie wyolbrzymiam. Ale to, co zrobił, nie wydaje mi się właściwe i od czasu zaginięcia Anny ciągle o tym myślę. Muszę wiedzieć, czy według ciebie jestem szalona ze swoimi podejrzeniami co do powodu odejścia taty. Mama w ogóle nie chce o tym rozmawiać. Sądziłam, że po prostu miał romans i ją zranił. Ale musisz mi powiedzieć...

– O mój Boże, Sarah. Naprawdę tobie także zrobił krzywdę? – Na twarzy Lily maluje się szok, a w jej oczach pojawiają się łzy.

– Niezupełnie krzywdę. – Sarah odwraca wzrok. – Dotknął mnie. To nie było dobre...

– O Jezus. Kiedy to się stało? Więcej niż raz?

– Nie. Tylko raz. Kilka tygodni przed jego odejściem.

Lily wstaje i podchodzi do okna, po czym nagle się odwraca.

– Powinnam była pójść na policję. O Boże, tak bardzo mi przykro, Sarah.

– Co to znaczy, że powinnaś była pójść na policję? Dlaczego?

– Tata nie jest dobrym człowiekiem, Sarah. On... – Prawą rękę zaciska na bransoletkach na lewym nadgarstku, po czym obraca największe koraliki. –

Posłuchaj. Robił mi różne rzeczy. Często. Zbyt się bałam, żeby komukolwiek powiedzieć. – Wzburzona wraca na sofę. Nachyla się. – Ale potem zrobiło się znacznie gorzej i bałam się, że ciebie także będzie krzywdził. Sądziłam, że cię chronię. Powiedziałam mamie... że przyszedł do mojego pokoju. Po naszej przeprowadzce do nowego domu. Ale ona mi nie uwierzyła.

– Powiedziałaś mamie? Ona wiedziała?

– Aha. Myślałam, że pójdzie od razu na policję, ale ona zwróciła się z tym do taty, a on... – Pauza. Lily gorączkowo pociąga za koraliki. – Oświadczył, że kłamię, bo chcę zwrócić na siebie uwagę, że mam nierówno pod sufitem i że plotę bzdury, żeby nie ponieść kary za wagarowanie. Że potrzebna mi pomoc, najpewniej psychiatry.

Sarah zasłania rękami usta.

Lily ociera płynące po jej policzkach łzy.

– Więc powiedziałam, że jeśli tata się nie wyprowadzi, sama pójdę na policję i na niego doniosę.

Sarah wbija wzrok w podłogę.

– Teraz wiem, że należało tak zrobić. Pójść na policję. Tak bardzo cię przepraszam, Sarah. Chciałam jedynie, żeby to się skończyło, i naprawdę sądziłam, że jeśli on odejdzie, to cię uratuję. Nie miałam pojęcia, że on już wtedy... Wyprowadził się, ale mama i tak mi nie wierzyła, nie chciała mi wybaczyć, więc przyjechałam tutaj. W naprawdę okropnym stanie.

Sarah rozgląda się po pokoju. Mruży oczy i myśli o nich wszystkich. O Moonie, Rainbow i Waterfallu...

– Co to za miejsce, Lily? I ludzie?

– Dowiedziałam się o nim z telefonu zaufania. Caroline oferuje ten dom osobom... po tego rodzaju doświadczeniach.

– Więc ci wszyscy ludzie, Moon i pozostali...

Lily kiwa jedynie głową, a Sarah od nowa analizuje sceny, których była świadkiem. Moon, który przyszedł z ogrodu. Trzęsące się ręce. Niepokój w oczach.

– Ludzie rzeczywiście uważają nas za dziwnych. Żyjących w jakiejś szurniętej komunie. Ale my mamy to gdzieś. Dzięki mieszkaniu razem jesteśmy silniejsi.

– Czemu później nie poszłaś na policję, Lily?

– Chciałam tak zrobić, ale nie miałam w sobie wystarczająco siły. A tutaj nikt na mnie nie naciska. Wszystko zależy od nas. To nasz wybór.

– Dlatego zachowują się tak opiekuńczo względem ciebie? Oni wiedzą?

– Tak. Wiedzą o wszystkim. Wiedzą, że znowu mam stany depresyjne, kiedy myślę o tobie. O domu. I mamie. Martwili się.

Sarah wbija wzrok w drżące dłonie siostry.

– Przepraszam. Naprawdę nie chcę, żeby ci się pogorszyło, Lily, ale muszę

opowiedzieć ci o tamtej nocy z Anną. Dlatego tu przyjechałam i dlatego tak się zamartwiam.

– Mów, kochana.

– Nie doniosłam o tym policji, bo... cóż, sama nie wiem dlaczego. Bałam się, że zachowuję się nedorzecznie. Sądziłam, że to Karl i Antony. Ale coraz bardziej się boję, że to, co się stało z Anną, to moja wina.

– Skąd w ogóle taka myśl?

– Tamtego wieczoru, kiedy zaginęła Anna, dostałam esemesa od taty. Od mamy wiedział, że jesteśmy w Londynie, i chciał, żebyśmy się z nim spotkały w hotelu. Jakimś eleganckim, w którym zatrzymał się służbowo. Wiedziałaś, że jest teraz kierownikiem? W dużej firmie przewozowej? Mniejsza z tym. Nie zgodziłam się. Ale pokazałam Annie tę wiadomość.

– Chyba nie sądzisz, że się z nim spotkała, co?

– W tym właśnie problem, po prostu nie wiem. Pokłóciłyśmy się, ja i Anna, a ona powiedziała coś, co utkwilo mi w głowie.

– Nie rozumiem.

– Powiedziała, że nie czuje się bezpiecznie, bo za dużo wypiliśmy. Zasugerowała, żebym poprosiła tatę, aby przyjechał do klubu i odwiózł nas do naszego hotelu...

Siedzę w kuchni razem z Lukiem. Czuję suchość w ustach, serce wali mi jak młotem.

W mojej kieszeni tkwi kawałek plastiku, który znalazłam przed kwaciarnią. Kawałek plastiku, który tak bardzo wytrącił mnie z równowagi. Czemu Luke miałby mnie okłamać? Czy w głębi duszy jest zły z powodu wszystkiego, co dzieje się w jego życiu, z powodu tego, że tak mnie pochłonęło zaginięcie Anny?

– Kojarzysz tę małą lupkę, którą przywiozłeś z Ten Tors? Tę, którą dostałeś razem z medalem? – Staram się, aby zabrzmiało to lekko.

– Słucham?

– Tę plastikową lupę do czytania map. Mogę ją pożyczyć? Część list z nowymi zamówieniami ma naprawdę mały druk i ciężko mi go odczytać.

Przyglądam się jego twarzy, ale niczego nie jestem w stanie z niej wyczytać. A może przyjechał do kwaciarni, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku, a potem zmienił zdanie? Ale czemu miałby to zrobić? Po co by skłamał? Nie ma to dla mnie sensu.

– Zgubiłem ją. Już dawno temu. A może po prostu kupisz sobie porządną lupę? Albo okulary do czytania? – Wydaje się poirytowany. – Czy też za bardzo się wstydzisz, żeby nosić okulary?

– Kiedy ją zgubiłeś?

– Na litość boską, mamo. Czy to ważne?

Na blacie obok czajnika leży mój telefon. Wibruje, sygnalizując nadejście wiadomości. Ignoruję to.

Wtedy telefon zaczyna dzwonić. Zerkam na wyświetlacz i widzę, że to Matthew. Przykładam telefon do ucha. Jego słowa – wypowiedane bardzo szybko – są szokujące i trudno mi je ogarnąć.

– Musimy włączyć telewizor. – Pokazuję na półkę nad stojakiem na warzywa, gdzie zawsze leży pilot.

– Co się stało? Z kim rozmawiasz?

– Włącz telewizor, Luke. Kanał z wiadomościami. Jakikolwiek.

Wciska guziki na pilocie niedużego telewizora z płaskim ekranem, który stoi na regale z książkami z przepisami i segregatorami. Kiedy w końcu pojawia się obraz, Luke przerzuca kanały, aż natrafia na wiadomości. Ekran wypełnia znajome zdjęcie Anny, a pod nim na pasku przewijają się słowa. Dobry Boże. Zupełnie jak w tamtym hotelu przed rokiem...

– Zrób głośniej, Luke. Szybko.

Czytam informacje na pasku, a w tym czasie Matthew dzieli się tym, co wie.

Karl Preston jest podejrzanym w sprawie zaginięcia uczennicy Anny Ballard. Drugi skrót potwierdza, że ulice wokół bloku w Hiszpanii zablokowała policja po tym, jak przed godziną rozległy się tam strzały. Gdy pojawia się dźwięk – w pierwszej chwili zdecydowanie za głośny – następuje powrót do studia, gdzie jasnowłosa prezenterka przekłada jakieś dokumenty i prawą ręką przytrzymuje słuchawkę w uchu.

– W tej chwili nie wiemy niczego więcej, Ello. Muszę kończyć. – Głos Matthew rywalizuje o uwagę z telewizorem. – Ale zadzwonię, jeśli tylko się czegoś dowiem. Policja liczyła na blokadę informacji, ale sąsiadka, która zadzwoniła na policję, zaraz potem powiadomiła telewizję.

Dziękuję mu i zniżywszy głos, pytam go o dziecko. Wyjaśnia, że za kilka godzin wróci do szpitala, ale w razie czego mogę do niego wysłać esemesa.

A teraz Luke i ja stoimy zaszokowani w kuchni – między nami wisi wypowiedziane szeptem słowo „dziecko” – a prezenterka podsumowuje to, co wiedzą.

– Na razie nie do końca jest to jasne, wiemy jedynie, że do bloku na małym osiedlu około czterech kilometrów od Marbelli wezwano policję. Otrzymali wiadomość od kogoś, kto rozpoznał mężczyznę z niedawnych apeli policyjnych w Wielkiej Brytanii, poświęconych poszukiwaniom dwóch podejrzanych w sprawie zaginięcia w Londynie przed rokiem nastoletniej Anny Ballard...

Prezenterka łączy się z reporterką, która potwierdza, że znajduje się zaraz za policyjnym kordonem.

– Czemu jej nie pokażą? Tej reporterki? – Zerkam na Luke'a.

– Pewnie nie mają tam jeszcze kamery. – Siedzi z pilotem w ręce na taborecie przy barze śniadaniowym.

W sposób irytujący reporterka powtarza wszystko, co przed chwilą usłyszeliśmy z ust prezenterki, ale w końcu pojawia się więcej informacji od sąsiadki, naocznego świadka...

– Jakąś godzinę temu usłyszeliśmy strzały i początkowo myśleliśmy, że to atak terrorystyczny. Przerażeni położyliśmy się na podłodze.

– Skąd dokładnie słyhać było strzały i co się wydarzyło później? – Ekran podzielony jest teraz na dwie części; na jednej widać prezenterkę w Londynie, zadającą pytania, a na drugiej mapę z lokalizacją bloku pod Marbellą. Jestem strasznie sfrustrowana, tak bardzo chcę zobaczyć nagranie z miejsca zdarzeń.

– Te strzały brzmiały tak, jakby oddano je gdzieś nad nami. Może na drugim piętrze, nie wiem. Długo leżeliśmy na podłodze, ja i mój przyjaciel. Mieliśmy wrażenie, że minęło kilka godzin, ale tak naprawdę tylko dziesięć, może piętnaście minut. Blok otoczyła policja. Wezwano nas do okna i powiedziano, że mieszkańcy

muszą opuścić swoje mieszkania. Osłaniali nas, kiedy przechodziliśmy w bezpieczne miejsce. Właśnie tutaj.

– Czy inni ludzie nadal znajdują się w bloku?

– Tak, wiele osób. Myślę, że policja ewakuowała tylko kilkoro mieszkańców. Pewnie to zbyt niebezpieczne. Widziałam, jak dwie osoby wybiegają z budynku, ale według mnie to szaleńcy. Przecież człowiek, który strzelał, widział ich z okna. Gdyby chciał, mógłby ich z marszu zastrzelić.

– A czy policja mówiła wam coś o tym, co się tam teraz dzieje?

– Nie, nic. Tylko tyle, żeby nie przekraczać policyjnej taśmy i że powiedzą nam, kiedy będzie można wrócić do mieszkania.

– A co widać z miejsca, w którym się pani teraz znajduje?

– Całe mnóstwo policjantów, niektórzy mają strzelby, nie tylko pistolety. Zjeżdżają się wozy transmisyjne z dziennikarzami. Myślę, że na początku wszyscy sądzili, że to atak terrorystyczny. Co innego można pomyśleć w dzisiejszych czasach?

– Docierają do nas informacje, na razie niepotwierdzone przez policję, że w całej tej operacji chodzi o niejakiego Karla Prestona, poszukiwanego w związku ze śledztwem w sprawie zaginięcia nastolatki z Kornwalii, Anny Ballard. Słyszała pani coś o tym?

– Tak. W tej chwili wszyscy na ulicy o tym mówią. Podobno jeden z mieszkańców bloku rozpoznał go z telewizji. Ale jeśli to ten facet, o którym myślę, znamy go tutaj jako Marka. I ma zupełnie inne włosy. Znacznie jaśniejsze.

– Widziała pani oficjalne zdjęcia policyjne, przedstawiające Karla Prestona?

– Mam je teraz w telefonie i wygląda na to, że to rzeczywiście on. To znaczy z twarzy. Jak już mówiłam, my go tu znamy jako Marka. Chyba jest budowlańcem i pracuje na jednym z tych nowych osiedli.

– Zna go pani osobiście? Co nam pani może o nim powiedzieć?

– Niewiele. Jest raczej skryty. Chyba mieszka z jakąś kobietą. Trochę młodszą. Blondynką... Tak. Mijałam ją parę razy na schodach, ale nigdy z nią nie rozmawiałam.

Czuję ściskanie w żołądku. Luke patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Chyba nie myślisz, że to może być Anna?

– Nie mam pojęcia.

– Ale czemu nie uciekła? Jeśli to rzeczywiście Anna, a on ją przetrzymywał, to przecież by uciekła, prawda? Kiedy był w pracy.

Serce wali mi w klatce piersiowej, w opuszkach palców, w szyi, jakby krew nagle zbyt szybko płynęła przez moje ciało, i w tym momencie dociera do mnie, że zawsze zakładałam najgorsze: że Anna została zamordowana. Niełatwo jest mi przetworzyć tę nową i niespodziewaną możliwość, że dziewczyna jednak żyje.

- Muszę usiąść.
- Myślę, że powinniśmy zadzwonić do taty i kazać mu wrócić do domu.
- Ale on jest taki zajęty...

Luke wyjmuje z kieszeni telefon i przewija listę kontaktów.

- Potrzebujesz taty. Musi przyjechać.

A potem przykłada telefon do ucha, a kiedy czeka, aż Tony odbierze, wyraz jego twarzy nagle ulega zmianie.

- Jezu. Może ona z nim po prostu uciekła. Z tym Karlem.

– Co takiego? – W ogóle mi to nie przyszło do głowy. Ściągam brwi, nie widząc w tym wszystkim sensu. To dla mnie za dużo. Fragmenty układanki nie chcą do siebie pasować.

– Mamo, może ona wcale nie zaginęła. Może niepotrzebnie tak się zadreczałaś przez ten rok. Może ta dziewczyna nienawidziła swojego życia w Kornwalii i najzwyczajniej w świecie dała drapaka.

Henry siedzi z tyłu radiowozu i wygląda przez szybę. Przystanek. Pomnik ofiar wojny, pod którym dostrzega bukiet białych kwiatów. Czyżby jakaś rocznica? Nie potrafi sobie przypomnieć.

Następnie obserwuje kobietę w czarnym płaszczu przeciwdeszczowym pchającą jeden z tych nedorzecznych wózków na zakupy – w zielono-niebieską kratkę, z chwiejącym się kółkiem, przez co znosi go w prawą stronę. Co jakiś czas kobieta musi skręcić w lewo, żeby to wyrównać. Według Henry’ego łatwiej by jej było nieść torby.

Jadący z przodu na fotelu dla pasażera komisarz rozmawia przez telefon. Wkurzające jest słuchanie tylko jednej strony dialogu. Dzieje się coś istotnego, ale Henry jak na razie nie ma pojęcia co. Czemu tak nagle go wypuścili?

– Możecie mi powiedzieć, co się, u licha, dzieje?

Wreszcie komisarz kończy rozmowę i odwraca się tak, że Henry widzi jego profil.

– W tej chwili nie możemy powiedzieć zbyt wiele, panie Ballard, ale w Hiszpanii trwa właśnie policyjna operacja mająca związek ze śledztwem dotyczącym zaginięcia pańskiej córki.

– W Hiszpanii? Dlaczego w Hiszpanii? Nie rozumiem.

– Okej, liczyliśmy na blokadę medialną, ale pojawiły się nowe okoliczności...

– Jakie okoliczności? – „Jezu Chryste”.

– Świadek zidentyfikował Karla Prestona jako osobę, która mieszka i pracuje w Hiszpanii, i używa fałszywej tożsamości. Świadek ten widział w telewizji powtórkę rocznicowego apelu. Miejscowa policja przystąpiła do działania z zamiarem aresztowania mężczyzny w naszym imieniu. Plan był taki, że pojedzie tam ktoś z naszego zespołu. Kontakty z zagraniczną policją są nieco skomplikowane. Istnieją specjalne protokoły dla takich sytuacji. Musimy postępować bardzo ostrożnie.

– Co się konkretnie stało? Co on mówi o Annie?

– Jak już mówiłem, pojawiły się nowe okoliczności. Podejrzany stawia opór, uniemożliwiając aresztowanie. Sytuacja jest dynamiczna.

– Sytuacja jest dynamiczna? A co to niby znaczy?

– Akcję relacjonują kanały informacyjne, panie Ballard. Z pańską żoną jest teraz Cathy. Kiedy odwieziemy pana do domu, sam pan się będzie mógł zapoznać z najnowszymi wiadomościami. Jeśli mam być szczery, dziennikarze wiedzą pewnie tyle samo co ja, a może nawet więcej.

- Ale co z Anną? Ktoś coś mówi o Annie?
- Przykro mi, panie Ballard. Nic więcej nie wiem.

Kiedy Henry w końcu dociera do domu, na podjeździe widzi czarny, nieco zdezelowany samochód. Należy do Tima albo Paula, nie pamięta. Zalewa go fala irytacji. Wystarczy, że jest tutaj funkcjonariuszka odpowiedzialna za kontakty z rodziną. Cathy to miła kobieta, ale Henry nigdy nie zapomina, że jest policjantką. Barbara z kolei niepotrzebnie się z nią spoufala.

Cały się spina, kiedy mijają stodołę. Przypomina mu się scena, gdy go stamtąd wyprowadzano. Zastaje Jenny całą we łzach. I Bóg jeden wie, jak się zachowa teraz Barbara. „Co, do diaska, jest prawdą, Henry? Gdzie byłeś tamtej nocy?”

Ale najwięcej miejsca w jego głowie zabierają te wszystkie dezorientujące nowe możliwości. Hiszpania?

Kiedy stoi przed drzwiami dłużej, dociera do niego, że komisarz oczekuje od niego użycia klucza. Po wypuszczeniu z aresztu zwrócono mu wszystkie należące do niego rzeczy. Henry grzebie w kieszeni i w końcu wyjmuje klucz. Wydaje mu się to dziwnie oficjalne. Drzwi wejściowe rzadko są zamykane, a sam najczęściej korzysta z bocznego wejścia przez pomieszczenie na buty.

Wchodzą do przedpokoju, a komisarz wyjaśnia, że zamieni kilka słów z Cathy, po czym odjedzie, Henry natomiast ma obowiązek przebywać w domu, a w razie jakiegokolwiek wyjazdu koniecznie musi powiadomić policję. Wszystkie nowe informacje będą przekazywane przez Cathy.

– Zrozumiano? Niewykluczone, że niedługo znowu będziemy musieli z panem porozmawiać.

Henry wzrusza ramionami, następnie obaj wchodzą do salonu, z którego słychać telewizor i głosy rozmowy. Wszyscy odwracają się w ich stronę.

Na jednej z sof siedzi Jenny, a obok niej Tim. Ręką zasłania usta i jest bardzo blada.

Barbara zajmuje fotel najbliżej telewizora; obie ręce trzyma na wysokości ust, splecione niemal jak do modlitwy. Cathy siedzi na stołku obok niej i rękę trzyma na jej plecach.

Na ekranie telewizora widać, jak dziennikarz stoi przed czymś, co wygląda na policyjny kordon na końcu wąskiej ulicy. Intensywnie niebieskie niebo...

– Udało nam się uzyskać potwierdzenie od policji, że mężczyzna odpowiedzialny za całe zajście to najprawdopodobniej Karl Preston, poszukiwany w związku ze sprawą zaginięcia nastolatki Anny Ballard...

– Co się dzieje? – Henry patrzy na Barbarę, ale ona nie odrywa wzroku od telewizora.

– Cicho, tato. Musimy słuchać – odzywa się Jenny.

Dziennikarz kontynuuje:

– Mężczyzna mieszka na drugim piętrze. Dziś rano, kiedy zjawiała się policja, aby go aresztować, rozległy się strzały. Niektórym mieszkańcom udało się opuścić blok, ale wielu pozostało w swoich mieszkaniach. Policja otoczyła kordonem okolicę bloku i wszystkim zaleca pozostanie w mieszkaniach i niepodchodzenie do okien, dopóki wszystko się nie uspokoi...

– Co za obciach – odzywa się wreszcie Henry. – Najpierw pozwalacie mu czmychnąć z kraju, a teraz nie potraficie go nawet aresztować, nie robiąc z tego cyrku. Jezu Chryste.

– Cicho, tato. Tim, zrób głośniej. Mówili coś jeszcze. Ta kobieta, która uważa, że widziała Annę...

– Widziała Annę? Ktoś widział Annę? – Henry’emu serce podchodzi do gardła, niemal go dusząc.

– Och, na litość boską, bądź cicho, żebyśmy mogli słuchać. Daj mi pilota. – Jenny bierze go od Tima i zmienia kanały. Ta sama scena, inny dziennikarz. W międzyczasie Cathy wstaje i razem z komisarzem wychodzą do przedpokoju. Henry patrzy, jak zamykają drzwi, i jest rozdarty pomiędzy słuchaniem telewizji a próbą wychwycenia ich szeptów.

Z mocno bijącym sercem słucha relacji innej dziennikarki...

– Jest ze mną jedna z sąsiadek, która została ewakuowana przez policję, Amanda Jennings. Dziękuję, że zgodziła się pani z nami porozmawiać. Dobrze rozumiem, że widziała pani tego mężczyznę, posługującego się tutaj imieniem Mark, z młodszą, jasnowłosą kobietą?

– Tak, zgadza się. Mieszkają tutaj mniej więcej od sześciu miesięcy. On pracuje na budowie. Rzadko ją widywałam. Można powiedzieć, że ukrywa twarz i trzyma się na uboczu.

– A widziała pani zdjęcia Anny Ballard? Myśli pani, że ta kobieta to może być ona?

Dziennikarka pokazuje świadkowi swój telefon, na którego wyświetlaczu zapewne widnieje zdjęcie Anny.

Henry wstrzymuje oddech. W pokoju panuje cisza jak makiem zasiał. Jedna sekunda. Dwie. Trzy. Świadek przygląda się uważnie wyświetlaczowi. Przechyla głowę...

– To Anna. On ma Annę... – W wysokim głosie Barbary słychać desperację. Dłonie ma zaciśnięte na oparciach fotela. – O mój Boże, on ma Annę.

Nikt się nie odzywa. Cathy i komisarz pojawili się w progu, także patrzą w ekran, słuchają.

– Trudno powiedzieć. Nie jestem pewna. – Sąsiadka kręci głową, nie odrywając wzroku od zdjęcia.

– Nie powinni tak tego relacjonować – odzywa się Cathy. – To wyjątkowo

nieodpowiedzialne. Możliwe, że on wszystko ogląda i jeszcze bardziej go to rozdrażni.

– Od nich dowiedzieliśmy się więcej niż od was – wypluwa z siebie Henry. Nagle na myśl o córce robi mu się niedobrze.

„Brzydę się tobą, tato...”

Wodzi wzrokiem od twarzy do twarzy, kiedy dziennikarka oddaje głos do studia, obiecując rychłą aktualizację.

– A teraz pozostałe wiadomości...

„Dobrze, po kolei”. Najpierw Barbara – wpatruje się w żonę, ale ona nie patrzy na niego. Wie o romansie? Cathy jej powiedziała? Potem Jenny, córka cicho płacze. Obejmuje ją Tim.

Henry nagle ma wrażenie, że znalazł się w bańce, nie słyszy dobrze tego, co się dzieje wokół niego. Myśli o tym, jak wielką miał pewność aż do teraz, że jego córka nie żyje. Na początku było to straszne i zbyt bolesne, ale paradoksalnie przynosiło także ulgę. Ulgę z powodu tego, że bez względu na to, co za potworność jej się przytrafiła, dobiegła końca. To, co ktoś jej zrobił, należy już do przeszłości. Dziwne, ale właśnie ta pewność w końcu zapewniła mu pociechę, zbyt nieznośna była myśl, że koszmar jego córki mógł się jeszcze nie zakończyć.

Patrzy teraz na drugą córkę, siedzi obok Tima. Po raz kolejny cofa się myślami do czasów, kiedy jako dzieci bawili się w ogrodowym basenie. Szczęśliwych czasów. A kiedy ci dwaj chłopcy dorośli, zmyli się, zamiast jechać do Londynu i opiekować się dziewczętami. Może Anna nie zaginęłaby, gdyby ci dwaj, Tim i Paul, pojechali...

– Tim, myślę, że najlepiej będzie, jak pojedziesz do domu.

Przez chwilę chłopak patrzy na niego z konsternacją, ale potem wstaje i przeczesuje palcami włosy.

– Nie. Siadaj, Tim. Chcę, żeby tu był. Zaprosiłam go. – Jenny piorunuje ojca wzrokiem, a jemu nie podoba się, co widzi na jej twarzy: niemal pogardę.

– To nie jest Apollo 13! – Henry przekonuje się ze zdumieniem, że te słowa wydobywają się z jego gardła jako ryk.

– Nie żartuj sobie – warczy Barbara. – Jak w takiej chwili możesz żartować?

– Nie powiedziałem tego jako żart. Mówię poważnie. To jest chore. Jak *Peep Show*. Nasza córka. Wszyscy patrzą...

Tim nadal stoi i patrzy na Henry’ego, który odwraca się teraz do Cathy.

– Jak policja mogła dopuścić do czegoś takiego? Jak *reality show*. To odrażające. – Wtedy głos mu się łamie i Henry nagle zalewa się łzami.

Myśli o tym, że jeśli Anna nadal żyje, to Bóg jeden wie, co się działo przez ten miniony rok. Potworne obrazy pojawiają mu się w głowie – tak mroczne i straszne, że uderza się dłonią w głowę, jakby mógł je w ten sposób odgonić. Jego mała

dziewczynka...

– Chodźmy do kuchni. Zrobię słodką herbatę. To szok. – Głos Cathy brzmi irytująco spokojnie.

– Nie chcę herbaty. Chcę, żeby wszyscy sobie poszli. Ty, Tim. To nie twoja sprawa. Nie chcę cię tutaj. Ani ciebie. – Patrzy na Cathy.

– Cathy musi tutaj zastać, Henry. – Barbarze drży głos. – I wyraziłam zgodę na przyście Tima. Tego chce Jenny. Świat nie obraca się wokół ciebie.

– Cóż, może gdyby Tim nie wybrał się z kolegami na jakąś wycieczkę, to nie musielibyśmy tu teraz być.

Tim łapie głośno powietrze, Jenny także, ale Henry ma to gdzieś. Taka jest prawda. Kiedy wyraził zgodę na wyjazd do Londynu, sądził, że Tim i Paul udadzą się tam razem z dziewczętami. Właśnie zdali maturę. Silni, porządni chłopcy wybierający się na studia. Barbara niechętnym okiem patrzyła na tę wycieczkę – chciała, żeby dziewczęta pojechały gdzieś bliżej, ale Henry ufał chłopcom. A kiedy obaj wykręcili się z wyjazdu, było już za późno na protesty. Anna go błagała, żeby przekonał matkę. Prawda? Karl i Antony w życiu nie namierzyliby Anny i Sarah, gdyby te nie podróżowały pociągiem same. Henry źle to wszystko rozegrał...

– Przepraszam, panie Ballard.

– To nie twoja wina, Tim. Nie słuchaj go. – Jenny ponownie przeskakuje po kanałach. Zerka na rodziców. – Przestańcie się w końcu kłócić. Mam tego dosyć. Możliwe, że Anna jest tam w tej chwili. W tamtym mieszkaniu w Hiszpanii, potwornie przerażona, a wy na siebie pokrzykujecie.

Barbara wstaje, po czym siada obok Jenny, żeby ją pocieszyć. Gładzi jej włosy i podnosi na Henry'ego błagalny wzrok.

– Pewnie lepiej, żebym sobie poszedł, Jenny. – Tim wyjmując z kieszeni kluczyki do samochodu.

– Nie, Tim. – Barbara dotyka jego ramienia. – Jenny chce, żebyś został.

– Nie. Przepraszam, pan Ballard ma rację. – Timowi drży głos. Patrzy na Henry'ego. – Powinienem tam być. Dlatego wkurzyłem się wtedy na Sarah. Próbowałem zrzucić winę na nią.

– O mój Boże... Sarah. – Jenny wyjmując z kieszeni telefon, a drugą ręką zmienia kanały, desperacko wyczekując nowych informacji. – Ktoś kontaktował się z Sarah? To przecież znowu może doprowadzić ją do ostateczności.

Kiedy Sarah była mała, ogromnie bała się ciemności. Obejrzała kiedyś film, w którym włamywacz ukrył się pod łóżkiem. Potem błagała mamę, aby wymieniła jej trzeszczącą metalową ramę na wersalkę bez wolnej przestrzeni pod spodem. Ale nigdy tego nie zrobiono i mała Sarah co wieczór zaglądała pod nie, aby sprawdzić, czy nikt się tam nie schował.

Wtedy dzieliła jeszcze pokój z Lily i często budziła się w środku nocy przerażona jakimś złym snem. Sarah miała tendencję do przekształcania każdej przerażającej sceny z filmu w wyrazisty sen, w którym rolę ofiary grała właśnie ona. Choć wiedziała, że to się nie dzieje naprawdę, i tak się bała. Za to Lily nie potrafiła zasnąć przy zapalonym świetle, więc sytuacja zawieszala się w pozycji patowej. Sarah szeptała w ciemnościach, błagając o zapalenie lampki. Kiedy słyszała burkliwą odmowę, pytała siostrę, czy może przyjść do jej łóżka. „Proszę, Lily”. Ale nawet kiedy zasnęła Lily w końcu jej ulegała, Sarah i tak za bardzo się bała postawić po ciemku nogę na podłodze, bo sądziła, że spod łóżka może wystrzelić jakaś ręka.

– Pamiętasz, jak w nocy stawiałaś krzesło między naszymi łóżkami, żebym mogła przejść do ciebie, nie dotykając podłogi, kiedy przyśnił mi się zły sen? – Sarah patrzy na siostrę, która teraz jest starsza, o wiele chudsza i bardziej krucha. Ma wrażenie, jakby role się odwróciły, to ona powinna być tą silniejszą...

– Aha. Byłaś strasznie upierdliwa. – Lily wygląda spódnice i się uśmiecha.

– To było, zanim zaczęły się te złe rzeczy?

– Tak. Tamto zaczęło się, kiedy dostałam własny pokój. – Lily odwraca wzrok i przez chwilę siedzą w milczeniu.

Sarah myśli o tym potwornym paradoksie: jak bardzo się cieszyła, że po przeprowadzce ma pokój tylko dla siebie i może spać przy zapalanej lampce, a jak wielkie czuje teraz przerażenie, kiedy wie, jakie to miało konsekwencje dla Lily.

Patrzy na siostrę i myśli o ich ojcu...

Leżący na stole telefon Sarah wibruje. Martwi się, że to wiadomość od policji.

– Pewnie znowu mama. Zignoruj to, Sarah.

Ale wibruje raz jeszcze. I po raz trzeci... i czwarty.

Sarah bierze do ręki komórkę z zamiarem wyłączenia jej, ale okazuje się, że nadawcą tych wiadomości nie jest ich matka. Każda jest od kogoś innego.

„Włącz telewizor...”

„Widziałaś wiadomości...”

„Wszystko w porządku?...”

„O mój Boże! Zadzwoń do mnie...”

– Musimy włączyć wiadomości.

– Dlaczego?

– Nie wiem. – Gdy Sarah czeka, aż Lily weźmie pilot z półeczki pod ławą, w głowie pojawia jej się myśl, że może ich matka poszła na całość. Że przekonała policję, iż Sarah rzeczywiście zaginęła, i teraz wystosowano coś w rodzaju apelu? Ale kiedy Lily znajduje kanał informacyjny, to nie zdjęcie Sarah pojawia się na ekranie telewizora.

Anna. To znowu ona. Zdjęcie z jej Facebooka, na którym stoi na tle Wzgórza Świętego Michała, a wiatr rozwiewa jej piękne, jasne włosy.

– Policja potwierdziła, że uzbrojony mężczyzna w jednym z mieszkań to osoba poszukiwana w związku z zaginięciem przed rokiem nastolatki Anny Ballard – mówi właśnie dziennikarz.

– Dobry Boże, co się dzieje? – Lily nachyla się w stronę telewizora.

– Trochę mi niedobrze. – Sarah czuje w ustach smak kawy, w tej chwili nieprzyjemny, a także żółć.

– Dać ci coś? Miskę?

Za mało czasu. Sarah rozgląda się i z boku sofy dostrzega kosz na śmieci. Chwyta go w samą porę i w tym momencie targają nią mdłości. Raz. Dwa razy. To nie prawdziwe wymioty, a jedynie płyn. Raz za razem.

– Przyniosę wodę. – Lily wychodzi, najpewniej do kuchni.

Sarah trzyma kosz na kolanach i wstrzymuje oddech, zastanawiając się, czy powiedzą, że znaleziono ciało Anny. Że rzeczywiście nie żyje...

Ale nie. Jest świadek, kobieta, która twierdzi, że widziała młodą, jasnowłosą kobietę. To bez sensu. Nie potwierdzają, że to Anna, jedynie sugerują.

Sarah zmienia kanały i na każdym pojawia się nieco inna wersja wydarzeń. Jeden świadek jest pewny, że słyszał pięć strzałów. Inny mówi o dwóch. Na pasku przewija się informacja, że nie potwierdzono żadnych ofiar śmiertelnych, ale teren wokół bloku pozostaje zabezpieczony.

Sarah ponownie bierze do ręki telefon, aby odczytać wiadomości, może któryś z jej znajomych ma więcej informacji. Facebook szaleje. Twitter także.

Wybiera w telefonie numer Jenny – Ballardowie na pewno wiedzą najwięcej – ale jej palec waha się nad ikonką zielonej słuchawki. Zmienia zdanie i wraca do przeglądania Facebooka.

Do pomieszczenia wchodzi Lily z wodą z lodem.

– Wypij.

Pije ją powoli, ale w ustach nadal czuje żółć. Ma także wrażenie, jakby istniał swego rodzaju dystans między nią a otaczającym ją światem. Trudno to wyjaśnić. Rozłączenie. I trochę kręci jej się w głowie. Może to przez wymioty.

– Mam wezwać lekarza, Sarah? Okropnie wyglądasz. Co powiedzieli w szpitalu? Chyba powinnam zadzwonić do mamy...

– Nie, Lily. Mówili, że wszystko już w porządku. Z wątrobą. Jestem jeszcze trochę słaba po tym leżeniu w łóżku.

– Kiedy po raz ostatni coś jadłaś?

– Nie jestem głodna.

– Okej. W takim razie zrobię ci coś ciepłego do picia... tym razem z cukrem. – Lily znowu wstaje.

– Na razie nie. Proszę, nie zostawiaj mnie samej. – Sarah jest zaskoczona błagalnym tonem swego głosu. Strachem.

Lily musi to wyczuwać, bo przechyla głowę, siada obok Sarah i bierze ją za rękę. Ma to być gest pociechy, ale Sarah czuje, jak ręka jej siostry drży.

– Och, Sarah. Naprawdę zamierzałaś zrobić sobie krzywdę tymi wszystkimi tabletkami? Mama mówiła, że to był wypadek. Że wzięłaś za dużo pigułek z powodu migreny.

– Nie wiem. Ty się kiedyś cięłaś, prawda? Robiłaś to z premedytacją?

Lily trzęsie się także dolna warga. Zaciska mocno dłoń na ręce Sarah i odwraca się w stronę telewizora.

– Co mówią? Znaleźli ją? Więc nie miało to nic wspólnego z tatą? To rzeczywiście sprawka jednego z tych mężczyzn z pociągu?

Sarah patrzy na ekran telewizora i nie wie, jakiej udzielić odpowiedzi. Pojawia się zdjęcie Karla i prezenterka mówi, że to on jest uzbrojonym mężczyzną z mieszkania. Dziewczyna nie wie, co myśleć. Po chwili znowu widać dziennikarkę stojącą przed policyjną taśmą w Hiszpanii. Powtarza wszystko raz jeszcze. Czemu tak robią? Mówią to samo raz za razem.

Prawda jest taka, że wcale to niczego nie zmienia na lepsze. Sarah chce wierzyć, że Anna żyje, oczywiście, że chce. Ale co się w takim razie działo przez ostatni rok? I jeśli rzeczywiście ją uprowadzili – Karl i Antony – i jeśli nie ma to absolutnie nic wspólnego z ich ojcem, w takim razie cała wina spada na Sarah. Będzie w końcu musiała powiedzieć prawdę o Londynie.

Wraca myślami do ich czworga w tamtym pociągu. Do flirtowania. Zerkania na Antony'ego. Pamięta, że na karku miał mały tatuaż. Tak bardzo chciała dotknąć go paznokciem.

Pamięta, jak bardzo była wtedy ożywiona. Kiedy Karl i Antony poszli do bufetu po coś do picia, powiedziała Annie, że się cieszy, iż Tim i Paul zrezygnowali z wyjazdu. Wiedziała, że w ich obecności Karl i Antony na pewno by do nich nie zagadali. Ale przede wszystkim pamięta rozpaczliwe pragnienie, aby Antony'emu spodobała się ona, a nie Anna. Ponownie myśli o tym, jaką zazdrość czuła, kiedy oglądała Annę w szkolnym musicalu. Wszyscy się zachwycali jej urodą. O tym, że

w czasie, kiedy Sarah podobał się Paul, on nieustannie gapił się na Annę, nie na nią. Wyglądało na to, że wtedy wszystkim podobała się Anna.

Czuje teraz, jak po jej policzku spływa łza, i ponownie myśli o tym, co tamtego dnia zrobiła w pociągu. Aby dopilnować, by to ją wolał Antony.

– Będę miała kłopoty, Lily. – Nawet nie wyciera łez; patrzy, jak spodnie zmieniają kolor na ciemniejszy w miejscach, gdzie skapnęły duże krople. – Nie jestem dobrym człowiekiem.

– Nie mów tak, Sarah. To nie twoja wina.

– Ależ tak, Lily. Uwierz mi, że tak.

Matthew wpatruje się w córeczkę.

– Uśmiecha się do mnie.

– No co ty. Robi kupę.

– Popatrz. – Uchyła się, żeby Sal miała lepszy widok. – To uśmiech.

– Kupa. Uwierz mi. Niemowlęta przez kilka pierwszych tygodni się nie uśmiechają. To jak, chcesz zmienić po raz pierwszy pieluszkę?

– O Boże. Nie wiem. – Matthew jest zaskoczony nagłym uczuciem strachu. Zawsze się zarzekał, że będzie pomagał, będzie nowoczesnym tatą, ale nie miał pojęcia, że dziecko okaże się takie maleńkie.

– W końcu i tak będziesz się musiał nauczyć. Poczekamy, aż zacznie płakać, a potem do roboty.

– Skąd wiesz, że będzie płakać?

Żona patrzy na niego takim wzrokiem, jakby wcześniej w ogóle jej nie słuchał. Kiedy rzeczywiście pojawia się płacz, dla Matthew jest to szokujące, bo nie mieści mu się w głowie, jak takie maleństwo może wydawać tak głośne dźwięki.

Widzi ból na twarzy żony, gdy wstaje z łóżka, żeby mu pomóc.

– Nadal boli?

– Aha. Zmniejszyli mi dawkę środków przeciwbólowych. Psiakość.

– Poproś o więcej.

– Dam sobie radę. Muszę. No dobrze, tatuśku. Najpierw wszystko sobie przygotuj. – Sally wskazuje rzeczy ułożone obok przewijaka: – Czystą pieluchę, chusteczki, maść, woreczek na brudną pieluchę. – Recytuje to, jakby brała udział w operacji wojskowej. – Ona będzie płakać aż do samego końca, więc się nie martw, że robisz jej krzywdę. Bo nie robisz.

Matthew kładzie córeczkę na plastikowym przewijaku, zdążył już zapomnieć kolejność poszczególnych czynności. Z paniką rozpina śpioszki.

– Podciągnij je do góry, inaczej je także będziesz musiał zmienić.

No tak. Uwaga na śmierdzącą pieluchę.

– O mój Boże. To normalny kolor? – Strasznie śmierdzi.

– Na razie tak. Wczoraj było gorzej. Kupa z czasem zmienia kolor.

Matthew jest przerażony. Zielona kupa. „To chyba nie może być normalne?”

– Szybko. Chusteczki. Unieś jej nóżki i staraj się nie przemywać blisko cipki, inaczej może się nabawić infekcji.

„Cipka. Dobry Boże. Tak wiele trzeba mieć na uwadze”. Matthew żałuje, że nie uważał bardziej na zajęciach w szkole rodzenia.

– Mam za mało rąk.

Sal przewraca oczami i pokazuje mu, jak unieść obie nóżki ich córki jedną ręką, a drugą pozbyć się brudnej pieluchy i włożyć na miejsce czystą. Z jakiegoś powodu przychodzi mu do głowy kurczak. Odsuwa od siebie tę myśl.

– Mów do niej.

– Według mnie nie ma to sensu. – Mała tak głośno zawodzi, że Matthew ledwie słyszy własny głos.

Sally się śmieje.

– Okej. Trochę zasyпки i trochę maści, właśnie tutaj, żeby nie miała odparzeń.

I wtedy dzieje się cud. W końcu ich córeczka przestaje płakać i zaciska rączkę na palcu Sal. Odwraca wzrok, jakby szukała matki. Matthew się przygląda. Czeka. Ta chwila okazuje się tak bardzo magiczna. Obserwowanie, jak twarz ich dziecka łagodnieje. Matthew zalewa falą niedowierzania i bezbrzeżnej miłości do nich obu. Przenosi wzrok z jednej na drugą i po raz kolejny przychodzi mu do głowy jego praca. Ta matka, której porwano dziecko. Myśli o Elli. O zaginionej Annie. Jej rodzicach w Kornwalii. Nowe spojrzenie na sprawę, na świat.

– Dobrze się czujesz, Matthew?

– Tak. Tak. Jasne.

Pomaga Sal podnieść maleństwo i przenieść je z powrotem do łóżeczka.

– Z czasem będzie łatwiej.

– Naprawdę?

– Aha. Podobno dzieje się tak, kiedy dzieci wyprowadzają się z domu.

Śmieje się. Ona także.

– Teraz mała trochę pośpi. – Sal ostrożnie kładzie się do łóżka. – No dobrze, włącz w takim razie telewizor. Sprawdź, jak tam twoja sprawa.

– Nie trzeba. Sprawdzam to przez telefon.

Opowiedział Sally o dramacie w Hiszpanii, ale nie chce, żeby nie stało się to tematem przewodnim ich rozmów.

– Wszyscy o tym mówią. Nawet pielęgniarki.

– Naprawdę?

– Oczywiście. Nic im nie mówiłam. No wiesz, o tym, czym się zajmujesz, że jesteś w to jakoś zaangażowany. Śmiało, włączaj. Nie przeszkadza mi to. Serio.

Matthew bierze do ręki pilot i najpierw włącza BBC, a potem Sky. Esmes od Melanie potwierdził, że na miejscu zdarzenia jest już zespół negocjatorów. Od Cathy dowiedziała się, że potwierdzono tożsamość Karla, choć ta informacja nie została jeszcze ujawniona mediom. Karl twierdzi, że ma zakładniczkę. Mówi, że to Anna. Tego także nie ujawniono publicznie, mimo że świadkowie udzielają wywiadów na prawo i lewo. Policja nie jest w stanie nad tym zapanować.

– Wygląda na to, że sytuacja wymknęła się spod kontroli.

- Aha. Nie chciałbym się znaleźć na odprawie, kiedy to się skończy.
- Pamiętasz, jak się zastanawiałeś, czy nie pójść na studia psychologiczne?

Przeszkolić się na negocjatora?

Matthew uśmiecha się blado. Tak było na początku, kiedy bardzo żałował odejścia ze służby i kombinował, czy istnieje jakaś droga powrotna. Kolejna rola. Odbył nawet krótki kurs wstępny. Był zafascynowany. Ale wtedy odezwały się względy finansowe. Jak mógł pozwolić sobie na studia, skoro musiał myśleć o rozkręcaniu nowej działalności?

- Po tych atakach samobójczych wszystko tak bardzo się zmieniło.

– To znaczy? – Sal zerka w stronę łóżeczka. Na razie cisza.

– Podstawową regułą w przypadku spraw z zakładnikami było unikanie interwencji za wszelką cenę. One prawie zawsze się nie udają. Największe prawdopodobieństwo ofiar śmiertelnych.

– A teraz?

– W przypadku ataków samobójczych nie ma czego negocjować. Uczą się więc tego, że trzeba szybko wkraczać do akcji. Zupełnie nowe podejście.

– A w przypadku tego, co się teraz dzieje w Hiszpanii, będą działać według dawnego schematu? Ten Karl to chyba zwykły przestępca, nie terrorysta.

– Jasne. Z nim będą postępować w sposób książkowy.

– Jak to działa? Co się teraz stanie? – Sal patrzy na ekran telewizora.

Matthew dzieli się z nią swoją wiedzą w tym zakresie. Wyjaśnia, że najprawdopodobniej spróbują skorzystać z telefonu stacjonarnego. Na początku oddelegują jednego negocjatora. Bardzo się będą starać, aby między nim a Karlem stworzyć coś w rodzaju więzi.

– Cel to uspokojenie wszystkiego, zwłaszcza w sytuacji, kiedy on chętnie pociąga za spust. Raczej nie będą poruszać tematu Anny.

– Dlaczego?

– Zaleca się, aby skupiać się na porywaczu, a nie zakładniku. Wzbudzić zaufanie. Zbyt częste wzmianki o zakładniku czy zakładnikach zwiększają poziom stresu. Choć w tym akurat przypadku policja może poprosić o jakiś dowód na to, że jest bezpieczna, skoro słyszeli strzały.

– Nadal tego nie rozumiem. Jak to możliwe, że przez rok była jego zakładniczką i nie uciekła? Dziwne. Nie mówili, że ten mężczyzna pracuje na budowie? Nie wykorzystałaby jego nieobecności?

To nie czas i miejsce na dzielenie się tym, co Matthew naprawdę myśli. Że może ten Karl ją wiąże. Grozi jej. Przy ekstremalnym znęcaniu się psychika ofiar szybko ulega wypaczeniu.

– Jest coś takiego jak syndrom sztokholmski, kiedy z powodu przeżytej traumy ofiara zaczyna czuć więź ze swoim oprawcą. – Matthew patrzy na żonę.

– Czytałam o tym, Matt, ale i tak nie rozumiem. Ja bym na pewno próbowała uciec. Jestem tego stuprocentowo pewna.

– Wystarczy. – Wyłącza telewizor, nie chcąc angażować w to wszystko żony i córki.

– Masz ochotę na kawę albo coś z automatu?

– Cappuccino. Och, i czekoladę. Niedobrą, słodką, mleczną czekoladę. Dużą tabliczkę. – Uśmiecha się, a Matthew ma wyrzuty sumienia, bo tak naprawdę to tylko pretekst, żeby wyjść i zadzwonić do Elli i Mel. – I nie rozmawiaj zbyt długo przez telefon. Tę kawę masz mi przynieść ciepłą.

– Rozgryzaś mnie.

Sal posyła mu całusa, a on się zastanawia, czym sobie zasłużył na tyle szczęścia. Żona zawsze rozumiała, jak wiele znaczy dla niego praca, zwłaszcza po tym, co się stało – dlaczego odszedł z policji. Dopiero teraz rozumie, z jakiego powodu tylu policjantów ma tak wielki problem z osiągnięciem równowagi na linii praca – dom. I dociera do niego także, że miał rację – już nigdy nie uda mu się zrobić tego kursu z psychologii. Myśli o maleństwie w różowych śpioszkach, które choć oczka ma zaspane, to i tak szuka wzrokiem matki.

Wszystko się zmieniło. Życie nagle ma inne priorytety. Tak, zupełnie inne postrzeganie świata.

Cieszę się, że Tony wraca do domu. Luke miał rację. Potrzebuję go.

Problem w tym, że w głowie mam istne kłębowisko myśli. Zastanawiam się, co jest prawdą, a co paranoją. Jest tak, jakby miniony rok tak mi się dał we znaki, że nie jestem teraz w stanie jasno myśleć.

Tak bardzo zżera mnie stres, że wyobrażam sobie różne rzeczy. Odgłosy w kwiaciarni. Pewność, że ktoś mnie obserwuje. Że ktoś rzeczywiście wszedł i przełożył sekator. Upuścił przed drzwiami lupkę. Wyobraziłam sobie to wszystko?

Nie chcę wierzyć, że Luke jest zdolny do czegoś takiego, że chce mnie wystraszyć, nawet jeśli rzeczywiście czuł się przez ostatni rok zaniedbywany. To niemożliwe. Więc co się dzieje?

Siedzę wygodnie w salonie i oglądam relację z Hiszpanii na dużym ekranie telewizora. Nie. Wygoda to niewłaściwe określenie. Nigdzie nie jest mi już wygodnie. Nawet nocą w łóżku leżę w bezruchu, godzinami nie mogąc zasnąć.

Wzięłam dzisiaj maksymalną dawkę paracetamolu, ale nie zadziałał. Głowa nadal mi pęka.

Luke jest na górze. Co jakiś czas schodzi na dół i proponuje coś do picia. Pewnie przypominają mu o tym esemesy od ojca, tak samo jak o Dniu Matki i moich urodzinach. Za każdym razem, kiedy pojawia się w drzwiach, bacznie przyglądam się jego twarzy, zastanawiając się, czy powinnam zapytać go wprost. Załatwić sprawę raz a dobrze. Powiedzieć mu, że nie będę na niego zła, ale że muszę wiedzieć. Gniewasz się na mnie bardziej, niż to okazujesz? Przytłacza cię smutek z powodu Emily? Z powodu mojego zaangażowania w tę sprawę Anny? Przyjechałeś do kwiaciarni z jakiegoś powodu, którego nie potrafię rozgryźć?

Patrzę na regał stojący obok telewizora. Na górze znajdują się moje ulubione zdjęcia. Luke jako niemowlę. Pierwszy dzień w szkole. Z medalem za pierwszy etap Ten Tors. Boże, ależ byłam wtedy z niego dumna. Szkoły organizują coś takiego corocznie w Devon i Kornwalii: zdobycie dziesięciu skalistych wzgórz. Dla tamtejszych mieszkańców to coś w rodzaju rytuału przejścia. Ja w życiu nie porwałabym się na taki wyczyn, zdziwiłam się, że Luke tak się do tego zapalił.

Lubi koszykówkę, ale generalnie nie da się go określić mianem sportowca. Nie należał też do harcerstwa. Bardziej go interesowała muzyka.

Wyzwanie Ten Tors polega na tym, że trzeba iść w góry w grupach sześcioosobowych – bez osób dorosłych – razem z całym sprzętem potrzebnym do spędzenia nocy w namiocie w parku narodowym Dartmoor. Trasy to minimum

pięćdziesiąt pięć kilometrów w ciągu dwóch dni, a teren bywa zdradliwy, kiedy pogoda się psuje, czyli bardzo często.

Nadzór nad wyprawą sprawuje wojsko, a na każdym z dziesięciu wzgórz znajdują się punkty kontrolne, gdzie uczestnicy otrzymują potwierdzenie zaliczenia kolejnego odcinka. Nie licząc tego, młode drużyny są pozostawione samym sobie, a zdarza się, że coś idzie nie tak.

Podczas jednego ze szkoleń utonęła dziewczyna. Odbiło się to szerokim echem w całym kraju. Sądziłam, może w duchu nawet miałam nadzieję, że organizatorzy odwołają Ten Tors, ale nie. Dodano jedynie bardzo surowe zasady.

Biorą w tym udział szkoły z całego południowego zachodu kraju i rywalizacja jest zawzięta. Licea kontra zawodówki. Szkoły prywatne kontra państwowe. Na wesoło, ale nie do końca. Każdy zespół liczy na zwycięstwo.

Program szkoleniowy trwa kilka miesięcy. Czytanie map. Praca nad kondycją. Nauka rozstawiania obozowiska. Uczestnicy muszą zabrać ze sobą namioty i sprzęt do gotowania, a także sterylizować sobie wodę. Mnóstwo dzieciaków odpada na tym pierwszym etapie. Ale nie Luke. On nas naprawdę zaskoczył – nie tylko wytrzymał, ale i został przywódcą grupy. A pierwsza wyprawa poszła mu tak dobrze, że zachciało mu się czegoś więcej. Dwa lata temu pokonał trasę o dystansie pięćdziesięciu pięciu kilometrów, a przed rokiem zdecydował się na siedemdziesiąt.

Więc tak, byłam dumna jak paw, kiedy zdobył swój pierwszy medal. Wokół tłoczyły się setki nastolatków, a ja pamiętam, jak przez megafon wywołano jego nazwisko i jaka satysfakcja malowała się wtedy na jego twarzy.

A teraz? Emily zakończyła ich związek i Luke czuje się okropnie. Na tym zdjęciu zrobionym w Dartmoor był zupełnie inny, szczęśliwy i beztroski.

Od wielu godzin w telewizji transmitowane są wiadomości z Hiszpanii. Główne kanały informacyjne na razie ograniczyły liczbę transmisji, jako że nie dzieje się nic nowego.

Wciąż myślę o rodzicach Anny. Co muszą teraz czuć?

No i proszę, znowu się pojawia. To ściskanie w żołądku. Bo taka jest prawda. Nie da się uciec przed faktem, że słusznie dręczyły mnie wyrzuty sumienia. Karl albo Antony, albo obaj porwali tę dziewczynę i zrobili jej Bóg jeden wie co, dlatego że ja podjęłam błędną decyzję. Dlatego że dokonałam pochopnej oceny. Dlatego że zbulwersowało mnie zachowanie Sarah.

Czuję, że drży mi dolna warga, ale besztam się w myślach. Nie, Ello. W tej sprawie nie chodzi o ciebie, ale o Annę. Chodzi o to, żebym stawiała teraz temu czoło.

Pozostaje jednak zagadka kartek. Odgłosów w kwaciarni. Kto chciał mnie ukarać? Nadawcami listów nie mogą być Karl czy Antony, skoro przez cały ten

czas przebywają za granicą. A jeśli nie jest to także pani Ballard – to kto?

W końcu słyszę odgłos klucza w drzwiach...

Czekam na kliknięcie oznajmiające zamknięcie się drzwi. Na dźwięk torby stawianej na podłodze. Przekonuję się ze zdumieniem, że jest to dla mnie niczym katalizator. Kiedy Tony zjawia się w progu salonu, już otwarcie szlocham.

– O mój Boże, Ello. Już dobrze, skarbie, jestem tutaj.

Przytula mnie mocno. Mój Tony. A ja czuję bezbrzeżną wdzięczność, ale jednocześnie mam wyrzuty sumienia, bo nadal nie jestem z nim stuprocentowo szczerą.

– No już, już, skarbie. Nie płacz.

– Już mi lepiej. Przepraszam.

– Nie przepraszaj.

A potem, kiedy w końcu biorę się w garść, wylewa się ze mnie prawda. Tym razem cała, ze wszystkimi szczegółami. Opowiadam o tym, że wynajęłam w tajemnicy Matthew, by udał się do pani Ballard, kiedy posądzałam ją o przysyłanie mi tych kartek. Opowiadam o tym, jak wbrew woli Tony’ego pojechałam do Kornwalii i ją zdenerwowałam. O tym, że mam wrażenie, iż ktoś mnie obserwuje w kwaciarni, ale nie jestem pewna, czy to nie przypadkiem zwykła paranoja.

– No dobrze. Wystarczy. Co powiesz na to, żebyśmy na jakiś czas zamknęli kwaciarnię? Zrobisz sobie przerwę. Tym zdziercom od alarmu każemy raz jeszcze wszystko sprawdzić. I posłuchaj mnie... – Tony kładzie mi ręce na ramionach i nachyla się, żebym spojrzała mu w oczy. – To jest straszne. To, co się dzieje w Hiszpanii, i Bóg jeden wie, jak się skończy. Słuchałem radia. Rodzice Anny na pewno przechodzą piekło, ale to nie ty zrobiłaś, Ello. Robi to ten szaleniec Karl. Nie ty.

Nie odpowiadam. W drzwiach staje Luke. Jest blady, przestępuje z nogi na nogę.

– Naprawdę się cieszę, że wróciłeś, tato. I przepraszam za to, że nie pojechałem z tobą do pracy, mamó.

– Proszę cię, tylko mi nie mów, że byłaś tam sama? – Tony chwyta mnie nieco mocniej za ramiona.

Przez długą chwilę wszyscy milczą.

– To tylko i wyłącznie moja wina, tato. Czuję się wykończony, nie mogę sobie znaleźć miejsca. Ale badałem już grunt na Facebooku i może uda mi się znaleźć kogoś na moje miejsce.

– Nie pisałeś chyba na Facebooku o naszych prywatnych sprawach, Luke?

– Nie. Nie. Oczywiście, że nie. Napisałem jedynie, że mam zamiary na świętą dorywczą pracę. Jeśli odpowie ktoś solidny, dam wam znać i zobaczymy, co będzie dalej.

– To dobrze, Luke. Dziękuję. Podejrzewam, że mama będzie wolała sama wybrać sobie pracownika, ale oczywiście badaj możliwości. Tylko w żadnym wypadku nie podawaj danych mamy. A na razie naprawdę nie chcę, aby przebywała tam sama o tak wczesnej porze. Przynajmniej do czasu, aż wszystko się wyjaśni.

– Ale to nie może być ten facet z pociągu, tato. To nie on przysłał kartki. Nie, jeśli przez cały czas jest w Hiszpanii.

– Może to być ten drugi. Albo jakiś przypadkowy świr. Proszę, Ello, od tej pory rób, o co cię proszę, dobrze? – Tony puszcza mnie, całuje w czoło, po czym znowu przytula.

Luke znika, aby zaparzyć więcej kawy, a ja wiem, co zaraz usłyszę od Tony’ego. Jest zbulwersowany, że wynajęłam prywatnego detektywa, nic mu o tym nie mówiąc. Bardzo się stara nie okazywać gniewu, ale dobija mnie malujące się na jego twarzy rozczarowanie.

– Sądziłam, że wszystko mi powiedziałaś.

– Przepraszam. Naprawdę myślałam, że mogę ci oszczędzić zmartwień i sama się tym zająć, Tony. Tyle masz teraz na głowie. Luke’a. Awans.

– Nieważne, co mam na głowie. Nie mogę uwierzyć, że mi o tym nie powiedziałaś. Do tego pojechałaś do Kornwalii? Mówiłem ci, że to kiepski pomysł.

– Wiem. Podejrzewałam, że się rozzłościś, a mnie nie dawało to spokoju. Próbowałam załatwić to na swój sposób. Teraz widzę, że ukrywanie tego przed tobą było głupie. Przepraszam, skarbie. Ale na początku naprawdę byłam pewna, że to pani Ballard, i nie chciałam pogarszać jej sytuacji, mówiąc o tym policji. – A potem opowiadam Tony’emu całą resztę. O tym, że Matthew kontaktuje się z policjantką w Kornwalii. Czuję ogromną ulgę, że nie muszę zachowywać już tego dla siebie, zwłaszcza że Matthew zaproponował, abyśmy się spotkali i wszystko omówili. Teraz nie będę już musiała okłamywać Tony’ego.

Mój mąż oczywiście oświadcza, że chce go poznać najszybciej, jak to możliwe. Postawić sprawę jasno.

– Co masz na myśli?

– Według mnie nie powinniśmy współpracować z nikim spoza policji.

– Okej, ale możliwe, że zmienisz zdanie, kiedy go poznasz. To porządny człowiek. Był policjant, z dużym doświadczeniem. To on nalegał, abym poszła z tymi kartkami na komisariat.

Nim Tony zdąży udzielić odpowiedzi, prezenterka w telewizji oznajmia, że wracają do Hiszpanii, bo wydarzyło się właśnie coś nowego. Oboje odwracamy się w stronę telewizora i widzimy, że dziennikarka nadal stoi za policyjnym kordonem. Rękę trzyma przy uchu, jakby miała problem z połączeniem ze studiem, a potem pojawia się zdjęcie, naprawdę szokujące. Zdjęcie jest ziarniste, jakby zrobiono je

z dużej odległości. Wysoki mężczyzna w oknie na drugim piętrze, a obok niego jasnowłosa kobieta.

I pistolet przystawiony do jej głowy.

Henry Ballard został wychowany przez rodziców, którzy uważali, że dziecko zawsze się odbije. Nie ma mowy o trzymaniu go pod kloszem. Nie ma cackania się. Żeby nauczyć dziecko pływać, najlepiej rzucić je na głęboką wodę – ulubione powiedzenie jego ojca.

To właśnie ta niezwykła wiara we wrodzoną sprężystość dzieci pozwalała, aby w wieku lat czterech Henry całkiem dosłownie odbijał się od beli z sianem na przyczepie za traktorem taty. A kiedy miał lat dwanaście, sam się nauczył prowadzić traktor.

Kiedy Henry myśli o tym teraz, dociera do niego, że miał szczęście, iż nie zainteresowała się nim opieka społeczna. Granice zdecydowanie przekroczone, a mimo to on i jego dwie siostry nie tylko się odbijali, ale wręcz fruwali. Nie licząc złamanej nogi w wieku ośmiu lat, kiedy kopnęła go krowa, Henry przeszedł przez dzieciństwo praktycznie bez szwanku.

Tak więc wbrew idei państwa opiekuńczego Henry podszedł do rodzicielstwa z podobną, spokojną pewnością siebie. „Nic im nie będzie”, powtarzał Barbarze, kiedy wyciągała kremy z wysokimi filtrami i przypominała o podwyższonym ryzyku zachorowania na raka skóry, kiedy ich dwie córki każdego letniego ranka wybiegały na dwór. Do domu wracały tylko po to, aby coś przekąsić.

„Farmy to niebezpieczne miejsca, Henry”, oświadczała Barbara w odpowiedzi na cmokanie męża.

„Oglądasz zbyt wiele programów dokumentalnych, kochanie”.

A potem mała Anna skończyła pięć lat i zachorowała na zapalenie płuc. Zaczęło się jak zwyczajny kaszel, który według Barbary był skutkiem zabawy na wilgotnym sianie przechowywanym w stodole przy domu, ale Henry stwierdził, że przesadza. „Nic jej nie będzie”.

Tyle że jednak było.

Skończyło się pięciodniowym pobytem w miejscowym szpitalu, łącznie z dwudziestoczworgodzinnym okresem, kiedy „na dwoje babka wróżyła”, a żaden z lekarzy nie potrafił spojrzeć Ballardom w oczy.

Anna, podłączona przeróżnymi rurkami do pikających urządzeń, wyglądała nieznośnie krucho, kiedy na małym ekranie co i rusz włączał się alarm sygnalizujący, że poziom nasycenia tlenem jest bardzo niski. Lekarze wyjaśniali każdą nową strategię, łącznie z podaniem leku, który tymczasowo podwyższyłby jej tętno, ale za to pomógł płucom.

„Krok po kroku – tak słyszeli od lekarza. – Naprawimy płuca, a potem zajmiemy

się sercem”.

Henry siedzi teraz w salonie i ogląda wiadomości. Doskonale pamięta, jak czuł w szpitalu przy łóżku Anny, dręczony wyrzutami sumienia. Obserwował wykresy na monitorach, czując potworną bezradność. Czasami zaczynał się modlić, ale potem przypominał sobie, że przecież nie wierzy w Boga. Nie miał się do kogo zwrócić. Nie był już pewny sprężystości dzieci. Nie był już wyluzowany. Beztroski.

A teraz nie jest już tym samym człowiekiem po tym, jak jego córka, jego śliczna Anna, siedziała w samochodzie tamtego dnia, kiedy odwoził ją na stację na pociąg do Londynu. „Brzydzę się tobą, tato”.

W drzwiach staje Cathy z tacą z czerwonym imbrykiem, dzbanuszkami z mlekiem i kubkami. A potem, kiedy stawia tacę na znajdującej się pośrodku pokoju ławie, ktoś zmienia kanał i nagle serce Henry’ego przebija sopel lodu.

Zdjęcie okna. Mężczyzna – zapewne Karl – przystawiający pistolet do głowy zakładnika.

Henry słyszy, jak z jego ust wydostaje się dziwny dźwięk, a zaraz po nim rozlega się głośne, przywołujące na myśl ranne zwierzę zawodzenie jego żony.

– O mój Boże. O mój Boże. Moje biedne dziecko. Henry. Henry, patrz. O nie, o nie, o nie... Musimy coś zrobić. O mój Boże, powiedzcie, co powinniśmy zrobić.

Wstaje. Po czym siada. I kołysze się. Potem płacze. A potem znowu wstaje i chodzi od ściany do ściany, nie przestając mówić.

– Musimy tam jechać. Muszę tam być. Henry. O mój Boże, nie mogę tu być. Nie mogę tak tu siedzieć i nic nie robić.

Prezenterka mówi właśnie, że zdjęcie to, jak na razie niepotwierdzone, zostało upublicznione przez europejską agencję informacyjną. Mężczyznę zidentyfikowano jako Karla Prestona, ale brak oficjalnego potwierdzenia, że zakładniczką jest Anna Ballard.

– Nie powinni tego pokazywać. – Cathy wyjmuje telefon i wychodzi na korytarz, a Henry podchodzi do żony i próbuje ją pocieszyć.

– Wszystko będzie dobrze, Barbaro.

– Jak możesz tak mówić? Jak możesz tak mówić? Musimy jechać, Henry. Musimy jechać do Hiszpanii. Nie możemy siedzieć tutaj beczynn timer. Ja nie mogę.

W tym samym czasie Tim próbuje uspokoić płaczącą Jenny. Henry napotyka jego spojrzenie – widać, że chłopak także jest w szoku.

– Nie możemy lecieć do Hiszpanii, skarbie. Jeszcze nie teraz. Musimy trzymać rękę na pulsie. – Gdyby znaleźli się w samolocie, nie byłoby w stanie śledzić wiadomości. Zerka w stronę drzwi, bo potrzebuje poznać zdanie przydzielonej im policjantki. Ona jednak rozmawia jeszcze na korytarzu przez telefon.

– Mógłbym zabrać Jenny do Hiszpanii. Zaczekać tam

na państwa? – Tim nachyla się i patrzy Henry’emu w oczy. – Pomogłoby to? Gdyby udał się tam chociaż ktoś z rodziny?

Henry przeczesuje palcami włosy. Drugą ręką obejmuje ramiona żony, siedzi teraz na krześle i skrywa twarz w dłoniach.

– Nie wiem. Nie wiem. Przekonajmy się, co sądzi Cathy. To wszystko dzieje się tak szybko. Nie wiem, co nam doradzą. Nie, nie. Chyba nie podoba mi się pomysł, aby Jenny nie było tu z nami.

W tym momencie w drzwiach staje Cathy. Jest blada. Do Henry’ego dociera, że musiała się dowiedzieć czegoś nowego, ale wyraz jej twarzy nie wróży niczego dobrego, a on zbyt się boi, żeby zapytać policjantkę, co się dzieje.

OBSERWACJA...

Piątek

Teraz wszyscy na nią patrzą i nie podoba mi się to.

Wcale mi się nie podoba.

To ja mam ją obserwować. Bo widzicie, ja naprawdę rozumiem. Tylko ja wiem, jak należycie jej pilnować. Dbać o jej bezpieczeństwo. Rozumieć ją. Tylko ja dostrzegam, kim jest naprawdę. Jak bardzo, bardzo jest wyjątkowa.

Kiedy widzę, jak patrzą na nią inni ludzie, uśmiechają się do niej, w głowie zaczyna mi się robić głośno. Początkowo to coś na kształt klikania. Cichego klikania. A potem robi się coraz głośniejsze i głośniejsze, aż brzmi to jak grzmot. Najpierw w mojej głowie, później na niebie i coraz dalej.

Teraz właśnie tak się dzieje. Jest coraz głośniejsze i nie wiem, co robić.

Potrzebuję miejsca, żeby spokojnie pomyśleć. Ten hałas w głowie musi ucichnąć, a ci wszyscy ludzie muszą... przestać na nią patrzeć.

Matthew z tłumionym ziewnięciem włącza wycieraczki. Lekka mżawka – taka najbardziej irytująca, zwłaszcza że ciągle zapomina wymienić pióra w wycieraczkach. Przy takiej mżawce sporadyczne ich włączanie to za mało, ale szyby nie są wystarczająco mokre, żeby zostawić je na stałe. Naciska przycisk uruchamiający spryskiwacze. Nie ma płynu. Wzdycha przy wtórze skrzypienia szyby, kiedy zmienia opcje szybkości. Za sucho. Za mokro. Za sucho...

W radiu podają właśnie informacje sportowe. Matthew sprawdza godzinę. Niedługo będzie podsumowanie wydarzeń dnia. To dobrze. Na pewno powiedzą coś o wydarzeniach w Hiszpanii. Melanie mówiła, że zadzwoni, jeśli dowie się czegoś więcej od funkcjonariuszki odpowiedzialnej za kontakty z rodziną. Nadal się piekli z powodu oficjalnej skargi złożonej przez londyńskiego komisarza, dlatego nie ma oporów przed dzieleniem się z Matthew informacjami służbowymi. Poza tym ufa mu; wie, że on jej nie zawiedzie.

Matthew myśli o Annie i robi głęboki, powolny wdech. Ma złe przeczucia.

Zerka na chmury. Przesuwają się szybko po niebie, popędzane przez silny wiatr. Znowu paradoks: na jego twarzy pojawia się uśmiech na myśl o jego córeczce w różowej czapeczce, śpiącej w szpitalnym łóżeczku. Ma nieco obniżoną temperaturę; pielęgniarki zapewniają, że nie ma się czym martwić. Dobrze jednak, aby poleżała pod lampą, dopóki nie nauczy się lepiej regulować temperatury ciała. Po jego wyjściu Sally zamierzała się trochę przespać, natomiast mała Amelie leżała w śmiesznej, różowej czapeczce pod dogrzewającą ją lampą. Takie to słodkie. I zabawne.

Amelie. Amelie. Amelie.

„Moje. Obie moje...” Nadal wydaje mu się to nierealne. Rodzina.

Ale – chwileczkę. Sygnał skrótu wiadomości. Matthew pogłębiona, żeby lepiej słyszeć. Prezenter podsumowuje to, co już wie – dalej, dalej, wiemy to wszystko – a na koniec łączy się z reporterem na miejscu zdarzeń, przeprowadzającym wywiad z rzecznikiem prasowym policji. Pojawiły się kontrowersje z powodu nowych zdjęć, które krążą w mediach społecznościowych. Rzecznik z silnym hiszpańskim akcentem wyjaśnia, że utrudnia to pracę policji. Że policyjny zespół próbuje nawiązać kontakt z porywaczem, a takie zachowanie jest niebezpieczne. Nieodpowiedzialne. Reporter dodaje, że w obecnych czasach nie da się chyba sprawować kontroli nad tego typu zachowaniami. Rzecznik mówi, że musi przerwać rozmowę, aby odebrać telefon, ale że prosi ludzi o zachowanie rozsądku. Nieudostępnianie tych zdjęć.

Prezenter przechodzi do innego tematu. Matthew ponownie zerka na zegarek, następnie na torbę z rzeczami do prania, która leży na fotelu pasażera. Zgodził się wpaść do Elli i poznać jej męża, ale nie chce zostać tam zbyt długo; musi jechać do domu i zająć się tym, co obiecał Sally. To niesamowite, ile śpioszków i innych ciuszków potrafi zabrudzić w ciągu doby maleńkie niemowlę. Dostał także listę rzeczy potrzebnych żonie. Balsam do ust. Chusteczki. Jakiś krem do ciała – zdążył już zapomnieć nazwę i cieszy się, że Sal to zapisała.

Matthew zmienia stację radiową. „Jakie zdjęcia?” Co się, do cholery, dzieje w Hiszpanii? Wyobraża sobie policyjny briefing. Czuje znajome ściskanie w żołądku. Poczucie straty. Żal. Pamięta, jak siedział sam w swoim nowym gabinecie krótko po odejściu z policji, rozpaczliwie tęskniąc za poczuciem bycia częścią czegoś. Czegoś naprawdę ważnego.

„Jak sobie radzisz?”, Sally zadawała mu to pytanie każdego dnia. Zawsze kłamał. „Dobrze. Naprawdę dobrze”.

Matthew odszedł z policji, ponieważ zawałił sprawę. Ponoślił odpowiedzialność za śmierć dwunastoletniego chłopca. Jego przełożony prosił, aby został, aby dał sobie czas na przemyślenie wszystkiego i skorzystanie z pomocy psychologa. Przeprowadzono dochodzenie oraz niezależne policyjne śledztwo. Jedno i drugie oczyszczało go z zarzutów, ale dla niego nie miało to znaczenia. To on był osobą, która podczas dochodzenia musiała spojrzeć w oczy matce chłopca. To on budził się w nocy zlanym potem.

To był czwartek. Tamtego wieczoru także padał deszcz. Otrzymał wezwanie do niedużego supermarketu, który walczył z plagą złodziei sklepowych. Jakiś chłopak zwinął papierosy, kiedy sprzedawca obsługiwał innego klienta, a potem uciekł. Tak się złożyło, że Matthew natrafił na tego chłopca biegnącego uliczką w niedalekiej odległości od sklepu. Ruszył w pościg.

„Hej! Ty! Zatrzymaj się...”

Nawet kiedy za nim biegł, zamierzał uraczyć chłopca jedynie ostrzeżeniem. Robił już tak wielokrotnie. Chłopak okazał się szybki, mimo niedużego wzrostu. Dzieciak jeszcze. Ale Matthew nie otrzymał szansy, aby wykazać się pobłażliwością. Chłopiec spanikował, przeskoczył przez ogrodzenie i zaczął zbiegać nasypem w stronę szyn.

Matthew krzyczał, żeby się zatrzymał, ale on wbiegł na szyny... napięciowe.

Potworny widok. Potworna woń.

Matthew mocno się poparzył, kiedy ściągał dziecko z szyn.

„Nie powinienem za nim biec – oświadczył Sally. – Gdybym go nie przestraszył, teraz by żył. Dwie paczki papierosów, Sally. Dwie cholerne paczki papierosów”.

„Wykonywałaś jedynie swoją pracę”. Żona gładziła go po włosach. Do dzisiaj pamięta, z jaką czułością to robiła, a on mówił i mówił – przez całą noc.

I tak oto odwrócił się od swojej pracy. Odwrócił się od supermarketów, które chciały, aby ścigał złodziei bez względu na ich wiek. Bez względu na motyw.

Postanowił założyć własną firmę, uznawszy, że lepiej, aby sam decydował o tym, komu pomoże.

Problem jednak w tym, o czym tak często przypomina mu Mel, że się nudzi. Jest odcięty od tych naprawdę ważnych spraw. Niewiele osób przychodzi do prywatnego detektywa z czymś rzeczywiście istotnym. Zbyt często chodzi o zaginione osoby, które znikają dlatego, że nie chcą być odnalezione. I żony podejrzewające mężów o zdradę.

Matthew grzebie w schowku i wyjmuje z niego zapomnianą tabliczkę czekolady. Świetnie. Cukier. Przypomina mu się teraz kurs dla negocjatorów. Jego zaskoczenie statystykami. Tym, że większość sytuacji z zakładnikami udaje się zakończyć bez ofiar. Oczywiście tak było przed atakami samobójczymi. Przed tą nową falą zupełnie innych przestępstw.

Policyjny zespół w Hiszpanii najpewniej postąpi w sposób podręcznikowy – stara szkoła, zgodnie z podejrzeniami Sally. Będą chwalić Karla za zachowanie spokoju. Niezrobienie krzywdy Annie. „Dobra robota. Świetnie ci idzie. Nie zapomnimy ci tego. Że nikomu nie dzieje się krzywda”.

Zamyka oczy i żałuje, że to nie on siedzi teraz w policyjnym vanie. Rozmawia przez telefon. Dowodzi akcją.

Uczono ich, aby nigdy nie używać słów „poddać się”. Preferowano określenie „wyjście”. „Porozmawiajmy o tym, co zrobić, abyś wyszedł z tego cało, Karl. Jak możemy ci w tym pomóc”.

Podczas jednego z seminariów Matthew zapytał, w jaki sposób powinno się reagować na żądania. Nie było przecież tak, że osoby przetrzymujące zakładników zawsze wysuwały idiotyczne postulaty? Szybki samochód? Helikopter? I pieniądze. Jak policja powinna reagować na żądania okupu?

Nie należy z marszu odmawiać, tak brzmiała rada prowadzącego kurs. Lepiej powiedzieć: „Zobaczymy, co da się zrobić, Karl”. Zawsze powinno wyglądać to tak, że negocjatorzy przekazują roszczenia innym osobom, tak żeby to nie ich obarczono winą za opóźnienia czy niepowodzenia. „Tak mi przykro, Karl. Dowiedziałem się, że w tej chwili to niemożliwe. Porozmawiajmy o tym, co da się załatwić. Jak sprawić, aby nikomu nic się nie stało. To naprawdę zadziała na twoją korzyść. Robię dla ciebie, ile mogę, Karl, masz moje słowo”.

Matthew dzieli od domu Elli jeszcze jakieś piętnaście minut drogi. Nie potrafi dłużej czekać. Wjeżdża w zatoczkę. Musi się dowiedzieć, o co chodzi z tymi zdjęciami. Wyjmuje telefon i włącza Twittera. Okazuje się, że zdjęcia są dosłownie wszędzie. Ujęcia pod różnymi kątami, na których widać stojącego w oknie Karla, przystawiającego pistolet do głowy blondynki, przypuszczalnie Anny.

Puls mu przyspiesza, kiedy stara się wejść w tryb profesjonalisty: odsuwa od siebie strach i panikę, przystępuje do chłodnej analizy. Okej. Co to oznacza? Co trzeba zrobić?

Szybko zaczyna analizować kolejne zdjęcia. Co one rzeczywiście mówią? Co naprawdę się dzieje? Problem w tym, że na wszystkich ujęciach Anna stoi tyłem do okna.

Matthew wybiera w końcu pięć, sześć zdjęć wykonanych pod lekko różnym kątem i marszczy czoło. Obracają się trybiki w jego głowie, kiedy mimowolnie łączy ze sobą to, co jeszcze nie do końca rozumie. Podczas pracy w policji nauczył się ufać intuicji. Odpężyć się, patrzeć i czekać.

To trochę jak z tymi plakatami – „Magiczne Oko” – kiedy trzeba patrzeć i się rozluźniać, aż w końcu wpada się w coś niemal takiego jak trans i pojawia się obraz trójwymiarowy.

Klika między zdjęciami i tak właśnie robi. Coś mu się nie zgadza...

Przegląda wiadomości krążące w mediach społecznościowych. Pojawiające się komentarze niby są życzliwe, ale wcale nie okazują się pomocne.

„O mój Boże, czy on ją zastrzeli?”, ktoś pisze.

Na Twitterze znajduje także kilka wpisów policji, po hiszpańsku i angielsku, proszących ludzi o nierobienie i nieudostępnianie zdjęć, ale najwyraźniej apel ten nie spotyka się ze zrozumieniem.

Jezu. Co za szopka. Matthew raz jeszcze przegląda zdjęcia, tym razem szukając ujęć wstawionych przez agencje informacyjne. Niektóre mają lepszą jakość, bo użyto porządnego obiektywu. Ale większość wygląda, jakby zrobiono je telefonem, być może z okna mieszkań naprzeciwko bloku, w którym znajduje się Karl. I wtedy znajduje inne ujęcie, wykonane znacznie wyżej. Może na najwyższym piętrze, pod innym, ostrzejszym kątem. Teraz w końcu dostrzega to, co na innych zdjęciach nie dawało mu spokoju.

Włącza iPada i otwiera to samo zdjęcie, po czym robi zbliżenie. Wybiera numer Melanie i jednocześnie wysyła jej to ujęcie mailem. Musi sprawdzić, czy Hiszpanie je widzieli.

Jezu Chryste... muszą to zobaczyć.

Melanie odbiera po piątym sygnale.

– Mel, wysłałem ci właśnie zdjęcie. Karl w oknie z zakładniczką. Musisz je przekazać ekipie hiszpańskiej.

– Matthew?

– Sorki. Tak, z tej strony Matt. Jadę właśnie ze szpitala.

– Nie mam jeszcze zdjęcia. Co się dzieje? Pamiętaj, że jestem *persona non grata*. Praktycznie na wypowiedzeniu...

– Myślę, że to nie Anna, Mel.

– Co takiego?

– Ta dziewczyna z Karlem. Zakładniczka. Nie jestem przekonany, czy to Anna.

– Ale to szaleństwo... Och, zaczekaj. Właśnie doszło zdjęcie. Okej, co mam na nim zobaczyć?

– Szerokość ramion. Niewłaściwy kształt ciała, Mel. Prostokąt, a nie gruszka.

– Słucham?

– No dobrze. – Matthew próbuje się uspokoić. Dociera do niego, że może to brzmieć tak, jakby w końcu postradał zmysły. – Sal... ma obsesję na punkcie typów sylwetek. Jakie powinno się kupować ubrania. Anna jest gruszką. Nie grubą, w żadnym razie... bardzo szczupłą gruszką.

– Jezu Chryste, Matt. Masz pieluszkowe zapalenie mózgu czy co?

– Nie, posłuchaj. To ważne. Kiedyś Sal zmusiła mnie do zobaczenia w jakimś czasopiśmie tych wszystkich bzdur. Żebym przestał jej kupować w prezencie niewłaściwe ubrania. Sylwetka podobno niewiele się zmienia. Chodzi o układ kostny. Szkielet. On jest stały. Anna, sądząc po wszystkich zdjęciach, jakie udostępniła rodzina, jest klasyczną gruszką. Tak samo jak moja żona. Szczupła gruszka. Wąska talia, wąskie ramiona i drobny tułów. Nieco szersze biodra. Ta dziewczyna, dziewczyna w mieszkaniu z Karlem, ma zupełnie inną budowę. Zrób zbliżenie i przyjrzyj się. Ramiona takiej samej szerokości jak biodra. Brak talii. Widać to tylko na tym zdjęciu, które zrobiono pod innym kątem.

Przez chwilę Melanie milczy.

– Widzisz to, Mel? Sprawdź zdjęcia Anny. Proszę. Porównaj je. Porównaj ramiona.

Znowu cisza.

– Chryste. Chyba masz rację... Ale w życiu mnie nie posłuchają, kiedy zaczną nawijać o sylwetkach. Formalnie rzecz biorąc, jestem odsunięta od sprawy do czasu spotkania z komendantem, kiedy będę próbowała wyplątać się jakoś z tej całej sytuacji z komisarzem Półgłówkiem.

– Może zadzwonisz do tej swojej koleżanki... Cathy? Tej, która odpowiada za kontakty z rodziną? Pewnie jest teraz z nimi? Trzeba szybko działać.

Słyszy, jak Melanie robi głośny wdech.

– Proszę, Mel. Jeśli mam rację i to nie Anna, muszą spróbować zupełnie innego podejścia. Jeśli rzeczywiście to nie jest Anna... – Pauza. – To co się z nią, u licha, dzieje i w co sobie pogrywa Karl?

– Okej. Prześlę Cathy to zdjęcie. Zobaczę, czy uda jej się w delikatny sposób podpytać rodzinę. Ale równie dobrze może mi z marszu odmówić.

– Jasne. Słuchaj, jadę właśnie do domu Elli. Tego świadka, pamiętasz? Obiecuję podzielić się z tobą wszystkim, czego się dowiem, ale ty informuj mnie na bieżąco. Proszę.

– W porządku. Choć możliwe, że niedługo sama będę szukać nowej pracy.
– Nie mów tak, Mel. Liczyłem na twój awans, żebym mógł wrócić. – Matthew sam jest zaskoczony tymi słowami, które wypowiada głośno po raz pierwszy.

– Żartujesz?

– Pewnie, że tak. – Wcale nie. – Okej, niedługo się dzwoniemy.

Do domu Elli dojeżdża w mniej więcej kwadrans. Mżawka zmieniła się w porządną deszcz i Matthew żałuje, że nie ma w samochodzie żadnego płaszcza. Patrzy na zegarek. Musi się streszczać, jeśli chce wrócić do domu o rozsądnej porze, zrobić wszystko, co trzeba, i iść spać. Według słów Elli i innych znajomych niedługo będzie mu tego bardzo brakowało. Biedna Sally ma problem z karmieniem piersią i przebąkuje o przestawieniu małej na mleko w proszku. Matthew to nie przeszkadza, ale żona mu sygnalizuje, że on też będzie brał udział w nocnym karmieniu. Zaczyna się zastanawiać, jak inni sobie z tym radzą. Jak pracują, kiedy rodzą im się dzieci...

Parkuje na podjeździe za dużym, czarnym bmw. Wygląda na to, że mąż Elli jest w domu. Zerka na telefon – cholera, Melanie się nie odzywa – i szykuje się na to, że zmoczy go deszcz.

W korytarzu nie pali się światło, ale po chwili słyszy skrzypnięcie jakichś drzwi i zdenerwowane głosy. Zapala się światło, Ella otwiera drzwi. Jest blada.

– Oglądamy wiadomości. Straszne. Widziałeś?

– Tak.

Matthew wyciera buty. Po prawej stronie widzi bambusowy stojak na parasole. Teczka. A więc mąż na pewno jest w domu. Skórzana teczka wygląda na drogą. Na wieszaku wisi męski, elegancki płaszcz przeciwdeszczowy. Jedwabna podszewka.

Ella coś tam mówi o wiadomościach. Jakie to szokujące, że w mediach społecznościowych krąży tyle zdjęć. Matthew jedynie przytakuje, czekając, aż pozna jej męża i jego nastawienie.

W salonie wyczuwa się napięcie. Ella przedstawia Tony'ego. Ten wymienia z Matthew uścisk dłoni, ale mruży oczy, nie ukrywając, że poddaje go bacznej ocenie.

– Powinam była powiedzieć o wszystkim Tony'emu. Teraz to wiem. Zazwyczaj wszystko sobie mówimy, więc fatalnie się z tym czuję. – Ella przenosi spojrzenie z Matthew na swojego męża.

To bardzo miła kobieta i Matthew nie czuje się dobrze z tym, że jest tak zdenerwowana.

– Tyle że naprawdę byłam pewna, że te kartki przysłała pani Ballard.

– A pan co sądzi, panie Hill?

Matthew bierze głęboki oddech.

– Myślę, że to zrozumiałe, iż moje zaangażowanie w sprawę pana niepokoi,

a może nawet jest pan pełen sceptycyzmu. Dlatego właśnie ucieszyłem się, kiedy Ella zaproponowała to spotkanie. Liczę, że rozwieję wszelkie wątpliwości.

– Słucham więc.

– Sam pracowałem w policji. Mam duże doświadczenie i nadal wiele kontaktów. I jeśli mam być szczery, ale proszę, aby to zostało między nami, uważam, że policja zupełnie sobie nie radzi z tym śledztwem w sprawie zaginięcia Anny Ballard. Coraz bardziej się cieszę, że jestem w to zaangażowany. Oczywiście mam na myśli pomoc tobie, Ello. Ale także liczę, że uda mi się pomóc dotrzeć do sedna tej sprawy.

– Cóż, to oczywiście bardzo szlachetne z pańskiej strony, ale moim głównym zmartwieniem pozostaje bezpieczeństwo mojej żony. Za to panu płacimy. Nie za rozwiązywanie zagadki zaginięcia Anny Ballard. To należy do zadań policji. Więc myśli pan, że Elli grozi realne niebezpieczeństwo? Mam na myśli te przesyłki.

– Tony, proszę cię. – Ella patrzy to na jednego, to na drugiego. – Wszyscy się zamartwiamy tym, co się dzieje z Anną. Oczywiście, że tak. Matthew, widziałeś zdjęcie, na którym ma pistolet przystawiony do głowy? Myślisz, że policja opanuje sytuację? Czy też do akcji wkroczy snajper? Jak uważasz? Okropnie się czuję. Tak bardzo się martwię. Wyobraźcie sobie tylko, co musi czuć biedna pani Ballard...

Tony obejmuje żonę i całuje ją w czoło. Matthew przygląda się temu uważnie. Mąż z czułością gładzi Ellę po włosach i Matthew nie przeszkadza już jego dezaprobata. Gdyby chodziło o Sal, zachowywałby się tak samo. To dobrze, że Tony jest taki opiekuńczy.

– W sprawę kartek zaangażowałem dawną koleżankę z pracy, której ufam. Na tym etapie nie można mieć pewności, ale istnieje wysokie prawdopodobieństwo, że to jakaś przypadkowa osoba. Na razie nie ma dowodu na rzeczywiste zagrożenie. Niemniej zalecam ostrożność, dopóki nie dowiemy się czegoś więcej. Tak właśnie mówiłem Elli. Czy dysponujecie jakimiś nowymi informacjami? Wydarzyło się coś, co was niepokoi?

Ella przez chwilę wygląda na podenerwowaną. Bawi się włosami.

– Parę razy wydawało mi się, że wczesnym rankiem ktoś obserwuje kwiaciarnię. Ale równie dobrze to tylko paranoja. Światła samochodu omiatające lokal. Wytrącało mnie to z równowagi, bo jestem strachliwa.

– O tym mi nie mówiłaś. – Zaniepokojony Tony otwiera szeroko oczy. – Dość tego. Koniec z porankami w kwiaciarni. – Odwraca się w stronę Matthew. – Proszę mnie poprzeć. Ona nie chce mnie słuchać. Zainstalowaliśmy nowy alarm... tyle że nie do końca się sprawdza.

– Widziałaś kogoś, Ello? Obserwującego kwiaciarnię?

– Nie. Miałam tylko takie uczucie. Pewnie dlatego, że tak się tym wszystkim przejmuję.

– Cóż, moja rada jest taka, aby zamknąć kwaciarnię na parę dni, dopóki ta sytuacja w Hiszpanii nie unormuje się. – Matthew patrzy na Tony’ego.

– Alleluja. Mam identyczne zdanie. – Tony bierze głęboki oddech.

– Ale co z moimi zamówieniami?

– Chrzanić zamówienia, Ello. Obdzwoń klientów i powiem, że jesteś chora. Polecę inne kwaciarnie. Tylko na kilka dni. – Tony wydaje się zadowolony.

Zaprasza do kuchni, gdzie ze zdecydowanie większą uprzejmością proponuje kawę, którą Ella od razu zaczyna parzyć. Tutaj także telewizor jest włączony i wszyscy podnoszą wzrok na ekran, kiedy słyszą, jak prezenter informuje o najnowszych zdjęciach z mieszkania w Hiszpanii.

Podczas gdy Ella krząta się przy młynku i kafetierze, Matthew sprawdza telefon. Nadal żadnych wieści od Melanie.

– Będą go próbowali zastrzelić? Karla? – pyta Ella, zalawszy kawę wodą. – Tak właśnie robią? To czekanie jest dla mnie nie do zniesienia.

– Negocjator spróbuje go przekonać do złożenia broni. To gra na przeczekanie. Na interwencję zdecydują się tylko wtedy, kiedy nie będzie innego wyjścia. Jeśli to jest Anna, trzeba pamiętać, że przez rok utrzymał ją przy życiu.

– Jeśli to jest Anna? A kto to, u licha, może być, jeśli nie Anna? – W głosie Tony’ego słychać niedowierzanie i Matthew żałuje, że w ogóle o tym wspomniał.

– Nadal nie wyjaśniłaś, dlaczego według ciebie to twoja wina, Sarah. – Lily stawia tacę z kanapkami i pokrojonymi w plastry jabłkiem i brzoskwinią na toaletce w swoim pokoju. – Naprawdę musisz spróbować coś zjeść.

Żołądek Sarah nie doszedł jeszcze do siebie. Patrzy na tacę, tak ładnie wszystko ułożone, a potem na siostrę. Cóż za ironia. Lily – pod workowatym przebraniem sama skóra i kości.

– Nie wiem, czy coś przełknę. Częstuj się. – Przygląda się siostrze, ale ta wzrusza ramionami.

– Jadłam już.

Sarah nie komentuje tego kłamstwa. Rozgląda się po pokoju, zadowolona, że w końcu są same. Dość ma tego, że na dole Moon i pozostali co rusz im przeszkadzają, tutaj jednak brakuje jej dużego telewizora. Przegląda w telefonie media społecznościowe i wiadomości, ale żałuje, że nie ma iPada, bo lepiej by wszystko widziała. I miałyby większy pakiet danych do wykorzystania. Otrzymała już esemesy informujące, że lada chwila wyczerpie obecny. A nie ma pieniędzy na nowy.

– Mogłabym skorzystać z twojego laptopa, Lily? – Nie będzie nazywać jej Saffron. Próbuje się uśmiechnąć z wdzięcznością, kiedy jej siostra uruchamia komputer i szuka portalu z aktualnymi wiadomościami.

– Okej, ale nie uchylaj się przed odpowiedzią na moje pytanie, Sarah. Ten Karl to jakiś świr i bardzo mi przykro, że tak wszystko przeżywasz, to znaczy to, co się dzieje w Hiszpanii. Ale szczerze? Czuję ulgę, że tata nie jest w to wplątany. A jeśli Anna rzeczywiście wyjechała z tym całym Karlem...

– Nie zrobiła tego. – Sarah czuje nagłe wyczerpanie. Jest trochę tak, jak kiedy stoisz na moście, a mała, maleńka część ciebie chce skoczyć. Wiesz, że nie powinienes, ale nic nie jesteś w stanie na to poradzić. Wiesz, że tę naprawdę ważną decyzję musisz podjąć w ułamku sekundy i napawa cię to przerażeniem. Konsekwencje. Cienka linia między jednym wyborem a drugim. Tak jak z butelką i tabletkami, choć teraz Sarah rozumie, że wcale to niczego nie rozwiązywało. – A przynajmniej nie wiem, czy to zrobiła. Ani czy ją porwał, czy dosypał coś do drinka, bo problem w tym, że wcale jej nie pilnowałam. Pokłóciłyśmy się, ja i Anna. Prawda jest taka, że nie mam pojęcia, co się wydarzyło. – Kiedy Sarah słyszy swój głos, dociera do niej, że to się musi wreszcie skończyć. A jej siostra, ta skurczona i smutna wersja jej siostry, za którą tak bardzo tęskniła, jest dla niej jedyną nadzieją.

Lily przysiadła na skraju łóżka, a wyraz jej twarzy ulega zmianie. Ściąga brwi, po czym lekko kręci głową.

– Musisz mi powiedzieć, Sarah. Proszę. – Znowu bawi się koralikami na nadgarstkach, a Sarah ma się ochotę rozplakać. Z powodu ich obu.

Przez długą chwilę milczy. Głęboki oddech, który okazuje się, że należy do niej. I... skok.

– Uzgodniłyśmy, że zostaniemy w klubie mniej więcej do drugiej, a potem taksówką wrócimy razem do hotelu. Na początku ja rozmawiałam sobie z Antonym, a Annie towarzyszył Karl. I wszystko było w porządku. Czujemy się naprawdę dorosłe. Głupio mi to teraz mówić, ale taka jest prawda. Potem jednak chłopcy stracili nami zainteresowanie. Znali tam sporo ludzi. Gdzieś sobie poszli. W sumie to nas ignorowali. – Sarah milknie i myśli o tym, jak się wtedy czuła. Jak bardzo była zagniewana. Było jej wstyd, że w pociągu tak się starała, żeby Antony ją polubił... A on tak szybko porzucił ją w klubie i flirtował z innymi dziewczynami. Kiedy ich tu zaprosili, sądziła, że to będzie podwójna randka. Wyobrażała sobie, że będą we czwórkę siedzieć przy jednym stoliku. Tańczyć. Dobrze się bawić. Ale nie... – Lily, ja zawsze wszystko opacznie zrozumiem... jeśli chodzi o facetów. – Patrzy na siostrę. – W szkole nazywają mnie zdzirą.

– Nie jesteś zdzirą.

Czuje na policzkach łzy i zamyka oczy.

– Ja tylko chcę, żeby ludzie mnie lubili.

Oczy ma zamknięte, ale słyszy, jak łóżko trzeszczy, kiedy Lily się przysuwa i ją obejmuje.

– Ćśś. Ćśś. Sarah. Wszystko będzie dobrze.

– Wcale nie. Anna podeszła do mnie o wpół do pierwszej i powiedziała, że chce już jechać. Że ma dosyć. Była zmęczona, mocno wstawiona. Ale ja wypatrywałam jeszcze Antony'ego. Sama też trochę się upiłam i naprawdę mnie wkurzył, więc oświadczyłam Annie, że ma przestać zachowywać się jak dziecko, że ma wypić jeszcze jednego drinka i wyluzować. – Sarah ociera policzek wierzchem dłoni i czuje na ustach słony smak łez. – Dlatego właśnie się pokłóciłyśmy. Powiedziała mi, że nie czuje się już bezpiecznie, a ja generalnie kazałam jej się odpieprzyć. Wrócić samej do hotelu.

– Wtedy zasugerowała, aby skontaktować się z tatą?

– Tak. Powiedziała, że może powinniśmy go poprosić, aby przyjechał do klubu i odwiózł nas do hotelu. Ale ja odparłam, że jest żałosna i że jeśli skontaktuje się z tatą, to nigdy więcej się do niej nie odezwę.

– Powiedziałaś to policji?

– Nie. Oczywiście, że nie. Skłamałam. Powiedziałam, że to Anna się nie zjawiała, kiedy miałyśmy jechać taksówką... – Sarah otwiera oczy i próbuje coś wyczytać

z twarzy siostry. Lily wydaje się zaszokowana i Sarah przypomina się szok malujący się na twarzy Anny. „Proszę. Chcę jechać już do hotelu. Za bardzo jestem wstawiona. Proszę, Sarah. Błagam cię...” Zastanawia się, jakie wszyscy zrobią miny, kiedy się dowiedzą, co się stało w pociągu. Z Antonym. – Później nie mogłam jej znaleźć, więc sama musiałam wrócić taksówką. Sądziłam, że zastanę ją w pokoju. Wkurzoną na mnie. Sądziłam, że będę miała szansę wytrzeźwieć. Przeprosić. Ale kiedy Anna nie wróciła do hotelu, wpadłam w panikę, że może jednak skontaktowała się z tatą.

– Jezu.

– W głowie miałam mętlik, Lily. Wtedy nie wiedziałam nawet, czy wolno mi w ogóle źle myśleć o tacie. Paranoja. Ale zaczęłam kombinować. A jeśli Anna rzeczywiście zadzwoniła do jego hotelu, a on przyjechał do klubu? Spotkali się przed klubem albo coś w tym rodzaju. Och, nie wiem, przez głowę przelatywały mi różne szalone myśli, no bo przecież wiesz, jaki on jest, Lily. Ale zbyt się bałam, żeby powiedzieć policji. – Patrzy siostrze w oczy i dostrzega w nich zrozumienie. – A potem Karl i Antony zniknęli, więc uznałam, że to pewnie ich sprawka. I teraz w końcu mamy potwierdzenie. Że to Karl ją porwał... i Bóg jeden wie, co zrobił... – Sarah otwarcie szlocha. – A więc to jest moja wina. Tak czy inaczej, wszystko schrzaniłam, Lily. Zawiodłam Annę na całej linii.

– Zastanawiam się, czy nie powinniśmy wezwać lekarza rodzinnego. Może przydałby się jakiś środek uspokajający? – Cathy gładzi plecy Barbary, która siedzi na krześle w kuchni z głową między kolanami.

Henry stoi z rękami na biodrach, sparaliżowany targającymi nim emocjami. Strach. Wyrzuty sumienia. Wstyd. „Brzydzę się tobą”. To potworne zdjęcie w telewizji, od którego w końcu musiał się odwrócić. Szalaniec przystawiający pistolet do głowy jego córki. W tamtej chwili był w stanie myśleć jedynie o własnej strzelbie, skonfiskowanej przez policję. O tym, że tak bardzo pragnie ją odzyskać. Wycelować i strzelić. Zastrzelić go. Karla. „Proszę bardzo. Masz za swoje”. W klatkę piersiową. W głowę.

Przemierza nerwowo kuchnię, gdy tymczasem Cathy uspokaja jego żonę.

– Nie chcę lekarza. Nie chcę niczego na uspokojenie. Muszę wiedzieć, co się dzieje. O mój Boże. Moje dziecko... moje biedne dziecko. – Głos Barbary ponownie staje się głośniejszy i Cathy ją ucisza, polecając miarowo oddychać. Robić głębokie, powolne wdechy.

– Ma tabletki na sen, ale nie lubi ich brać. – Henry’emu drży dolna warga, kiedy patrzy, jak ramiona jego żony unoszą się i opadają.

– Naprawdę uważam, że powinnaś się na trochę położyć, Barbaro. Na górze. Będziemy cię o wszystkim informować. Od razu, kiedy tylko dowiemy się czegoś nowego. – Cathy nie przestaje gładzić jej pleców. – Na pewno nie chcesz lekarza?

Barbara niewidzącym wzrokiem rozgląda się po kuchni.

– Nie chcę lekarza. Chcę być w pokoju Anny. Położę się w pokoju Anny. – Podnosi się z krzesła z dziwnym, niepokojącym wyrazem twarzy. Zachowuje się, jakby wpadła w jakiś trans.

– Niech Jenny idzie razem z nią. – Cathy wypowiada te słowa do Henry’ego. Z jej oczu wycierał niepokój. On z kolei czuje się bezradny. Chodzi tam i z powrotem, nie do końca przetwarzając wszystkie informacje. – Proszę kazać córce iść na górę. Posiedzieć z Barbarą. Nie powinna być sama.

Raz jeszcze dzwoni telefon Cathy i Henrym wstrząsa dreszcz, jak wtedy, kiedy zobaczył w telewizji tamto zdjęcie. Cathy mówi, że musi odebrać, więc Henry udaje się do salonu, aby poprosić Jenny o pójście na górę razem z matką.

Tim wstaje, wyraźnie się zastanawiając, co powinien zrobić. Dźwięk w telewizorze jest przyciszony, a na ekranie widać wiadomości sportowe. Henry czuje oburzenie na myśl, że świat przeszedł już do porządku dziennego nad tym, co się dzieje w Hiszpanii. Nie minęło pół godziny, odkąd ten szalaniec zaciągnął do

okna jego córkę i przystawił broń do jej złotych włosów, a świat interesuje się piłką nożną.

– Chyba powinienes już pójść, Tim. Przykro mi. Za dużo dla nas tego wszystkiego.

Tim kiwa jedynie głową, blady i wstrząśnięty, po czym z oparcia sofy bierze swoją kurtkę. Henry słyszy kliknięcie drzwi, kiedy chłopak w końcu wychodzi. Wraca do kuchni, próbując podsłuchać rozmowę Cathy. Zamknęła się w pomieszczeniu na buty. Grube, dębowe drzwi nie przepuszczają żadnych odgłosów.

Sammy skorzystał z okazji i przemknął do domu. Siedzi teraz u stóp Henry'ego i błaga go wzrokiem o pozwolenie na pozostanie razem z nim w kuchni. Henry patrzy na swojego psa. Bursztynowe, błyszczące oczy. Lojalność. Niepokój. Wyczuwają panujące wśród domowników napięcie. Pamięta, jak jako szczeniak biegał po trawniku, kiedy Anna robiła gwiazdę za gwiazdą. „Patrz, tatusiu. Potrafię zrobić trzy od razu...”

Henry nachyla się ku drzwiom, ale to bezcelowe, i tak nic nie słyszy. Policjantka szepcze. Czuje tak wielką desperację, pragnie się dowiedzieć, co się dzieje, że ma wrażenie, jakby coś rozrywało mu klatkę piersiową. Zamyka oczy. Głośno oddycha przez nos. Sammy trąca go nosem w nogę. „Mogę zostać?” Henry klepie psa po głowie, a kiedy ten zaczyna merdać ogonem, coś w nim pęka.

Niczym automat podchodzi do sosnowego stołu i siada na krześle zwolnionym przez żonę. Dostrzega, że poduszka w niebieską kratkę, która zazwyczaj leży na krześle, teraz znajduje się na podłodze, tuż pod stołem. Przez chwilę skupia się na niej i próbuje zdecydować, czy powinien ją podnieść. Przez kilka sekund podjęcie tej decyzji wydaje się zbyt trudne. W końcu dociera do niego, jak jałowe i absurdalne jest myślenie o czymś takim. Choćby wszystkie poduszki wały się po podłodze, nie miałyby to żadnego znaczenia. Rozgląda się po kuchni, omiata spojrzeniem talerze, kubki i miski, wszystkie przedmioty ustawione w kredensie, i ogarnia go pragnienie, aby zrzucić to wszystko na podłogę. W końcu rozlega się znajome skrzypnięcie dębowych drzwi. Sammy wstaje z uniesionym ogonem, czeka, czy znowu go stąd wyproszą.

– Dzwonił jeden z moich współpracowników. – Cathy wchodzi do kuchni i staje obok Henry'ego.

– Jakies wiadomości z Hiszpanii? Na co oni czekają? Nie mają gazu łzawiącego czy czegoś w tym rodzaju? Kiedy zamierzają położyć temu kres? – Henry jest zaskoczony swoim tonem, bardziej grobowym niż zagniewanym, niepasującym do wypowiedzianych przez niego słów. Opuszcza głowę i ponownie wbija wzrok w poduszkę, dostrzega małą plamę w lewym górnym rogu. Pewnie keczup. Kolejny obraz sprawia, że zamyka oczy. Anna wyciskająca keczup na kanapkę z bekonem.

– Z zagranicy nic nowego. Nie. Ale jest coś... – Cathy wyraźnie się waha.

– Co takiego? Okup? – Właściwie to czekał na coś takiego. Otwiera oczy. – Bo jeśli chce pieniędzy, to je zdobędziemy. Ile tylko zażąda. Możemy sprzedać farmę. – W głowie Henry’ego odbywa się gonitwa myśli, już kombinuje, do kogo mógłby zadzwonić. Kto mógłby pożyczyć. Pomóc.

– Nie. Nie okup. Zresztą zespół z Hiszpanii i tak by się nie zgodził na coś takiego...

Głupie to było z jego strony. Jak by to się niby miało odbyć? Henry daje sobie spokój z układaniem w głowie listy znajomych i banków. Lokalny kościół. Internetowa zbiórka pieniędzy. Worek pieniędzy dla Karła. Anna wypuszczona z samochodu, biegnąca w jego stronę. Tatusiu...

Jego umysł jest wyczerpany tymi zmianami. Pomysłami. Nadzieją dawaną i odbieraną. Potwornymi wyobrażeniami. Wiadomościami. Tymi wszystkimi przekłętymi zdjęciami w mediach społecznościowych. Policja nie wypuści Karła, bez względu na okup. Nie ma żadnego oczywistego sposobu na to, aby zapewnić Annie bezpieczeństwo. Henry nic nie może zrobić. I znowu to pieczenie w klatce piersiowej. Mocno zaciśnięte pięści, wzrok ponownie skupiony na poduszce.

– Panie Ballard, mógłby pan się przyjrzeć pewnemu zdjęciu?

A cóż to za oficjalny ton? Cathy nalegała, aby zwracali się do siebie po imieniu. Początkowo mówiła na niego Henry, miła i współczująca. Ale od czasu stodoły, strzelby i przesłuchania jest dla niej panem Ballardem. I pewnie tak pozostanie – o mały włos nie stał się przecież głównym podejrzanym.

„Brzydzę się tobą, tato”.

– To zdjęcie, panie Ballard, nie zostało szeroko udostępnione. Powinnam pana ostrzec, że to kolejne ujęcie Karła stojącego w oknie z bronią. Jest bardzo niepokojące. Dla pańskiej żony to by było stanowczo zbyt wiele. Ale zrobiono je pod innym kątem. I byłabym wdzięczna, gdyby przyjrzał mu się pan uważnie. Da pan radę?

– Oczywiście, że tak. – Kłamstwo. Henry wcale nie jest na to gotowy. Wcale nie chce patrzeć.

Cathy nie podaje mu swojego iPhone’a, ale większy iPad.

– To zdjęcie zrobione z mieszkania naprzeciwko, mieszczącego się kilka pięter wyżej. Trochę obrobiono i powiększono ujęcie. – Przesuwa palcem po ekranie, żeby mu pokazać drugą wersję.

Henry czuje, że drży mu warga.

– Co mam powiedzieć? Co mam zobaczyć? – Udręka. Nie chce na to patrzeć. Na pistolet. Na włosy.

– Karl nie pozwolił zakładniczce porozmawiać z negocjatorem. Nie przesłał także jej zdjęcia, o które policja prosiła wiele razy. To standardowa procedura. Aby

trochę wszystko uspokoić i upewnić się, że zakładniczce nic nie jest. To wymiana. Barter. Jeśli prześlesz nam zdjęcie albo pozwolisz porozmawiać z zakładniczką, my zrobimy to czy tamto. Przekażemy jedzenie albo drugi telefon, albo tabletki od bólu głowy, albo inhalator z lekiem na astmę czy co tam też jest mu potrzebne.

Zakładniczka? Czemu ona tak mówi? Czemu nie nazywa jej Anną? Jak ona śmie. To jego córka. Powinna używać jej imienia.

– Oto moja prośba. Patrząc na to zdjęcie, panie Ballard, jak wielką ma pan pewność, że to rzeczywiście Anna?

Henry’emu kręci się w głowie. Ona mówi poważnie? Szaleniec z pociągu namawia jego córkę na wspólne wyjście do klubu. Upija ją i Bóg jeden wie, co jeszcze robi. Porywa ją. Uprawdza do Hiszpanii. Zасыwa się w mieszkaniu z bronią i...

– Proszę przyrzeć się temu zdjęciu uważnie. Zwłaszcza sylwetce dziewczyny. Jej talii. Szerokości ramion. Czy to Anna?

Henry patrzy na zdjęcie i marszczy czoło. Sylwetka? Co to znaczy – sylwetka? W tym momencie dociera do niego, że potwornie boli go głowa. Może to migrena? Czuje ten ból już od kilku godzin, zaczął się jeszcze na komisariacie.

Fotografia jest ziarnista, nie ma dobrej jakości, zwłaszcza ta ze zbliżeniem. Włosy należą zdecydowanie do Anny.

– Nie rozumiem. A kto to, u licha, miałby być?

– Proszę, niech się pan przyjrzy uważnie.

Henry wpatruje się w dziewczynę, która stoi tyłem do okna i ma do głowy przystawiony pistolet. Myśli o Annie odwracającej się od niego, wyglądającej przez okno w kuchni. „Patrz, tatusiu, wróciła ta sroka...”

Co on ma dostrzec na tym zdjęciu? Kształt ciała? Kto każe ojcu zastanawiać się nad sylwetką jego córki?

Na tym zdjęciu Anna ma na sobie bluzę. Szarą, choć może to być przekłamanie, zdjęcie niemal na pewno zrobiono telefonem.

Henry zgodnie z poleceniem przygląda się talii. Ramionom.

Coś jest nie tak. O mój Boże...

– Chce pani powiedzieć, że może być w ciąży? To pani sugeruje? – Henry bardzo się stara nie stracić panowania nad sobą w obecności policjantki. Ponownie patrzy na zdjęcie i znowu coś mu nie pasuje. Czegoś tu nie rozumie.

– Nie. Nie to sugeruję. Jej kształt. Ramiona. Talia. Każdy z nas ma jakiś typ sylwetki, panie Ballard. Proporcje, które się nie zmieniają, nawet jeśli chudniemy albo tyjemy. Nawet w ciąży, choć wcale nie to miałam na myśli. Proporcje ramion i bioder. Czy ta sylwetka może należeć do Anny?

Henry wstrzymuje oddech, kiedy dociera do niego powaga tego pytania i możliwe konsekwencje.

– Chyba musimy zawołać Jenny.

Czuję ulgę, kiedy Tony w końcu udaje się na górę, aby się przebrać.

– On wcale taki nie jest. – Patrzę na Matthew, ale myślami jestem z moim mężem. Oczami wyobraźni widzę, jak wieszka na drzwiach pokrowiec z garniturem. Widzę w łazience jego kosmetyczkę. Jest zmęczony. Siada na łóżku. Martwi się o mnie.

– Nie musisz się tłumaczyć. To dobrze, że jest taki opiekuńczy. Gdyby chodziło o moją żonę, zachowywałbym się identycznie i naprawdę się cieszę, że w końcu go poznałem. Tak będzie lepiej. To znaczy dla ciebie.

Uśmiecham się i w tym momencie do kuchni wchodzi Luke. Wyjmuje z kredensu herbatniki. Zastanawiam się, czy go nie powstrzymać, naprawdę powinnam przygotować coś porządnego do jedzenia, ale czuję się przytłoczona tym wszystkim, co się dzieje.

– Przepraszam, Matthew. Jakie to niegrzeczne z mojej strony... Nie zapytałam cię nawet o dziecko i żonę. Jak się czują?

Wyraz twarzy detektywa od razu ulega zmianie. Pojawia się na niej radość, duma i niedowierzanie, tak jak to bywa na samym początku. To wzruszające.

– Świetnie, dziękuję. Naprawdę świetnie. Sally miała cesarkę, więc jest teraz trochę obolała. Na razie leży jeszcze w szpitalu.

– Przekaż jej, aby odpoczywała, póki może. – W tym momencie pojawia się mój syn. – Przy okazji, poznaj Luke'a, mojego syna. Luke, to Matthew, prywatny detektyw. Mówiłam ci o nim, pamiętasz?

Przyglądam im się uważnie, Luke patrzy na Matthew z taką samą nieufnością, jak wcześniej jego ojciec. Ale Matthew ma rację. To dobrze, że są względem mnie tacy opiekuńczy. Myślę o tym wszystkim, przez co przeszedł ostatnio Luke, i czuję się niemądra, nielojalna, bo żywiłam podejrzenia odnośnie do tej głupiej lupki. Jak to możliwe, że wpakowałam się w takie bagno? Nie powiem nic Matthew i nie postawię Luke'a pod ścianą. Może ten przeklęty przedmiot znalazł się jakimś cudem w mojej kieszeni. Tak. Może to ja go upuściłam.

– Będzie kolacja? – Luke patrzy na mnie.

Czasami się zastanawiam, czy nasze życie rodzinne byłoby prostsze, gdyby Luke miał rodzeństwo. Kogoś, komu mógłby się zwierzyć. Mniej więcej w swoim wieku. Swego czasu staraliśmy się o drugie dziecko. Niby nic nam nie dolegało, ale ostatecznie nie zaszłam drugi raz w ciążę.

– Szczerze mówiąc, chyba coś zamówię. Masz ochotę na chińszczyznę?

– Super.

Kiedy wychodzi, zwierzam się Matthew z tego, jak ciężki dla całej rodziny okazał się zeszły rok. Przez mnie. Przez to, że nie byłam sobą, pochłonęła mnie sprawa zaginięcia Anny, zwłaszcza od czasu, kiedy wyciekło moje nazwisko. Od czasu pojawienia się tych przeklętych kartek. Tak bardzo pragnę, aby to wszystko się skończyło.

– Na pewno nie masz mi nic więcej do powiedzenia? O osobie obserwującej kwiaciarnię? Nie dostrzegłaś koloru samochodu? Kogoś dziwnego, kręcącego się po okolicy? W kwiaciarni? Albo tutaj?

– Nie. W sumie to tylko miałam takie uczucie. No wiesz, kiedy ci się wydaje, że ktoś cię obserwuje. Przez te głupie kartki popadłam pewnie w paranoję.

– Okej. Przykro mi, Ello, ale muszę uciekać. – Matthew zerka na zegarek.

– A może zostaniesz? Zjesz z nami kolację? – Żałuję tych słów od razu, gdy wydostają się z moich ust.

– Nie. To miłe z twojej strony, ale mam sprawy do załatwienia. Ale wiesz, że możesz do mnie zadzwonić o każdej porze. Gdyby coś się wydarzyło. Gdyby coś cię zaniepokoiło.

– Dziękuję. – Krępuje mnie ulga, jaką czuję na myśl, że jednak nie zostanie na kolacji. Tak będzie lepiej dla Tony’ego i Luke’a. Naprawdę muszę się nauczyć stawiać na pierwszym miejscu rodzinę, a nie te cholerne dobre maniery. Lubię Matthew, ale trzeba pamiętać, że to jego praca. Zmieniam kanał w telewizji, żebyśmy przed wyjściem Matthew mogli szybko sprawdzić, czy w Hiszpanii nie wydarzyło się nic nowego. Kiedy wyjmuję z kieszeni kluczyki od samochodu, słyszę, że dostaje esemesa.

– To ta sprawa?

Kiwa głową i czyta. Poważnieje, podnosi na mnie wzrok.

– Okej, mówię ci to w zaufaniu, Ello. Są nowe, niepokojące wieści. Podejrzewam, że dopiero za jakiś czas zostaną ujawnione. Ale moja znajoma pozostaje w kontakcie z rodziną Ballardów i... Myślę, uważam, że powinnaś się o tym dowiedzieć.

Cała się spinam i przyciskam dłonie do ud. Wbijam wzrok w telewizor i widzę, że w tym mieszkaniu w Hiszpanii zaciągnięto zasłony. Na pasku przewija się informacja, że nie ma żadnych nowych wiadomości, ale ja się boję, że usłyszę od Matthew najgorsze. Nadzieja pryska jak bańka mydlana.

– Ona nie żyje? Zabił ją?

– Nie, Ello. Ta kobieta w mieszkaniu. Zakładniczka. To nie jest Anna. Nie mamy pojęcia, w co, u licha, pogrywa Karl. Ale to nie jest Anna.

Sarah leży w łóżku Lily i przygląda się siostrze, śpiącej na nadmuchiwanym materacu. Lily robi to samo, co wtedy, gdy była mała: palec wskazujący prawej dłoni przyciska do czubka nosa. Przed laty Sarah sobie z tego żartowała.

„Czemu to robisz, Lily? Przytrzymujesz sobie nos podczas snu?”

„Dzięki temu lepiej mi się oddycha”.

„To niemądre”.

„Mam to gdzieś”.

Sarah dostrzega bransoletki i zastanawia się, czy siostra w ogóle je zdejmuje, na przykład kiedy bierze prysznic. Moon zajrzał do nich wcześniej; Sarah ma teraz pewność, że on i Lily to para, ale poczuła ulgę, kiedy poszedł do siebie. Może Lily z nim porozmawiała, gdy Sarah brała kąpiel.

Jest wykończona i choć gorąca woda podziałała na nią uspokajająco, wiedziała, że i tak będzie miała problem z zaśnięciem. To ona chciała spać na materacu, ale Lily się uparła. Nawet zażartowała. „Będę miała oko na potwory pod łóżkiem”.

W pokoju na szczęście nie panuje całkowita ciemność. Nad drzwiami znajduje się niewielka szybka, przez którą wpada słabe światło z półpiętra. Lily wyjaśniła, że kilkoro mieszkańców cierpi na bezsenność i ma w nocy koszmary, dlatego na półpiętrze zainstalowano światelko, żeby się nie bali, kiedy nocą muszą wstać.

Rano wraca Caroline, właścicielka domu, i Sarah się denerwuje. Musi ją zapytać, czy może tu zostać na jakiś czas. Nieznośna jest myśl, że miałyby wrócić do matki, nie po tym wszystkim, czego się dowiedziała od Lily. Dostała od mamy kolejne wiadomości, w których błaga ją o powrót do domu, ale odpowiedzi Sarah były szorstkie i krótkie. Pisała jedynie, że nic jej nie jest i że zatrzymała się u Lily.

Mimo wszystko jest rozdarta – podobnie jak Lily czuje ulgę, że jej ojciec nie jest zamieszany w zaginięcie Anny, ale to ulga tymczasowa, nie stała. Ona i Lily w końcu będą musiały coś zrobić w kwestii ojca. Nie mogą udawać, że przeszłość nie miała miejsca. A jeśli obierze za cel inną dziewczynkę? Nie będzie to częściowo ich winą?

Sarah nie może uwierzyć, że ich matka zlekceważyła Lily, nie zapewniła jej wsparcia. Zaciska mocno powieki, kiedy dociera do niej, że sama powinna była coś zrobić, bardziej się postarać, aby dotrzeć do siostry, a nie obwiniać ją za to, że porzuciła rodzinę.

Jak najciszej przekręca się na plecy i próbuje uspokoić swoje myśli. W rogu pokoju stoi manekin zrobiony zapewne z drzewa bambusowego, na którym Lily wiesza szaliki i patchworkowe poncho. Za dnia go podziwiała – bardzo w stylu

boho – ale w półmroku wygląda złowieszczo, jak pozbawiony głowy człowiek, i Sarah mocno się koncentruje, żeby postrzegać te wszystkie rzeczy osobno, bo wtedy nie wydają się takie groźne. Szalik. Szalik. Poncho. To tylko ubrania, Sarah.

Niewygodnie jej już na plecach, więc przekręca się na bok i wbija wzrok w wiszący na drzwiach szlafrok. Jest tak długi, że jego skraj leży na podłodze. Trzeba przesunąć haczyk nieco wyżej. Tak. Parę centymetrów i szlafrok nie będzie zakleszczał się pod drzwiami, kiedy się je otwiera.

I nagle konsternacja. Światło słoneczne. Dźwięk rozsuwanych zasłon. Brzęk szklanek. Odległe głosy. Jakimś cudem zasnęła. Nie może w to uwierzyć. Przy łóżku stoi Lily z drewnianą tacą z dwoma ładnymi kubkami i talerzem z czymś prostokątnym i dziwnie zielonym.

– Tosty z awokado. Żadnych wykrętów. Naprawdę musisz dzisiaj coś zjeść, Sarah.

Sarah ziewa i się przeciąga.

– Okej. O rany, nie mogę uwierzyć, że udało mi się zasnąć. – Bierze z talerza jednego tosta. – Zjem, jeśli ty zjesz drugiego.

Jej siostra mruży oczy, po czym częstuje się tostem i siada na podłodze, odsuwając materac.

– Naprawdę nie sądziłam, że zasnę. Ostatnie, co pamiętam, to że jest trzecia w nocy. – Znowu ziewnięcie. – Więc myślisz, że Caroline pozwoli mi tu trochę pomieszkać? Mogę poszukać sobie pracy w kawiarni albo gdzieś indziej.

– Trudno powiedzieć. Zapytam. Ale tylko na lato. Musisz się skupić na maturze.

– Nie wiem, czy w ogóle mam do tego głowę.

– Proszę, nie mów tak. Dowiem się, czy możesz zostać, tylko jeśli mi obiecasz, że podejdziesz do egzaminów.

Sarah wzrusza ramionami. Tost okazuje się całkiem dobry. Zaskoczył ją pieprz w awokado. I cytryna. Wkłada do ust ostatni kawałek i podnosi z podłogi telefon. Całe mnóstwo wiadomości. Prostuje się, opiera o drewniany zagłówek i przebiega po nich wzrokiem.

„O Boże...”

Nie mieści jej się to wszystko w głowie. To nie Anna? Jak to możliwe? Co to za nowe szaleństwo? Ma wiadomości od Jenny, od Tima, od Paula i innych znajomych...

Włącza aplikację z wiadomościami i prosi Lily, aby ponownie pozwoliła jej skorzystać z laptopa.

– Twierdzą, że to nie Anna. Ta dziewczyna w mieszkaniu w Hiszpanii.

– Co takiego?

Mija kilka minut, nim w końcu laptop się uruchamia. Lily i Sarah siadają razem na skraju łóżka, stykając się ramionami, i słuchają, jak dziennikarz przed blokiem

w Hiszpanii potwierdza, że dramat wreszcie dobiegł końca. Karl został aresztowany i jest obecnie przesłuchiwany przez policję.

Potwierdzono, że młoda kobieta, którą rzekomo przetrzymywał jako zakładniczkę, to nie zaginiona Angielka, Anna Ballard. Zarówno Karl, jak i blondynka z mieszkania nie odnieśli obrażeń. Policja nie udziela na razie żadnych informacji.

– Nie Anna? – Lily jest blada. – To bez sensu.

Sarah zasłania usta dłonią. Czuje, jak drżą ramiona jej siostry.

– Wiesz, co to znaczy, Lily?

Jej siostra nachyla się, chowa twarz w dłoniach i zaczyna płakać. Sarah delikatnie gładzi ją po plecach.

– Tak mi przykro, skarbie. Wiem, że to okropne, Lily. Wiem, że tego nie chcesz, ale nie mamy teraz wyboru.

Lily nie przestaje płakać i Sarah nie ma pojęcia, w jaki sposób ją pocieszyć. Obie wiedzą, co muszą zrobić. Muszą iść na policję i opowiedzieć o ojcu. Nie mają wyboru. Sarah musi im wszystko powiedzieć.

W następnym tygodniu do kraju dociera fala upałów. W każdej prognozie pogody nawijają o szalejącym wyżu. Henry obserwuje to z milczącą wściekłością. Nie trzeba o tym trąbić na prawo i lewo, wystarczy wyrzeć przez okno. Tymczasem o jego córce zupełnie zapomniano. Jej imię nie pojawia się już na paskach informacyjnych. Zamiast tego lokalne wiadomości pełne są słupków z temperaturami, paplaniny o pobitych rekordach ciepła i tym, że do mody wracają wakacje we własnym kraju. Najlepszy sezon od lat. W całym Devon i Kornwalii widać opalone twarze.

W dzisiejszych wiadomościach pojawia się informacja o tym, że na wybrzeżu coraz częściej pojawiają się delfiny, a jakiś morski biolog twierdzi, że niedługo mogą pokazać się także rekiny. Globalne ocieplenie.

– Globalne ocieplenie, jasne. – Henry pakuje swoje ubrania do walizki, a w rogu sypialni cicho gra telewizor. Za każdym razem, kiedy wraca do domu po kolejne rzeczy, przeciąga to tak długo, jak się tylko da, licząc, że Barbara zmieni zdanie. Że zaparzy herbatę. Porozmawia z nim. Pozwoli mu zostać. Ale nie. Ona prosi go, aby się pospieszył. Żeby się wyrobił, nim Jenny wróci do domu. Ich starsza córka wybrała się gdzieś z Timem i Paulem. Barbara twierdzi, że obaj chłopcy zapewniają jej ogromne wsparcie.

„Znowu tkwimy w tym okropnym stanie zawieszenia – myśli Henry, zapinając walizkę. – Anna nadal jest uznawana za zaginioną. Wiadomości ekscytują się cholerną pogodą. A ja przebywam na wygnaniu”.

Na dole podejmuje jeszcze jedną próbę.

– Nie możemy przynajmniej porozmawiać, Barbaro? Spróbować jeszcze raz? Dla Jenny?

– Spróbować? Masz czelność prosić mnie, żebyśmy spróbowali? Po tym, jak niemal odstrzelasz sobie w stodole głowę, a potem się dowiaduję, że puszczałeś się na prawo i lewo. Zabawiałeś się z jakąś miejscową dziwką, podczas gdy nasza córka...

Henry nie ma pojęcia, w jaki sposób Barbara dowiedziała się o jego romansie. Nie wie na razie, o kogo chodzi, dzięki Bogu, ale w końcu na pewno doda dwa do dwóch. Podejrzewa, że to sprawka Cathy, choć ona zdecydowanie się tego wypiera. Od fiaska w Hiszpanii policjantka nie spędza już z nimi tak dużo czasu. Wpada co prawda codziennie, ale tylko na kawę i pogawędkę. Pewnie jest zażenowana tym, jaką farsą okazało się całe śledztwo.

Hiszpańskie „oblężenie” okazało się czymś zupełnie innym. Blondynka

w mieszkaniu z Karlem była jego nową dziewczyną. Razem upozorowali porwanie, żeby spróbować wynegocjować samochód i możliwość ucieczki. Improvizowali, kiedy po otrzymanym cynku policja się zjawiała, aby aresztować Karla.

Ballardom powiedziano, że Karl ma alibi na noc zaginięcia Anny. W tym samym budynku w Hiszpanii mieszkał także Antony. Obaj zostali zatrzymani. Obaj wypierają się udziału w zaginięciu Anny. Twierdzą, że po godzinie w klubie stracili zainteresowanie dziewczętami i nie mają pojęcia, co się z nimi stało. Razem ze znajomymi z klubu udali się na imprezę, zresztą taki od początku mieli plan. Te informacje zweryfikowano z zeznaniami świadków i materiałem zarejestrowanym przez kamery, wygląda na to, że mówią prawdę. Jak na razie zespołowi z metropolitarnej nie udało się znaleźć żadnych luk i nieścisłości, które sugerowałyby ich udział w zniknięciu Anny.

Mężczyźni twierdzą, że następnego ranka uciekli z kraju, bo bali się, że to oni staną się głównymi podejrzanymi. Sądzieli, że z marszu wrócą za kratki. Udało im się zdobyć fałszywe paszporty i drogą morską przedostali się do Francji. Policijni technicy sprawdzili mieszkanie, w którym odbywała się impreza. Nowe alibi cały czas jest sprawdzane. Ale jak na razie – kompletnie nic. Dziewczyna Karla, rzekoma zakładniczka, jest angielską kelnerką, którą sześć miesięcy wcześniej poznał w barze.

Ballardów zapewniono, że Karl i Antony niemal na pewno wrócą do więzienia za naruszenie warunków zwolnienia i za upozorowanie porwania. A związek ze sprawą Anny? Policja powoli odchodzi od traktowania ich jako podejrzanych. I nie ma żadnych innych tropów. Komisarz wrócił do Londynu i podobno pochłania go obecnie sprawa seryjnego zabójcy.

Co teraz? Henry nie przestaje zadawać tego pytania.

„Kontynuujemy śledztwo. Sprawa jest jak najbardziej w toku...”

Powoli dociera do niego, że spełni się jego najczarniejsza wizja. Nigdy nie odnajdą jego córki; nigdy się nie dowiedzą, co się stało. Nieznośna jest myśl, że tak będzie wyglądać ich przyszłość. Widzi to także w oczach Jenny. I swojej żony.

W tym koszmarnym stanie zawieszenia Barbara w końcu zgodziła się przyjmować antydepresanty, ale ich skutkiem ubocznym są poważne wahania nastroju. Według Jenny problemem jest to, że nie chce ich brać każdego dnia, a ta nieregularność sieje chaos w jej organizmie. Henry nigdy nie wie, w jakim zastanie ją nastroju: otępiałą i spokojną, z której oczu zniknął cały blask, czy szaleńczo sprzątającą cały dom i krzyczącą na niego, kiedy tylko próbuje się do niej odezwać.

– Powinnaś pójść znowu do lekarza, Barbaro.

– To już nie twoja sprawa, co powinnam, a czego nie, Henry.

Czuje ściskanie w żołądku. Powodem jest nie tylko poczucie winy, ale także głęboki, przemożny smutek.

– Wciąż cię kocham, Barbaro. – Kiedy wypowiada te słowa, za późno uświadamia sobie, że to prawda, i żałuje, że nie może cofnąć czasu i zmniejszyć rozdrażnienia, niezadowolenia ze swojego życia farmera, który przemianował się na kierownika kempingu.

– Ha! Szczęściara ze mnie, co?

– Nie zamierzam postawić kreski na tej rodzinie, Barbaro. Musimy myśleć o Jenny.

– Jakiej rodzinie, Henry? – wypluwa z siebie. – Może nie zauważyłeś, ale my już nie mamy rodziny. Anna odeszła, a ja nie wiem, czy kiedykolwiek do nas wróci. A o potrzebach Jenny więcej myślą Tim i Paul niż ty.

– To nie fair.

– Fair? Powiem ci, co jest nie fair. To, że nie masz nawet odwagi ani przyzwoitości, aby mi powiedzieć, z kim byłeś, kiedy zaginęła nasza córka.

Obok Henry’ego stoi Sammy. W jego postawie wyraźnie widać napięcie. Spuszczony ogon. Spuszczony wzrok.

– Och, spadaj, Henry. I zabierz ze sobą swojego psa.

– Będziemy w kontakcie.

– Nie mogę się doczekać.

Ciągnie za sobą walizkę do land rovera, udaje, że jest ciężka, kiedy wkłada ją na tylne siedzenie. Prawda jest taka, że zabiera na raz tylko po kilka rzeczy, żeby mieć pretekst do przyjazdu, nadal licząc, że Barbara zmieni zdanie. Choć coraz trudniej jest mu w to wierzyć.

Raz jeszcze omiata spojrzeniem trawnik przed domem, zamyka oczy i widzi robiącą gwiazdy Annę, a potem siedzącą i uśmiechającą się. Machającą do niego. Czuje, jak drgają mu palce – ma jej ochotę odmachać. W końcu zaciska mocno usta, otwiera oczy i jedzie wąską drogą w stronę lokali na wynajem – jednej z większych stodoł przerobionej na kompleks czterech apartamentów. W tej chwili Henry mieszka w jednym z nich. Ma wrażenie, że to tylko gra, a nie prawdziwe życie, także dlatego, że pozostałe trzy apartamenty oraz podwórko pełne są wczasowiczów, desek surfingowych, pianek, śmiechu i piasku.

Henry zanosí walizkę do smutnego, małego pokoju z neutralnymi ścianami, neutralną pościelą i panelami udającymi dębowe deski. Kiedy przerabiali stodołę, Barbara poświęciła dużo czasu na wyjaśnianie mu, że słowo klucz to „funkcjonalność”. Ważny jest także „zwrot inwestycji”. Wyposażenie musiało być neutralne, wytrzymałe i łatwe w utrzymaniu. Nieistotne pozostawały kwestie gustu czy osobistych upodobań, ale „zwrot inwestycji”. Wbija wzrok w „łatwą w utrzymaniu” podłogę i myśli o droższym, dębowym parkiecie na piętrze ich rodzinnego domu.

Kładzie się na łóżku i wpatruje w sufit. Myśli o swoim idealnym świecie.

Świecie, którego nadal próbuje się trzymać. Dzięki pogodzie siano zostało już ogarnięte. Owce odchowane i wypuszczone na pastwisko. Co dalej? Musi podjąć decyzję, czy zacząć orać położone wyżej pola z myślą o przyszłorocznych zbiorach. Czy w ogóle powinien zwracać tym sobie głowę? Czy ta zabawa w farmera będzie kontynuowana? Rozgląda się po pokoju. Niewielka sosnowa szafa. Komoda i stolik nocny. Wszystko aż za nowe. Zbyt pomarańczowe.

Myśli o Sammym zajmującym posłanie w „łatwej w utrzymaniu” kuchni. Biedny pies jest smutny i dezorientowany. „Co my tutaj robimy?”, pytają każdego dnia te bursztynowe oczy. Zamyka teraz swoje i liczy, że nadejdzie sen, ale rozlega się dźwięk dzwonka. Kolejne nowoczesne ustrojstwo. Piskliwe i wysokie, zupełnie inne niż stary dzwonek w domu.

„Kto, u licha...?”

Henry leży w bezruchu, mając nadzieję, że ten ktoś w końcu sobie pójdzie, ale piskliwy dźwięk się powtarza. A potem trzeci raz. I czwarty. W końcu wstaje i przez szybkę w drzwiach sprawdza, co to za intruz.

– O rety, Jenny. Jenny, wejź. Przepraszam. Nie sądziłem, że to możesz być ty.

Jego córka rozgląda się po zabałaganionym salonie połączonym z kuchnią. W zlewie leży sterta brudnych naczyń, bo Henry ciągle zapomina kupić tabletki do zmywarki. Na stole jego roboczy kombinezon, a na podłodze widać ślady błota.

Jenny podchodzi do lodówki i zagląda do środka. Wacha przeterminowane mleko i kręci głową. Oprócz niego w lodówce znajdują się tylko sklepowe kanapki, paczka kiełbasek i kromki z mięsem, zakupione w miejscowym sklepie.

– Dostyc tego. Nie mogę na to patrzeć. Jedziemy na zakupy, a potem zrobię kolację. Chodź.

– Nie, skarbie. Nie musisz tego robić. Daję sobie radę.

– Wcale nie. Idziemy. – Brzęczy kluczykami od swojego samochodu, wiekowej fiesty. Henry kupił go na spółkę dla dziewczynek. Jenny za pierwszym podejściem zdała egzamin na prawo jazdy, a Anna niedługo miała zapisać się na kurs. Henry bardzo się stara o tym nie myśleć. Planował szarpnąć się w międzyczasie na drugie auto, żeby każda miała swoje.

Godzinę później, po powrocie z miejscowego supermarketu, Henry przygląda się, jak jego córka otwiera po kolei wszystkie szafki w poszukiwaniu garnków i patelni, żeby ugotować spaghetti bolognese.

– Jestem leniwa i użyję sosu ze słoika, ale będzie dobre. Nie takie dobre, jak bolognese mamy, ale lepsze niż te kromki.

Podsmaża na patelni cebulę i czosnek, dodaje mięso, a na koniec sos. Wstyd mu za siebie i zastanawia się, kiedy jego córka nauczyła się gotować.

– Pewnie uważasz mnie za dinozaura, który nie umie nic upichcić.

– Wcześniej nie było takiej potrzeby, prawda?

Jenny wydaje się blada i Henry się zastanawia, jaki jest prawdziwy powód jej wizyty. Wyczuwa, że coś ją gryzie, ale nie naciska.

Kolacja okazuje się smaczna i Henry czuje jednocześnie wdzięczność i wyrzuty sumienia.

– Zapomniałam o parmezanie, tato.

– Nie szkodzi. Nie masz pojęcia, jak bardzo jestem ci wdzięczny. Nie powinno być tak, że to ty opiekujesz się mną.

– Więc to prawda? Miałaś romans? Mama nie chce mi wiele powiedzieć. Dużo czasu spędza w łóżku. Sypia w pokoju Anny, ubrana w jej stare bluzy.

– Och, kochanie, bardzo, ale to bardzo mi przykro, że na domiar złego musisz sobie z tym radzić sama. – Henry bierze głęboki oddech. Nie jest w stanie spojrzeć córce w oczy. – Okej, przyznaję się. Byłem idiotą i szczerze żałuję, to naprawdę nic nie znaczyło. Przysięgam. Kocham twoją mamę. Nie możesz jej winić za to, w jakim jest teraz stanie. Ma do tego prawo.

– Myślisz, że ci wybaczy? Pozwoli wrócić do domu? – Głos jej drży i Henry ledwie może to znieść. – Mam wrażenie, jakby wszystko się rozpadło.

Ujmuje dłoń córki. Wtedy ona zaczyna płakać i mówi coś, czego on nie rozumie.

– Właśnie dostałam straszną wiadomość od Sarah. Nadal przebywa u swojej siostry w Devon. I mówi... – Jenny podnosi wzrok na ojca, a po jej policzkach płyną łzy. – Sarah nie chce powiedzieć dlaczego. Nie podaje żadnych szczegółów. Ale według niej mamy prawo wiedzieć, że możliwe, iż policja w Londynie będzie przesłuchiwać jej ojca. W związku z Anną.

– Boba? Tatę Sarah, Boba?

– Tak.

– Ale dlaczego? Nie rozumiem.

– Ja też nie. To znaczy ciebie też przesłuchiwano. Może przesłuchują wszystkich ojców? Może tylko o to chodzi?

– Nie wiem. Bob? Ale dlaczego teraz? Bob nie mieszka tutaj już od kilku lat. Z tego, co mi wiadomo, nie utrzymywał nawet kontaktu z rodziną.

Na twarzy Henry'ego maluje się konsternacja. Prześlizguje się wzrokiem po podłodze. Kalosze. Pies w swoim koszu. Puste torby po zakupach. Wspomnienie Sarah i jej rodziców, kiedy była mała, podczas wiejskiego festynu. Sarah i Anna razem na huśtawce, nowe przyjaciółki, czworo rodziców prowadzących niezobowiązującą rozmowę. Bob – wysoki i zdystansowany. Przystojny. Nieco zbyt pewny siebie. Od samego początku Henry za nim nie przepadał.

A potem przypomina mu się coś jeszcze: Bob zawsze robił zdjęcia. Mnóstwo zdjęć dzieci. Ich rodzina nie była zamożna, ale Bob miał drogi aparat i kilka obiektywów. Porządną torbę na aparat. Według Barbary miło z jego strony, że chciał tak uwieczniać wspomnienia, ale Henry'emu wydawało się to nieco dziwne.

W sumie się cieszył, kiedy Bob wyjechał ze wsi.

„Nie. To niemożliwe”.

Henry czuje w żołądku nowe, dziwne ściskanie.

– Muszę zadzwonić do Melanie Sanders. Tej miłej policjantki. Wróciła do pracy. Ona mi powie, co się dzieje. – Wstaje i jedną ręką wyjmuje z kieszeni telefon, a drugą przeczesuje włosy. – A ty musisz raz jeszcze zadzwonić do Sarah. Proszę, Jenny. Wyciągnij z niej, o co chodzi. Zadzwonź teraz.

Ale Jenny się nie rusza. Patrzy jedynie na niego, a z jej brody skapują łzy.

– To nie wszystko, tato.

OBSERWACJA...

Czwartek

Nie jest dobrze. Ani trochę.

Nie podoba mi się to zamieszanie. Jej też nie...

Muszę myśleć teraz bardzo, bardzo intensywnie. Nie mogę dać się otumanić.

Najważniejsze jednak jest to, że muszę powstrzymać tych wszystkich przeklętych ludzi, którzy sądzą, że ma to związek z nimi, gdy tymczasem jest dokładnie na odwrót...

To nie ich sprawa.

Gdyby zostawili nas w spokoju, wszystko byłoby dobrze. Ale ludzie są tacy głupi. Więc teraz muszę zrobić coś, żeby położyć temu kres.

Nie mam wyboru.

Ich wina, nie moja.

Nie mam wyboru...

W ciągu minionego roku bardzo często zastanawiałam się, co czyni ludzi takimi, a nie innymi. Nie chodzi mi tylko o to, co jest ważniejsze, geny czy wychowanie. Mam na myśli całą naszą osobowość i decyzje, które podejmujemy. Wszystkie myśli, które kotłują się w naszych głowach, nawet kiedy tego nie chcemy. To, jak sobie radzimy z kwestiami sumienia i odpowiedzialnością. Dlaczego obwiniam siebie, kiedy inni wcale tego nie robią.

Tony twierdzi, że mój największy problem jest taki, że za dużo myślę, biorę sobie cały świat na ramiona. Według niego muszę częściej odpuszczać i tak się wszystkim nie przejmować. Czasem się zastanawiam, czy gdybym się tego nauczyła, byłabym innym człowiekiem. Gdybym przestała analizować i skupiła się na jednej rzeczy naraz. Ale mój mózg tak po prostu nie działa. Nigdy nie działał. Zawsze myślę, myślę, myślę. Milion myśli rywalizuje ze sobą o moją uwagę.

Na przykład dzisiaj. Jest mi za gorąco, tak jak wszystkim, ale trochę się krępuję, bo założyłam bluzkę z krótkim rękawem, a moje ramiona nie wyglądają już tak jak kiedyś. Kiedy rozpakowuję kwiaty, co rusz zerkam w lustro, które wisi na ścianie, żebym mogła sprawdzać bukiety ślubne. Jak wyglądają, kiedy trzyma się je na wysokości pasa. Ale teraz myślę nie tylko o kwiatach i dokuczliwym upale, ale także o swoich grubych ramionach – właściwie to te myśli przemykają przez moją głowę w tym samym czasie. Powinnam zamieścić na blogu wpis o tym, jak przy takiej temperaturze pomóc kwiatom dłużej zachować świeżość. Tak. Ludzie lubią wskazówki. Muszę wykorzystać prasę i kwiaty, które zwiędły przez to gorąco, a potem zrobić ładne przywieszki i kartki na wystawę. Naprawdę nie podoba mi się, jak wyglądają moje ramiona, i żałuję, że nie założyłam koszuli. Cieszę się, że Luke znalazł dwie osoby, które mogłyby zająć jego miejsce. Najpierw je prześwietli, a potem mi je przedstawi. Szczerze mówiąc, wolałabym sama się zająć kwestią zatrudnienia nowego pracownika, ale jak na razie nikt nie odpowiedział na moje ogłoszenie wywieszzone w oknie. Zresztą mam wrażenie, że Luke się cieszy, kiedy może mi pomóc, więc mu na to pozwalam.

Myślę także o tym, że smuci mnie kolejny wyjazd Tony'ego, że musimy znaleźć kogoś do naprawy bojlera w domu, że powinnam przygotować kartkę na szybę z rekomendacją kwiatów, które dobrze sobie radzą w taką pogodę.

I że ta sprawa z Anną to jednak nie moja wina. Ale mimo wszystko nie potrafię o tym zapomnieć. Nie i już.

Rozumiecie, o czym mówię? Tyle myśli, wszystkie naraz. Nic dziwnego, że tak często boli mnie głowa.

Zamówiłam w tym tygodniu więcej eustom i róż, bo oba gatunki ładnie razem wyglądają, poza tym nie zagrażają im wysokie temperatury. Są wytrzymałe, stosunkowo niedrogie i bardzo stylowe. Muszę pamiętać, aby o tym także napisać na blogu. Osobiście najbardziej lubię białe kwiaty, ale eustomy są przepiękne fioletowe, więc zamówiłam i takie, i takie. Większość wstawię do chłodziarki, a kilka dam na wystawę, żeby zaprezentować ich uniwersalność. W wazonach o różnej wysokości wyglądają zupełnie inaczej.

Staram się nie zawracać głowy Matthew, nie tylko dlatego, że jego rodzina jest już w domu, ale także dlatego, że moja rola w tej sprawie, formalnie rzecz biorąc, dobiegła końca.

Nadal trudno jest mi w to uwierzyć. Karl i Antony zostali oczyszczeni z zarzutów, jeśli chodzi o zaginięcie Anny. Było to szokiem dla wszystkich, w szczególności dla mnie. Matthew twierdzi, że coś takiego często ma miejsce w szeroko zakrojonych śledztwach, nagły i niespodziewany zwrot, dlatego zawsze trzeba mieć otwarty umysł.

Tony z kolei postrzega to w prostszy sposób; według niego muszę teraz zostawić całą sprawę za sobą. „Widzisz? To jednak nie twoja wina. W ogóle tak nie było, Ello”.

Problem w tym, że wciąż o niej myślę. O Annie. O tym pięknym zdjęciu z Facebooka, na którym wiatr rozwiewa jej włosy. Gdzie ona się podziewa? Co się z nią stało? Martwię się, jeszcze bardziej niż do tej pory, że nigdy się tego nie dowiemy.

O rety – już trzecia, a skoro uporałam się ze wszystkim, co najpilniejsze, postanawiam podjechać do domu i założyć cienką koszulę. Wiem, że to niemądre... ale jesteśmy tacy, jacy jesteśmy.

Kiedy wjeżdżam na podjazd, dostrzegam, że zasłony na górze pozostają zaciągnięte. Musiałam o nich zapomnieć, kiedy wychodziłam. Rośliny w ogrodzie radzą sobie w tym upale zaskakująco dobrze. Niektórzy unoszą brwi, kiedy wieczorami rozstawiam zraszacz, ale nie ma takiego zakazu, więc nie rozumiem, czemu miałabym tego nie robić. To my płacimy za wodę.

Na wycieraczkę leży kilka ulotek reklamowych. Wolalabym ich nie dostawać. Marnowanie papieru. Zarejestrowałam się nawet w systemie, który rzekomo blokuje otrzymywanie reklam. Ich ilość uległa zmniejszeniu, ale część nadal jest dostarczana, działa mi to na nerwy.

Po wejściu do domu widzę, że na małej szafce pod oknem Luke położył stosik dzisiejszej poczty. Przeglądam ją. Rachunek za telefon. Według kogoś możemy być zainteresowani nowymi oknami. Nie, dziękuję. Pismo z banku – pewnie z wykazem odsetek za nasz rachunek oszczędnościowy. Znowu mniej. A potem ją dostrzegam. Przerażającą, znajomą, ciemną kopertę, tanią, cienką i paskudną,

z jasną naklejką adresową.

Opieram się o ścianę, zupełnie tego nie rozumiem. Przecież to już koniec. Nie zrobiłam niczego złego. Karl i Antony nie byli zamieszani w zaginięcie Anny, a więc ja także nie.

Serce wali mi jak młotem. Nieruchomieję, przypomniawszy sobie o instrukcjach Matthew. Wchodzę do kuchni i wydaję małe pudełko z rękawiczkami i woreczkami na dowody, które dostarczyła mi policja. Przez chwilę myślę, żeby włożyć kopertę do środka, bez otwierania, ale nie potrafię tego zrobić. Muszę się dowiedzieć, dlaczego ktoś mi to robi. To niemożliwe, żeby nie słyszał wiadomości, że to jednak nie Karl i Antony. Czemu więc nadal to robi? Dlaczego?

Zakładam rękawiczki i otwieram kopertę. Słyszę swój oddech. Rozglądam się po korytarzu, sprawdzam, czy drzwi są zaryglowane.

Kartka jest czarna, tak jak poprzednio. Litery wycięte z gazet. Naklejone nierówno.

OBSERWUJĘ CIĘ.

Wpatruję się w te słowa i wydaję z torby komórkę. Próbując uspokoić oddech, wybieram numer Matthew.

Sarah okropnie się boi tego spotkania. Siedzi przy stole w kuchni i stuka paznokciami o kubek z kawą.

Ostatnie dni – tyle godzin na policji – okazały się potwornie wycieńczające. Caroline, podpora tego domu, schroniska, komuny czy jak tam nazwać to miejsce, jest serdeczna, wspierająca i była dla Lily prawdziwą opoką w zdecydowanie większym stopniu niż Sarah, która wcześniej nie sądziła, iż pójście na policję będzie przeżyciem aż tak traumatycznym.

Spodziewała się przełomu – tego, że policja aresztuje ich ojca i szybko uzyska odpowiedzi w kwestii Anny. Ale nie można go namierzyć...

Sądziła także, że ona i Lily zostaną przesłuchane razem i że będą mogły wspierać się nawzajem, siostra obok siostry, ale zbyt późno się dowiedziała, że to zabronione. Osobne gromadzenie dowodów, żeby jeden świadek nie sugerował czegoś drugiemu. Osobne historie opowiedziane w specjalnym, niewielkim pomieszczeniu z miękką, zieloną sofą i koszem zabawek w kącie. Sarah przeszedł dreszcz, kiedy sobie uświadomiła, że te zabawki są przeznaczone dla małych dzieci, które się przesłuchuje w równie potwornych sprawach.

Pierwsi byli funkcjonariusze prowadzący śledztwo w sprawie zaginięcia Anny. Sarah musiała powiedzieć im prawdę. O seksie w pociągu i swojej obsesji na punkcie Antony'ego. O kłótni w klubie, o tym, jak kazała Annie nie zachowywać się jak małe dziecko i że mniej więcej o wpół do pierwszej w nocy straciła z nią kontakt. Że nie zgodziła się jechać z Anną taksówką do hotelu. Że zakładała, iż po powrocie zastanie przyjaciółkę śpiącą w hotelowym pokoju...

Następna w kolejności ohydna prawda o tacie. O tym, co zrobił, kiedy dostała okres. O esemesie, który przysłał jej tego wieczoru, kiedy zaginęła Anna, prosił, aby spotkały się z nim w barze w jego hotelu. O powodzie, dla którego Sarah się martwi, że mógł mieć jednak swój udział w zaginięciu Anny.

Potem przesłuchano Lily. Sarah patrzyła, jak jej siostra wchodzi do pokoju z zieloną sofą. Ona i Caroline czekały na korytarzu. Wszyscy byli aż za uprzejmi. Herbata? Ciastka? Propozycje czasopism i znowu czegoś do picia. Ale to wszystko trwało, i trwało, i trwało.

– Sarah, dziękuję, że zgodziłaś się na tę rozmowę. Wspólnie musimy podjąć kilka decyzji. – Caroline trzyma w rękach kubek z zieloną herbatą.

– Znaleziono już tatę?

Caroline kręci przecząco głową.

– A przynajmniej nic nam o tym nie wiadomo. – Sarah nie potrafi przestać się

wpatrywać w bransoletki na nadgarstkach Caroline. Nietrudno odgadnąć, dlaczego to ona zarządza ich domem. – Rozmawiałam z opieką społeczną.

Tego się nie spodziewała. Zalewa ją fala przerażenia. Nie miała pojęcia, że to miejsce jest powiązane z opieką społeczną. Sądziła, że to coś niezależnego. Że stąd te dziwne zasady. Własny sposób radzenia sobie z problemami. Brak nacisków na to, aby pójść na policję, chyba że samemu podjęło się taką decyzję.

– To z powodu twojego wieku, Sarah – dodaje Caroline, jakby czytała jej w myślach. – I tego, że twoja matka chce, abyś wróciła do domu. To wszystko komplikuje.

– Nie chcę się spotykać z mamą. Mogę zostać tutaj? Proszę. Z Lily.

Caroline kiwa głową, a Sarah czuje taką ulgę, że z jej oczu zaczynają płynąć łzy. Nie słyszy wyraźnie wszystkiego, co mówi Caroline: o tym, że będzie chodziła do tutejszej szkoły. O różnych protokołach i zasadach. Że ona się wszystkim zajmie.

Caroline ujmuje jej dłonie.

– Lily nadal boryka się z anoreksją i bardzo się martwię, jak odbije się na niej proces waszego taty, o ile oczywiście do niego dojdzie. Jeśli ma się to udać, musisz postępować zgodnie z zasadami obowiązującymi w moim domu. Nie rozmawiać z ludźmi o tym, dlaczego tu jesteśmy i tak dalej.

– Będę musiała nosić bransoletki i otrzymam nowe imię? – Sarah nie ma pojęcia, dlaczego od razu o to pyta. Wydaje jej się to teraz niegrzeczne i niewdzięczne. – Przepraszam. Nie chciałam, aby tak to zabrzmiało.

Ale Caroline się śmieje, dzięki czemu Sarah się rozluźnia. Uczucie ulgi dociera aż do opuszków jej palców. Robi jej się gorąco w policzki.

– Uważasz to wszystko za trochę szurnięte, co?

– Trochę.

– Nie ma ciśnienia, ale możliwe, że jedno i drugie uznasz za pomocne. Bransoletki są świetne, jeśli chodzi o uwalnianie napięcia. Można się czymś bawić, kiedy jest się poruszonym. Wprowadziłam je, żeby pomagać ludziom, którzy się okaleczają.

Sarah myśli o śladach na rękach siostry, jakie widziała u niej przed jej wyjazdem z domu.

– A co z imionami? Czemu Lily to teraz Saffron?

– Bo zjawiała się tutaj jako osoba, która pragnęła być niewidzialna. Chciała zniknąć. Dlatego przestała jeść. A potem pewnego dnia, kiedy zobaczyłam, jak maluje, wydała mi się zupełnie inną osobą. Tyle energii i żywych barw. Sugestywnych. Działających na wyobraźnię. Godnych zapamiętania. Poczulałam, że to jest właśnie osoba, którą powinna być.

Sarah nie potrafi powstrzymać łez, a Caroline delikatnie ściska jej dłonie.

– Nad tyłoma rzeczami trzeba popracować. Twoja matka pragnie kontaktu

i będziemy musiały postępować bardzo ostrożnie. Ale jeśli przyjmujesz moją propozycję i jeśli chciałaś mieć nowe imię... – Caroline po raz kolejny zdaje się czytać w jej myślach. – ...sugerowałabym Dawn****. Przemyśl to na spokojnie.

– Dlaczego Dawn?

– Bo nie bardzo lubisz samą siebie, Sarah. A żadna siedemnastoletnia dziewczyna nie powinna siebie nienawidzić. Zwłaszcza kiedy doświadczyła tego co ty. Potrzebujesz nowego początku, skarbie. Moje zdanie jest takie, że potrzebujesz wschodu słońca.

Trendy to doprawdy dziwna sprawa. Do mody wróciła zieleń. Nagle wszyscy chcą ją mieć w swoich bukietach. Wszystkie restauracje i panny młode. Zielone bieżniki na stół. Zielone łuki w drzwiach. Wszędzie soczyście zielone liście. Przypomina to trochę modę na imiona dla dzieci. Nagle wokół same Amelie, a wszyscy proszą o zieleń.

Mnie to nie przeszkadza. Zmiana jest czymś pozytywnym, a ja lubię zbierać liście w swoim ogrodzie i w okolicy. Zawsze miałam u siebie mnóstwo funkcji i przekonałam się, że gałązki wawrzynu świetnie się komponują w większych bukietach. Dobrze jest robić coś nowego i jeśli mam być szczerą, to potrzebuję czegoś, na czym mogę się skupić. Nie znoszę tego nowego stanu zawieszenia. Od nadejścia tamtej kartki minęły dwa tygodnie, a nadal brak jakiegokolwiek postępu. Od razu przekazałam ją Matthew, który z kolei dał ją swojej koleżance, Melanie Sanders. Pobrali odciski palców, sprawdzili pieczęć i znaczek, bla bla bla. Nic. Nadawca musiał mieć rękawiczki. Okazuje się, że hejterzy bywają nie tylko okrutni, ale i sprytni.

W tej akurat chwili finalizuję na zapleczu dzisiejsze zamówienia, a Luke pełni straż z przodu. Wygląda o wiele lepiej. Później, kiedy pojedę z Matthew do Kornwalii, mają do niego zajrzeć dwie osoby zainteresowane pracą w kwiaciarni. On ich sprawdzi jako pierwszy. Do mnie trafią dopiero, gdy zaakceptują godziny pracy. Zgłosiło się parę osób, zobaczyły ogłoszenie w oknie, ale przeraziły się wczesnej pory. Wygląda na to, że nastolatki lubią pospać w weekend.

Przygotowuję sobie wszystko tak jak zawsze – wstążki, taśma, szpilki – po czym zabieram się za układanie bukietu. Róże i lewkonie w odcieniach różu i fioletu, do tego odrobina rozmarynu dla zapachu. To bukiet z okazji czterdziestych urodzin, więc dodaję kilka kwiatów ekstra, gdyż doskonale pamiętam własną czterdziestkę. Podcinam końce, wkładam go do wazonu i oglądam ze wszystkich stron, po czym dokładam wstążkę i owijam w papier.

Umieszczam bukiet w chłodziarce i przypominam Luke'owi, że po ten bukiet później wpadnie mąż jubilatki. Już za niego zapłacił, informacja o tym widnieje w zeszycie z zamówieniami.

Zerkam na zegarek, a Luke każe mi się nie martwić kwiaciarnią. Obiecuje, że wszystkim się zajmie, i przypomina o swoim spotkaniu z jego potencjalnymi następcami. Najpierw z dziewczyną, potem z chłopakiem. Wygląda na to, że oboje brali udział w wyzwaniu Ten Tors w tym samym czasie co on, więc można na nich liczyć. Są przyzwyczajeni do wczesnego wstawania. Jeśli uzna, że są w porządku,

na półce pod ladą zostawi ich CV, a ja zdecyduję, czy chcę ich poznać, czy też dam kolejne ogłoszenie. Nie chciałby pracować dłużej niż do Bożego Narodzenia, żeby skupić się na nauce.

– Może tak być?

Uśmiecham się. Cieszę się, że Luke robi to dla mnie. Że lepiej już sypia i dobrze sobie radzi po powrocie do szkoły. To był naprawdę trudny czas.

A potem dostaję esemesa. Matthew czeka na mnie w swoim samochodzie. Nie chcę, żeby Luke się martwił; mówię mu, że jadę do Kornwalii na spotkanie z potencjalnym klientem i że wrócę późnym popołudniem. Całuję syna w czoło, a on się krzywi, więc mrugam do niego i przypominam, aby pisał od razu, gdy coś go zaniepokoi. Wyjaśniam, że w Kornwalii bywa kiepski zasięg, więc niech nie panikuje, jeśli od razu mu nie odpiszę.

Wsiadam do samochodu Matthew i uśmiecham się na widok dowodów na jego zupełnie inne, nowe życie. Cienie pod oczami, na tylnej kanapie płyta z kołysankami, kilka śliniaków, różowy kocyk. Na półce nad tylnym siedzeniem żółta, pluszowa kaczka. Naklejka „Dziecko w aucie”. Matthew mówi, że to jego żona na nią nalegała.

– Na pewno chcesz to zrobić, Ello? – Ogląda się i wycofuje z miejsca parkingowego.

Myślę o tych światłach o poranku, które tak mnie straszyły jakiś czas temu. Tamten samochód stał właśnie w tym miejscu. Najpewniej ktoś z mieszkań nad sklepami. Zapinam pasy i staram się odsunąć od siebie te myśli. Wystarczy, Ello.

– Trochę się denerwuję, ale chcę jechać.

Naprawdę nie wiedziałam, co myśleć, kiedy Matthew do mnie zadzwonił. To był szok. Skontaktowała się z nim pani Ballard. Początkowo sądziłam, że to może coś w rodzaju oficjalnej skargi za to, że go wtedy do niej wysłałam. Kiedy podejrzewałam, że to ona nadaje kartki. Ale nie. To coś bardziej zaskakującego.

Zaczyna padać i Matthew przeprosza. Jego wycieraczki irytująco skrzypią o szybę. Mówi, że wymiana piór znajduje się na długiej liście spraw, których może nie załatwić, dopóki jego córka nie pójdzie na studia. Śmieję się. On także.

– Będzie łatwiej – pocieszam go – kiedy zaczniesz przesypiać noc.

– Och, ja nie narzekam. – Ma tę minę, którą tak lubię. Jest rozluźniony, otwarty, życzliwy. Patrzę na jego profil i po raz kolejny zastanawiam się nad powodem, dla którego odszedł z policji. Zawsze, kiedy poruszam ten temat, unika odpowiedzi.

Podróż mija nam szybko i zatrzymujemy się tylko po to, aby kupić kawę na wynos. Głównie słuchamy radia i dopiero kiedy do celu podróży zostaje nam jakieś dziesięć minut, Matthew dzieli się ze mną tym, co wie.

Najnowsze wiadomości z policji metropolitarnej nie są dobre. Ojciec Sarah został oczyszczony z podejrzeń w związku z zaginięciem Anny. Odnaleziono go

gdzieś w Norwich. Nie znam szczegółów, prawdę mówiąc, w ogóle nie powinnam o tym wiedzieć, ale Matthew nieoficjalnie wyjaśnia, że żelazne alibi zapewniło mu nagranie z kamer hotelu, w którym się zatrzymał tej nocy, kiedy zniknęła Anna, oraz billing jego komórki. Przebywał wtedy w swoim pokoju. Nie dało się tego zakwestionować. Kamery na korytarzu zarejestrowały, że wyszedł, tylko kiedy zadzwoniła do niego mama Sarah.

Pani Ballard chce teraz wynająć Matthew, by zajął się sprawą Anny. Nalega, by sprawdził, czy policja niczego nie przeoczyła. Według niej akta trafiły już na półkę nierozwiązanych dochodzeń. Brak jakichkolwiek podejrzanych, więc dyskretnie zredukowano liczbę funkcjonariuszy odpowiedzialnych za śledztwo. Matthew, równie zaskoczony telefonem od pani Ballard, mówi, że dał jej jasno do zrozumienia, iż prawdopodobieństwo, że mógłby coś zdziałać w pojedynkę, jest raczej znikome. Współczuje tej rodzinie i chce przynajmniej wysłuchać, co matka Anny ma do powiedzenia. Jednak jako że ja pierwsza zleciłam mu zajęcie się sprawą kartek, istnieje potencjalny konflikt interesów i dlatego poprosił, abym mu towarzyszyła.

– Jestem niemal pewny, że to nie pani Ballard stoi za tymi przesyłkami, ale muszę zobaczyć was razem, żeby zyskać stuprocentową pewność. Przepraszam, że wykorzystuję cię jako królika doświadczalnego, Ello. – Powiedział mi to już przez telefon i naprawdę go rozumiem. – Po prostu nie mogę pracować dla was obu. Ale martwię się, że sprawa Anny rzeczywiście może już nigdy nie zostać rozwiązana. To bardzo smutne dla rodziny. Bardzo trudne. – Zerka na mnie. – Ale także przykre dla ciebie, Ello. Myślę przede wszystkim o twoich uczuciach.

– Wiem o tym. I nie sądzę, abym zaznała spokoju, dopóki nie dowiemy się, co się z nią stało. – Przez chwilę milczę. – Jak sądzisz, istnieje szansa na to, że Anna jeszcze żyje?

– Bardzo mała, ale pani Ballard nie chce tego słyszeć. Tak już jest z matkami. – Ponownie zerka na mnie, a potem na dziecięce drobiazgi. – Dopiero teraz zaczynam to rozumieć.

Przez jakiś czas jedziemy w milczeniu. Spoglądam na niego raz, drugi, ściągam brwi.

– Wybacz, Matthew, ale raz jeszcze cię o to zapytam. Dlaczego odszedłeś z policji? – Uważam, że to prawdziwa strata; wydaje się naprawdę dobry w swoim fachu. Taki przyzwoity...

Nie odrywa wzroku od przedniej szyby. Pojawia się znak sygnalizujący zjazd na farmę.

– Poczucie winy – mówi w końcu cicho. Odwraca się w moją stronę, a ja mrużę oczy. – Była taka sprawa. Zginęło dziecko. Formalnie rzecz biorąc, to nie moja wina, ale...

Widzę, jak zmienia się wyraz jego oczu, i żałuję, że zadałam to pytanie. Bawię się pasami, a Matthew odkasłuje i wrzuca kierunkowskaz. Teraz rozumiem.

– Okej, jesteśmy. Gotowa, Ello?

Kiwam głową i czuję ściskanie w żołądku, kiedy jedziemy tą dziwną, wąską drogą w stronę domu Ballardów. Myślę o swojej poprzedniej wizycie. Przepychance w drzwiach. Matthew twierdzi, że musi się także upewnić, czy pani Ballard w końcu się pogodziła z moim udziałem w spotkaniu.

Kiedy gospodyni otwiera nam drzwi, na jej twarzy maluje się napięcie. Jest chudsza i wydaje się starsza, tak bardzo mi jej żal.

– Nie wyobrażacie sobie, jak bardzo jestem wdzięczna, że przyjechaliście. Oboje. – Początkowo omija mnie wzrokiem. Widzę, że i Matthew to dostrzega.

Proponuje kawę i choć żadnemu z nas nie chce się pić, traktujemy to jako jej sposób na przełamanie lodów.

Podziwiam kuchnię. Dom. Dużą kuchenkę AGA. Czuję zażenowanie moimi próbami prowadzenia luźnej rozmowy. Przyglądam się zdjęciom na lodówce. Anna jako mała dziewczynka i jej charakterystyczne jasne włosy. Na większości zdjęć towarzyszy jej nieco starsza dziewczynka. Pewnie siostra. Kilka fotografii z przyjaciółmi. Anna siedząca w nadmuchiwym basenie. Anna robiąca gwiazdę na trawniku.

Matthew przystępuje do rozmowy służbowej. Pyta otwarcie, czy pani Ballard rozumie, iż on nadal prowadzi dla mnie prywatne dochodzenie co do anonimów, które otrzymuję. Czy jej to nie przeszkadza?

– Wiem od Elli, że w przeszłości była pani pod jej kwaciarnią. I że bardzo się pani zdenerwowała, kiedy Ella tu przyjechała.

– To moja wina – mówię szybko.

– Nie. – Pani Ballard udaje się z tacą do salonu. To piękny pokój z drzwiami otwierającymi się na ogród. W rogu stoi imponujące pianino.

– Nie byłam sobą, Ello. Przepraszam. Potrafię zrozumieć, dlaczego mogłaś uznać, że to ja wysyłam te kartki, ale przysięgam, nie mam z tym nic wspólnego. Przyjechałam do kwaciarni, bo wtedy rzeczywiście obwiniałam ciebie. To nie było fair, nie wiedziałam, w jaki sposób dać ujście gniewowi.

– Naprawdę rozumiem.

Matthew przez chwilę mówi o trudnościach wiążących się z tego typu śledztwem. Opowiada o swoich kontaktach w policji, o frustracji z powodu braku nowych tropów. Potwierdza, że ojciec Sarah, który pozostaje w areszcie z powodu innych zarzutów, na noc zaginięcia Anny ma żelazne alibi. Pani Ballard wyjaśnia, że wie o tym od Sarah.

– Tak więc nie ma żadnych podejrzanych. – Pani Ballard odstawia swój kubek. – Dlatego potrzebna mi twoja pomoc, Matthew. Mam trochę oszczędności. –

Straszna jest ta desperacja w jej głosie.

Matthew mówi, że musi wszystko przemyśleć i że odezwie się do niej.

Znajdujemy się w impasie, więc podziwiam pianino, wspominam, że kiedyś uczyłam się gry na tym instrumencie, ale jeszcze jako nastolatka dałam sobie spokój, teraz tego żałuję. Podchodzę, aby przyjrzeć mu się z bliska, i moją uwagę przyciągają stojące na pianinie zdjęcia w pięknych ramkach. Ponownie Anna z siostrą, jako druhny. Zdjęcie całej rodziny.

I nagle szok. Mam wrażenie, jakby ktoś mnie kopnął w brzuch. Dezorientacja tak wielka, że aż mi się kręci w głowie.

– Kto to? – Biorę do ręki fotografię i odwracam się w stronę Matthew i Barbary Ballard. W głowie pojawia mi się obraz z przeszłości. W ogóle tego nie rozumiem...

– To dziewczynki z przyjacielem, kiedy brały udział w Ten Tors. – W głosie pani Ballard słychać nieufność.

– Ale on był w pociągu.

– Słucham?

– Ten chłopak... ten chłopak z kręconymi włosami. Tamtego dnia widziałam go w pociągu do Londynu.

– Przykro mi, ale coś ci się musiało pomylić. Nie... nie. To niemożliwe. On wtedy wyjechał.

– Mówię wam, że to on. – Ponownie przyglądam się zdjęciu, a potem przenoszę wzrok na Matthew. Wstaje i podchodzi do mnie. – To był na pewno on, Matthew. Prawie oblałam go kawą...

To było po tamtej okropnej scenie, kiedy przechodziłam obok ubikacji. „Sarah, och Sarah...” Kiedy postanowiłam przenieść się na drugi koniec pociągu, a on akurat wjechał w zakręt. Straciłam równowagę, kiedy szłam korytarzem.

„Przepraszam”. Luźna pokrywka na mojej kawie.

„Nic się nie stało. Naprawdę. Proszę się nie przejmować”.

Spojrzał na mnie. To na pewno on... Te włosy. Te oczy.

– Kto to jest, pani Ballard? – Matthew bierze ode mnie zdjęcie i podchodzi z nim do niej.

LIPIEC 2015

Jest zaszokowana i wstrząśnięta, ale także zła na Sarah. Udaje się za nią, żeby spróbować raz jeszcze, przeciska się przez tłum pijących i tańczących ludzi. Nagle w klubie robi się zbyt ciemno. Zbyt głośno. Zbyt obco. Wszędzie czuć pot i alkohol. Kręci jej się w głowie.

– Obiecałyśmy sobie, że będziemy się trzymać razem. – Chwyta Sarah za ramię, ale słyszy, że lekko płacze jej się język. Sarah także jest wstawiona. – Naprawdę musimy już iść. Nie czuję się bezpiecznie. Błagam cię. Proszę, Sarah...

– Och, na litość boską, nie zachowuj się jak małe dziecko, Anno. Cóż za dramatyzm. – Sarah ponownie strząsa jej dłoń. – Już ci mówiłam, jeśli chcesz jechać, to jedź. Ja jeszcze nie jestem gotowa. Czemu po prostu nie wyluzujesz? Nie napijesz się jeszcze?

– Wystarczająco wypiałam, Sarah. Musimy jechać.

– No to jedź. Później się spotkamy. W hotelu. – Po tych słowach Sarah ponownie znika w tłumie, udając się za Antonym do innego pomieszczenia.

Anna stoi w bezruchu i patrzy za nią. Wszystko się chwieje. Sala i cienie, i światła, i ludzie. Dudniąca muzyka przenika całe jej ciało. Mruży oczy i wszystko staje się lekko zamazane. Widzi, że przygląda jej się jakiś mężczyzna pijący piwo. Puszczą do niej oko. Anna odwraca wzrok i po raz kolejny sprawdza torebkę. Czy jest zamknięta. Czy ma portfel. Telefon.

Idzie do toalety i czeka na wolną kabinę. Opuszcza deskę. Siada i próbuje się uspokoić. Wyjmuje telefon. Przewija listę kontaktów. Dom. Patrzy na to słowo. Myśli o tacie w samochodzie. Jak bardzo była na niego zła. Zdjęcie. On i ta kobieta. Przez chwilę się waha, ale nie. Wyciera kciuk o sukienkę. Myśli o tym, że jeśli zadzwoni, matka nigdy więcej nie puści jej nigdzie samej. Siedzi przez chwilę i zastanawia się, ile minie czasu, nim nieco wytrzeźwieje. Przez moment myśli o tacie Sarah, ale wtedy przypomina jej się ostrzeżenie... „Jeśli zadzwonisz do mojego taty, w życiu się do ciebie nie odezwę”.

Annie zdarzyło się już za dużo wypić, ale nigdy w pojedynkę. Nie tak jak dzisiaj. Żałuje, że nie ściągnęła aplikacji z taksówkami; miała to zrobić Sarah.

W takim razie nie ma wyboru. Postanawia wyjść przed klub i złapać coś na ulicy. Pamięta, że to musi być czarna taksówka, czytała o tych fałszywych. Czuje strach i żeby się uspokoić, próbuje wyobrazić sobie siebie na tylnej kanapie auta. Bezpieczną. Docierającą aż pod sam hotel. Tam zadzwoni do Sarah, a potem może do jej rodziców, nawet na policję, jeśli przyjaciółka nadal nie będzie chciała jej słuchać, nadal nie będzie chciała wrócić...

Na dworze mży. Przed klubem kilka osób pali papierosy. Ulica jest dość wąska. Prawie nic nią nie jeździ. Anna czeka chwilę i stara się na nikogo nie patrzeć, ale nie pojawia się żaden samochód. Żadna taksówka. Widzi w drzwiach bramkarza i zastanawia się, czy nie poprosić go o pomoc w znalezieniu transportu, lecz nagle jego uwagę zajmują trzej mężczyźni, którzy się stawiają, bo nie chce ich wpuścić do klubu.

Coraz bardziej moknie. Nadal kręci jej się w głowie. I wtedy...

– Anno, co ty, u licha, tutaj robisz?

Odwraca się i zalewa ją fala ulgi i tylu innych uczuć, że wybucha płaczem.

– Tim, o mój Boże.

Uspokaja ją, a ona czuje jednocześnie wstyd i ulgę. Ociera rękawem twarz.

– O Boże, Tim, tak się cieszę, że cię widzę. Ale czy ty... Myślałam, że pojechałeś do Szkocji? – Trzyma się jego ramion, zachowując w ten sposób równowagę. Konsternacja. Ulga. Dezorientacja.

– Gdzie Sarah? – Tim patrzy jej w oczy.

– W klubie. Nie chce wyjść. Próbuję znaleźć taksówkę.

– Cóż, tutaj ci się nie uda. Nie ma szansy. – Rozgląda się. – Chodź. Tędy. Cała już zmokłaś.

Bierze ją za ramię i Anna się spodziewa, że zaprowadzi ją do jakiejś bramy. Do kawiarni czy pubu. A może metro? Tim wyjaśnia, że metro o tej porze już nie kursuje i powinni dotrzeć do miejsca, gdzie mogą zamówić taksówkę.

– Tędy. Musimy podjechać nocnym autobusem. Tylko kilka przystanków. Potem bez problemu znajdziemy ci taksówkę.

Idą i idą. Przystanek. Wsiadają do autobusu. Tylko oni.

– Czy ten autobus dojeżdża blisko hotelu? – pyta Anna i ponownie podaje Timowi adres. Ten odpowiada, że nie. Nie jedzie aż tak daleko. Ale Anna ma się nie martwić. Zamówią taksówkę.

A potem wysiadają z autobusu i znowu idą.

– Jesteśmy na miejscu – mówi w końcu Tim. – Mieszkanie. Tutaj możesz się wysuszyć i zamówić taksówkę. Zaczekać w cieple. – Słyszy brzęk kluczy. Wchodzą najpierw na coś w rodzaju werandy, a potem do środka.

Wąski przedpokój, a dalej salon z oknem wykuszowym. Brązowe zasłony.

Tim wyjaśnia, że to mieszkanie, które zostawił mu ojciec. Na wynajem, żeby dzięki temu było go stać na studia. Tak brzmiał zapis w testamencie. Dlatego tu teraz przyjechał. Odwołano wycieczkę do Szkocji. To mieszkanie na ogół jest wynajmowane.

– Pamiętasz? Mówiłem wam o tym, kiedy umarł mój tata.

Coś tam pamięta. Jak przez mgłę. Tata Tima przez całe życie nie interesował się synem, a potem nagle zachorował na raka. Zwrócił się ku Bogu. Nawiązał kontakt

z Timem. Nie miał nikogo bliskiego, więc w testamencie umieścił Tima. Anna się cieszy, że jest bezpieczna. Że już nie moknie. Ale gdzie lokatorzy? I jak daleko znajdują się teraz od jej hotelu?

Tim wyjaśnia, że lokator właśnie wystawił go do wiatru, a on przyjechał, żeby posprzątać mieszkanie. Wynając je komuś innemu. Planował zadzwonić jutro i wyjaśnić, że Szkocja nie wypaliła; sprawdzić, czy uda mu się jednak spotkać z nią i Sarah.

– A wy nie miałyście przypadkiem wybrać się dzisiaj na musical?

Anna opowiada, że znalazły ten klub w internecie. Miał dobre recenzje. Nie wspomina o Karlu i Antonym. Wstydzi się. Słyszy, że nadal płacze jej się język, i próbuje mówić wolniej. Strasznie ją to krępuje, nie chce, żeby Tim ją osądzał. I zastanawia się, co on robił pod klubem. Twierdzi, że w pobliskiej hinduskiej restauracji umówił się z kolegą na curry.

– Dobrze się złożyło, co? Nie powinnaś zostać sama, Anno. Nie w Londynie. Zwłaszcza w tamtej dzielnicy. To szemrana okolica.

– Ty tam byłeś.

– Z facetami jest inaczej.

Anna musi usiąść. Nadal kręci jej się w głowie.

– No dobrze. Powinniśmy dopilnować, aby Sarah także nic się nie stało – mówi.

– Kiedy ty pojedziesz już do hotelu, wróć po nią. Na razie jest bezpieczna w klubie. – Tim wyjmuje telefon, Anna słyszy, jak zamawia taksówkę. Dwa razy podaje nazwę hotelu. Wyjaśnia, że o tej porze lepiej zamawiać taksówkę pod konkretny adres. Ma się zjawić za piętnaście minut. Nie najgorzej. W takim razie on ją wsadzi do taksówki, a potem wróci po Sarah. Zawiezie do hotelu. Czy jej to odpowiada?

Anna jest zdania, że może powinni od razu wrócić po przyjaciółkę. Czuje wdzięczność, ale także konsternację, znowu zaczyna płakać. Tim siada obok niej i ją obejmuje. Każe jej się nie martwić. „Wszystko jest już dobrze, Anno”. On dopilnuje, aby wszystko było dobrze.

A potem ona zamyka oczy. Przypomina jej się to okropne zdjęcie, jakie rano przysłał jej Tim. Jej tata z April – mamą Tima. Nie chciała o tym wspominać, nawet o tym myśleć, ale zastanawia się, czemu on w ogóle nie porusza tematu.

– Czemu przysłałeś mi to zdjęcie, Tim? – Nadal płacze. – To znaczy... dlaczego właśnie dziś rano?

Dostała je chwilę przed tym, jak ojciec odwoził ją na dworzec. Potworny szok.

„Brzydzę się tobą”.

– Uznałem po prostu, że masz prawo wiedzieć. Dla mnie to też był szok. Pomyślałem, że razem powinniśmy zdecydować, co zrobić. Czy powiedzieć twojej mamie.

– Żałuję, że to zrobiłeś. Strasznie się pokłóciłam z tatą.

– Przepraszam. Nie pomyślałem.

– Ale skąd je wzięłeś? To zdjęcie? – Było takie wyraźne. Takie obrzydliwe. Jej tata i April. Nadzy. Ona z nogami w górze. Jak na filmie porno. Obłeśne...

Tim wstaje i oświadcza, że nie chce w tej chwili o tym rozmawiać i że zaparzy jej kawę. Kawa dobrze jej robi. Anna mówi, że przecież nie ma czasu. Że zaraz przyjedzie taksówka. Ale on się upiera, że nawet kilka łyków pomoże.

– Jesteś w takim stanie...

Kiedy wychodzi i zaczyna się krzątać w kuchni, Anna rozgląda się po salonie. Nic nie rozumie. Na regale stoi całkiem sporo książek o trekkingu i map. Widzi także czasopisma, które wie, że lubi Tim. Mruży oczy. Jest ich cała sterta. Zerka na datę. Są sprzed trzech miesięcy. To bez sensu.

– Wszystko w porządku, Anno?

– Tak.

Z półki pod ławą bierze książkę poświęconą trasom wycieczkowym w Kornwalii. Czuje niepokój. Tom w wielu miejscach ma zakładki. Nie. Nie zakładki. Kartkuje i przekonuje się, że to zdjęcia. Na widok pierwszego się uśmiecha. To ujęcie grupowe z tamtego dnia, kiedy mama urządziła Timowi przyjęcie urodzinowe. Na głowach mają kapelusze z balonów, a ona i Sarah trzymają w rękach psy zrobione przez chłopców. Tima i Paula.

Przerzuca kartki, dociera do kolejnej fotografii i nagle czuje się naprawdę dziwnie. Jakby zmieniła się temperatura. Bo to zdjęcie przedstawia ją, zrobiono je z dużej odległości. Stoi w oknie swojego pokoju i szykuje się do zaciągnięcia zasłon.

Anna czuje, że tętno jej przyspiesza. Cała się spina. Znajduje kolejne zdjęcia – na których znajduje się tylko ona. Bawi się na trawniku. Siedzi na drzewie. Wszystkie z daleka.

Odkłada książkę na miejsce i wstaje. W tym momencie wraca Tim z dwoma kubkami.

– Kiedy przyjedzie taksówka?

– Już niedługo.

– Chyba muszę iść do ubikacji. – Próbuje ukryć, że trzęsą jej się ręce.

– Usiądź. Zaraz pojedziesz do hotelu. Tam będziesz się mogła załatwić. – Ton jego głosu się zmienia. Nie jest już miły. Tim stoi między nią a drzwiami.

Patrzy na niego i robi jej się jeszcze zimniej.

– Łazienka w tym mieszkaniu jest nieciekawa, Anno.

– Och, no tak.

– Napij się kawy. Pamiętaj, że to dobrze, iż cię znalazłem. – W końcu siada i pociąga łyk kawy. – Bardzo dobrze, że cię pilnuję, Anno. Że zawsze cię pilnuję.

– Tak. To prawda. Jestem ci wdzięczna, Tim. – Anna patrzy na czasopisma i książkę ze zdjęciami, a serce wali jej niemiłosiernie. – Mówiłeś, że lokator się zmył?

– Aha. W zeszłym tygodniu. Musimy znaleźć innego. – Zaczyna się kołysać. W przód i w tył...

Annie rozedrgały się ramiona i martwi się, że Tim to dostrzeże. Zerka na stojące na półce książki. Zauważa, że niektóre z nich to podręczniki przygotowujące do matury. Z tych przedmiotów, które zdawał Tim.

– Zaczekajmy w drzwiach, dobrze? – Anna ponownie wstaje.

– Nie. Usiądź. Pij kawę. – Znowu ten ton. Tim potrząsa głową. Kołysze się coraz szybciej.

– Chyba potrzebuję świeżego powietrza.

– Nic ci nie będzie, Anno. Jesteś teraz ze mną. Ze mną nic ci nie grozi.

Anna pociąga łyk kawy. Słyszy swój oddech. Swój puls. Bicie serca. Ogarnia ją przerażenie, a temperatura ciała coraz bardziej spada – ale wie, pomimo spożytego alkoholu i strachu, że nie może pozwolić, aby on to zobaczył.

– Przyniesiesz mi wody, Tim?

– Nie. – Kołysze się jeszcze szybciej. Nagle robi się ożywiony. Wykonuje dziwne ruchy głową.

– W porządku. Sama po nią pójde. – Wstaje i rusza w stronę drzwi na korytarz, początkowo powoli, ale potem przyspiesza i w tym momencie on chwyta ją od tyłu. Anna odruchowo mocno kopie prawą nogą, Tim ją puszcza.

Udaje jej się dotrzeć na korytarz, zaledwie metr od drzwi, ale nagle czuje cios w tył głowy. Przez chwilę nic nie widzi.

Otwiera oczy. Leży na podłodze. Czarne i białe płytki, zimne pod jej dłońmi. Mosiężna skrzynka na listy.

Próbuje krzyczeć, ale coś zakrywa jej usta. Ciało. Odór potu. Próbuje wgrzyźć się w to ciało, ale nie jest w stanie otworzyć ust. Unosi lewą rękę i dotyka swojej głowy. Koszmarny ból. Widzi krew na dłoni, kiedy ją opuszcza i próbuje odciągnąć z twarzy jego palce.

On przez cały czas coś mówi. Coś szalonego. Że jest z nim bezpieczna. Tylko z nim.

Jego głos, otumaniony i szalony. I straszny. Anna musi pozwolić, aby się nią opiekował. Pilnował jej. Było znacznie lepiej, kiedy byli dziećmi. Łatwiej mógł zapewnić jej bezpieczeństwo, kiedy jako dzieci...

Anna próbuje się czołgać. Ta skrzynka na listy...

A potem słyszy nowy dźwięk, jakby świst. Tim ściąga coś z wieszaka. Na krótką chwilę zwalnia uścisk. Anna rzuca się do przodu. Drzwi. Zasuwa. „Proszę...”

Ale teraz ma coś wokół szyi, coś, co ją odciąga. Zapach skóry. I inny ból.

Znacznie gorszy. Nie może oddychać. Dusi się, dusi. Unosi ręce do szyi. Próbuje wcisnąć palce między pasek a swoją szyję.

Nagle przed jej oczami przemykają niewyraźne obrazy. Tata w samochodzie. „Brzydzę się tobą”. Pierwiosnki na ścieżce prowadzącej do domu. Sammy – z głową odwróconą w jej stronę.

Anna walczy i wciska palce.

Rozpaczliwie pragnie do nich wrócić. Jej matka w kuchni. Zapach cynamonu. Herbatniki ze śliwkami. „Gotowe, Anno...”

Wciska, wciska palce.

Ojciec z Sammym na ścieżce. Wracają do domu. „Pierwiosnki dla mamusi...”

Anna woła do nich, do każdego po kolei, ale oni jej nie słyszą. Zamiast tego to ona słyszy straszny charkot w swoim gardle. Czuje ból w klatce piersiowej. Nadal walczy i walczy, wciąż walczy...

Gwiazdy na trawniku. Jenny się do niej uśmiecha. Sammy podgryza ją w pięty...

„Proszę”. Musi walczyć. Musi powiedzieć ojcu, że tak naprawdę go kocha. Musi do nich wrócić.

„Proszę”.

– Mówię wam, że był wtedy w Szkocji. – Pani Ballard wypowiada się coraz ciszej.

– Widziałam zdjęcie na Facebooku. Tim w Szkocji. Mylicie się...

Patrzę na Matthew i w gardle nagle czuję żółć.

– Tim był zdruzgotany zaginięciem Anny. Od zawsze za nią przepadał... – kontynuuje pani Ballard. – Nie. Nie. Tim był w Szkocji. – Konsternacja. Potworna konsternacja, kiedy Matthew wyjmuję z kieszeni telefon...

Jest spokojny i skupiony, co budzi we mnie jednocześnie podziw i strach. Ton głosu ma zdecydowany, kiedy rozmawia ze swoją koleżanką z policji, Melanie Sanders.

– Później ci wszystko wyjaśnię. Nowy podejrzany, sprawa Anny Ballard. Przyjaciel rodziny. Musicie natychmiast przyjechać, Mel... Tim... Jak on się nazywa? – Rzuca to pytanie w stronę pani Ballard, która nadal jest oszołomiona i mamrocze coś o tym, że się mylimy, bo on zawsze wielbił Annę. Odkąd byli mali. – Nazwisko Tima. I adres... szybko, pani Ballard.

– Blackhouse. Ryder Lane... Nie pamiętam numeru... To miły chłopak, miły chłopak. Mówię wam. Nie macie racji.

– Tim Blackhouse. Ryder Lane. Ta sama wieś... Pozostań na linii, Mel, a przekażę ci więcej informacji. Jechał w tym samym pociągu do Londynu co Anna. Na drugim końcu. Kłamał, że był w Szkocji...

Pauza. Matthew słucha.

– Nie wiem, Mel. Chwileczkę... Kto może wiedzieć, gdzie jest dzisiaj Tim? Gdybyśmy nie zastali go w domu. To pilne, pani Ballard. Proszę na mnie spojrzeć, proszę. To naprawdę pilne...

– Chyba Jenny. Jenny może to wiedzieć. Ogląda na górze film. Nie chciałam, żeby tu była podczas naszego spotkania... Nie chcę, żeby się denerwowała.

– Proszę ją zawołać. Natychmiast.

Dwie minuty później w drzwiach staje ciemnowłosa, wyższa od siostry Jenny. Ręce skrzyżowała na piersi. Jest nachmurzona.

– O co chodzi?

– Jestem prywatnym detektywem, Jenny, i muszę się pilnie dowiedzieć, jak znaleźć twojego przyjaciela Tima. Nie mam czasu na wyjaśnienia. Wiesz, gdzie dzisiaj jest?

– W Devon.

– Gdzie w Devon? Po co tam pojechał?

Wzrusza ramionami. Krzywi się. Nie ma ochoty na współpracę.

– A po co to panu?

– To naprawdę ważne, Jenny. Policja musi to wiedzieć.

– Nie wiem dokładnie. W sprawie pracy. Nie mówił. Pojechał do kogoś, kogo poznał na Ten Tors. Sporo o tym ostatnio mówi...

– O czym? O pracy?

W tym momencie wzdłuż moich pleców przebiega zimny dreszcz. Spoglądam na zdjęcie z Ten Tors. Data potwierdza, że w tej samej edycji brał udział Luke.

Znowu konsternacja. Ściągam brwi.

Nagle przypomina mi się ta lupka do czytania map, którą znalazłam pod kwiaciarnią. Wszyscy ją dostali. Wszystkie zespoły, które miały dobry czas. Mój Boże...

– Nie. O Ten Tors. – Głos Jenny nadal jest zagniewany.

Wstaję. Do gardła podchodzi mi żółć.

– Co to za praca? – Panika w moim głosie sprawia, że wszyscy odwracają się w moją stronę.

– W jakimś sklepie. Nie mówił w jakim. Proszę posłuchać, ostatnio jest bardzo rozstrojony, okej? Musicie dać mu spokój. Nam wszystkim.

– Posłuchaj, Jenny. – Ton Matthew jest stanowczy. – Nie chcę cię straszyć, ale chodzi o Annę. W trybie pilnym musimy znaleźć Tima. Dlaczego jest rozstrojony?

– Powyciągał wszystkie stare zdjęcia. Z Ten Tors z Anną i całą resztą. Szukał na nich kogoś. Jakiegoś chłopaka, któremu sądzi, że podobała się Anna. Nie wiem dlaczego. Kazałam mu odpuścić. On jest po prostu w rozsypce, okej? Tak jak my wszyscy...

– Luke... – To brzmi jak wołanie o pomoc. Chcę stąd wyjść. Muszę jechać do niego... Ruszam w stronę drzwi. Nie rozumiem tego... To nie ma absolutnie żadnego sensu. Ale muszę do niego jechać. I nagle mam przed oczami ich wszystkich, całe setki. Ponownie patrzę na zdjęcie i widzę to. Anna odbiera medal. Wszyscy odbierają medale... Luke. Tim. Wszyscy się śmieją. Wszyscy tacy szczęśliwi.

– Mój syn Luke był na Ten Tors tego samego roku. Jest teraz w kwiaciarni. Sam. Luke. Musimy jechać, Matthew...

– Przestań, Ello. Rozmawiaj ze mną. Popatrz na mnie.

– Ma się spotkać z jakimiś ludźmi w sprawie pracy u mnie. Och, dobry Boże. Mówił, że poznał ich na facebookowej grupie Ten Tors. A ja znalazłam coś pod kwiaciarnią, Matthew. Sądziłam, że należy do Luke'a. Ale teraz się martwię...

– Rozumiem. Zadzwoń do niego. Zadzwoń natychmiast na jego komórkę.

Robię, co mi każe. Trzęsą mi się ręce. Odbierz, odbierz, Luke.

– Nie odbiera. – Z mocno bijącym sercem odwracam się w stronę Matthew. Nadal czuję w ustach smak żółci. Bolą mnie wszystkie mięśnie twarzy. Nie

rozumiem... W uchu rozbrzmiewa mi nagranie na poczcie głosowej Luke'a.

– Zadzwoń na stacjonarny. Spróbuj się uspokoić. Postaraj się, aby twój głos był spokojny, Ello... Twój syn znał Annę?

– Nie. Nie. Z całą pewnością nie. No bo przecież coś by powiedział... – Patrzę na widniejącą na zdjęciu datę. Ten sam rok...

Ponownie dzwonię, a w tym czasie Matthew rozmawia z Melanie Sanders.

– To strzał w ciemno, Mel, ale możliwe, że Tim znajduje się teraz w kwiaciarni świadka, Elli Longfield. Trundale High Street. Jej syn jest tam teraz sam, Mel. To pilna sprawa. Ale nie jedźcie na sygnale...

– Nie rozumiem... – Teraz to ja mamroczę. – Jest sygnał, ale nikt nie odbiera. – Mój Luke? Dlaczego mój Luke...? Nic z tego nie rozumiem.

Jest z siebie bardzo zadowolony. Jessica okazała się całkiem sympatyczna. Uprzedziła jedynie, że nie może dźwigać zbyt ciężkich pakunków. Twierdzi, że podczas Ten Tors załatwiła sobie kręgosłup. Może się to okazać problematyczne przy dostawach. Zwrócił także uwagę, że ma bardzo długie paznokcie. Ale generalnie jest miła i mieszka niedaleko. Mówi, że nie ma nic przeciwko porannemu wstawaniu, a potrzebuje pieniędzy. Mama by ją polubiła, więc na pewno pokaże jej CV Jessiki.

Patrzy na zegarek. Następny będzie Tim. Trochę się spóźnia. Kiepsko to wróży. Mama lubi punktualność.

Poznał ich na grupie na Facebooku; oboje startowali w Ten Tors w tym samym roku co on, ale ich nie pamięta. Ani Jessiki, ani Tima. Tyle tam było osób. Niemniej każdy, kto zaliczył Ten Tors, może się pochwalić wytrzymałością i zaangażowaniem. Tak.

„Fajna dorywcza praca. Sklep w Trundale. Zainteresowany? Napisz na priv...”

Cieszy się, że w szkole powoli wszystko idzie ku dobremu, ale nie chce zostawić mamy na lodzie – pragnie się jej odwdziaczyć za wsparcie. Jednak niewielu młodych ludzi ma ochotę wstawać tak wcześnie do pracy. Jeśli nie spodobają jej się Jessica i Tim, sama będzie musiała kogoś znaleźć.

Luke zerka na zaplecze i widzi, że kawa już prawie gotowa. To dobrze. Sprząta ładę, a na wystawie dostrzega zwiędłą różę. Wyjmuje ją z wiadra i wstawia do wazonu na zapleczu. Później spróbuje ją odratować. Przychodzi mu na myśl Emily. Na ostatnie walentynki podarował jej różę. Po tym wszystkim spotkali się na kawie i Luke się cieszy, że porządnie ze sobą pogadali; że ona wie, jak bardzo mu zależy, jak mu przykro z powodu tego, przez co musiała przejść. Emily zrobiła sobie wolne od szkoły i przebywa właśnie u cioci we Francji. Nadal nie chce przez jakiś czas wchodzić w żaden związek, ale powiedziała, że Luke może do niej pisać. Cieszy się z tego.

W tym momencie rozbrzmiewa dzwonek przy drzwiach. Luke się uśmiecha, po raz kolejny myśląc o mamie. Ona tak lubi ten staromodny dźwięk...

Początkowo sądzi, że to klient. Wygląda na starszego...

– Cześć. Jestem Tim. Przyjechałem w sprawie pracy. – Wyciąga rękę i Luke ją ujmie, starając się ukryć zaskoczenie. Wszystko w tym chłopaku wydaje się starsze, niż się spodziewał. Ubrania. Włosy. Cera – taka jakaś szara. I zapadnięte oczy.

– No tak. Super... Dzięki, że przyjechałeś.

Luke opowiada o pracy. Jej godzinach. Obowiązках. Prosi Tima, aby usiadł na taborecie przy ladzie. Zostało dziesięć minut do przerwy na lunch i wtedy będą mogli spokojnie porozmawiać.

Wchodzi klientka i pyta o ofertę dnia.

– Jest coś przecenionego?

Luke pokazuje jej słoneczniki. Piękne. Nawet bardzo. Taniej o dwadzieścia procent. Kobieta je bierze. Tim przygląda się, jak Luke owija kwiaty w papier i kasuje należność.

Luke wyjaśnia Timowi, że jego matka potrzebuje kogoś wcześniej w sobotę i czasem w niedzielę. Chodzi o pomoc podczas rozpakowywania towaru, a także stanie za ladą w czasie, kiedy ona zajmuje się realizacją zamówień.

– Nie masz nic przeciwko kontaktom z klientami?

– Och, nie, nie. Pracowałem w kiosku.

– To dobrze. Super.

Ale coś z Timem jest nie tak. Coś trudnego do określenia. A kiedy się nachyla, Luke to czuje. Naprawdę nieprzyjemny zapach z ust. Odsuwa się i uśmiecha z przymusem. Mamie się to nie spodoba. A więc Tim odpada, ale on zachowa się uprzejmie. Dyplomatycznie, choć nie będzie tego przeciągał.

– Więc mnie nie pamiętasz? Z Ten Tors? – Tim patrzy na niego.

– Nie, stary. Sorki. Tylu tam było ludzi. W sumie to startowałem dwa razy. Za drugim razem dłuższa trasa. A ty?

– Tylko raz. W tym samym roku... – zawiesza głos – ...co Anna Ballard.

Nieruchomieje. Tim przygląda mu się uważnie, bez mrugnięcia okiem.

Luke ogląda się za siebie i zaczyna rozumieć. Mruży oczy i przez chwilę myśli. Spojrzenie Tima wydaje mu się naprawdę dziwne.

– Więc... jesteś dziennikarzem?

– Nie. Nie jestem dziennikarzem.

– Wiesz co, Tim? To się nie uda, stary. Bez urazy, ale...

– Twierdzisz, że nie pamiętasz Anny Ballard?

Luke ponownie zamiera. „Co tu się, u licha, dzieje?”

– Słuchaj. Nie wiem, o co ci chodzi. Ale nie pozwolę, żeby ktoś denerwował moją mamę z powodu sprawy Anny Ballard. Więc idź już, proszę.

Tim wyjmuję z kieszeni zdjęcie.

– W takim razie wyjaśnij mi to.

Luke patrzy z konsternacją, jak Tim rzuca zdjęcie na ladę. Zrobiono je po ceremonii wręczania medali na Ten Tors. Tłum ludzi. Luke prześlizguje się wzrokiem po twarzach, mruży oczy, aż w końcu dostrzega siebie w towarzystwie dwóch kolegów z zespołu. Andy’ego i Geoffa. Z ich prawej strony stoi grupka dziewcząt. Jedna z nich... Tak. Nachyla się nad zdjęciem. Rzeczywiście to może

być Anna Ballard. Oczywiście widział jej zdjęcie w wiadomościach, ale nie miał pojęcia, że startowali w tym samym roku w Tors...

– Słuchaj, nie zdawałem sobie sprawy, że Anna Ballard też tam była. I nie rozumiem, czemu przyniosłeś mi to zdjęcie. W każdym razie nie zamierzam dłużej z tobą rozmawiać. Jasne? Idź sobie. Natychmiast.

Tim robi krok do tyłu i Luke myśli: „Dzięki Bogu. Ten facet to jakiś świr”. Ale zamiast wyjść Tim opuszcza zasuwę. Przekręca tabliczkę na stronę z napisem „Zamknięte”.

„Co takiego?”

Stoi teraz przy drzwiach i wpatruje się w Luke’a.

W tym momencie dociera do Luke’a coś innego, poważniejszego. Rusza w stronę Tima – nie jest potężny ani silny i wydaje mu się, że uda mu się wypchnąć go z kwaciarni. Może się w końcu odpieprzy. A może będzie musiał zadzwonić na policję.

Tim powoli wyjmuje z kieszeni nóż. Szeroko otwartymi oczami wpatruje się w Luke’a.

– Na zaplecze. Ale już.

Luke patrzy na ostrze. Rozważa, jakie ma możliwości. Tylne drzwi. Telefon. Wybicie noża z ręki napastnika. Na razie trzyma ręce na wysokości pasa.

– Okej, stary. Nie ma co się unosić...

– Mówiłem: na zaplecze.

Luke powoli się cofa. Nie może ryzykować i odwrócić się plecami do noża. Teraz mu się przypomina, że tylne drzwi są zaryglowane. Chryste.

– Ty i Anna. Podobałeś jej się. Rozmawiała z tobą. Ja obserwuję. Widzę różne rzeczy. Mam na oku i zapamiętuję...

– Nie, stary. Naprawdę. Przykro mi, ale nie masz racji. Nie pamiętam jej. Po prostu wszyscy się razem cieszyli.

– Kłamiesz. – W oczach Tima pojawia się szaleństwo. Wściekłość. – Obserwuję ją. Wiem...

W tym momencie Tim nagle rzuca się w stronę Luke’a i przejeżdża ostrzem po jego prawym ramieniu. Rana jest powierzchowna, ale ból okazuje się potworny. Natychmiast pojawia się krew.

Luke stoi obok roboczego blatu. Zerka w lewo. Szybkim ruchem chwyta dzbanek z kawą i chlusta gorącym płynem w stronę Tima. Moczy Timowi nogę i ten wydaje okrzyk bólu, ale po chwili znowu rzuca się z nożem. Tym razem ból przeszywa udo Luke’a. Krew szybko wsiąka w jego spodnie.

Tarzają się teraz po podłodze, a Luke rozpaczliwie próbuje się podnieść. Czuje wilgoć na udzie. Chce wstać, ale ból jest dojmujący. Otrzymuje cios w ramię.

I wtedy to dostrzega – błysk czerwieni, odbijający się w lustrze, w którym jego

matka ogląda swoje kompozycje. Jej ulubiony sekator. Czerwony uchwyt na dolnej półce. Patrząc na niego w lustrze, wyciąga rękę – jeszcze kawałek, jeszcze trochę – i rzuca się do tyłu. Potworny ból, jaki towarzyszy ostrzu zanurzającemu się w ciele. A potem ciemność.

I tak trendy po raz kolejny ulegają zmianie. W tym roku jesienne panny młode gustują w bieli. Zamiast palety ciepłych, nasyconych barw chcą jedynie kolorowego akcentu – czegoś pomarańczowego, bordowego, miedzianego. Wybieram kwiaty w kremowych odcieniach bieli, które lepiej się komponują z takimi akcentami – także na zdjęciach. Mamy naprawdę dobrego dostawcę gerber i dalii w mocnych, zdecydowanych kolorach. Pięknych. Wykorzystuję ich całe mnóstwo.

Sama lubię biel. Jest bezpretensjonalna i klasyczna. I cudowne jest to, że ma tyle odmian. Według Tony’ego biel to biel. „Powiedz to autorom próbników z farbami – ripostuję zawsze. – Powiedz to róży albo tulipanowi”.

Dzisiaj mam na blacie rozłożone całe morze białych kwiatów. Ulubiony motyw – białe róże dopiero co zaczynające rozchyłać pąki, do tego pomarańczowe lilie. Bardzo proste, ale przepiękne.

Piję trzecią kawę i pracuję wolniej niż zazwyczaj. Ostatnio tak już mam. Sporo rozmyślałam, odpływając często w miejsca, w których wcale nie chcę się znaleźć.

Zastygam i wbijam wzrok w trzymany w ręce nowy sekator. Nadal wydaje mi się obcy. Nadal nie mam pewności, czy policja zwróci mi ten czerwony. Dowód. W sumie to wcale go nie chcę. To, czego pragnę, to starej wersji naszego życia.

„Sprzed wszystkiego...”

Spoglądam na zegarek. Jeszcze godzina i zamykam. Wzdycham. Muszę dokończyć ten bukiet i wstawić go do chłodziarki. Pod koniec dnia raczej nie mam wielu klientów, zwłaszcza kiedy pada deszcz. To zabawne, jak pogoda wpływa na to, co ludzie kupują.

Słyszę jakiś szelest przy drzwiach. A to zaskoczenie – późny klient. Brzęk dzwonka i strzepywanie parasolki. Wstaję i wychodzę z zaplecza. Napotykam jej spojrzenie...

Szok. Jeden z tak wielu.

Przez jakiś czas jedynie stoimy, patrząc sobie w oczy, a ja nie wiem, co zrobić. Czuję, jak do oczu napływają mi łzy. Zastanawiam się, dlaczego tu przyjechała. Denerwuję się.

Patrzę na nią i słyszę szaleńcze bicie swojego serca. Przypomina mi się głos Matthew, kiedy wtedy do mnie zadzwonił.

W zamrażarce znaleziono ciało Anny. W sekretnym mieszkaniu Tima – mieszkaniu, które zgodnie z wolą zmarłego ojca miał wynajmować, aby gromadzić środki na studia, ale które zamiast tego traktował jako swoją kryjówkę. Znaleziono

tam jego pamiętniki pełne zdjęć i szaleńczych, szokujących wywodów. Od bardzo dawna obserwował i fotografował Annę. Nie znosił, jak rozmawiała z kimś innym. Robił zapiski. Obserwował. Nieustannie miał ją na oku...

Czasem robił tak, że po kolacji u Ballardów udawał, że wraca do domu, ale zamiast tego zaszywał się w nieogrzewanej owczarni na wzgórzu. Obserwował ich wszystkich z góry. Obserwował, dopóki Anna nie kładła się spać, i skrzętnie wszystko notował.

– Ello. Przepraszam, że tak cię nachodzę. Masz chwilę?

Co odpowiedzieć?

Patrzę na nią, na jej zapadnięte, smutne i zmienione na zawsze oczy i zastanawiam się, co jeszcze możemy sobie powiedzieć. Zastanawiam się, jaki jest cel jej wizyty.

– Oczywiście. Chodźmy na zaplecze. I tak niedługo miałam zamykać. – Znowu dobre maniery. Jak zawsze.

Podchodzę do drzwi, przekręcam klucz. Na chwilę się zatrzymuję, a przed oczami pojawia mi się pewien obraz. Nie chcę o tym myśleć: nadinspektor Melanie Sanders w progu ich mieszkania, przysłano ją z wiadomościami.

Po zamknięciu tej sprawy zaproponowano jej awans, ale ona oświadczyła Matthew, że go nie chce, bo to przecież on się napracował, nie ona. Przemówił jej w końcu do rozsądku, rozumiem to. Nadal namawia Matthew na powrót w szeregi policji, on jednak nie potrafi się zdecydować...

Obok blatu roboczego stawiam taboret, ale ona woli stać. Dziękuje także za kawę.

Ciekawe, czy wolno mi zadawać pytania. Jak sobie radzi? Ale właściwie po co mam pytać? Jak człowiek radzi sobie z czymś takim? Postanawiam poczekać. Siadam, choć ona tego nie robi.

– Jak się czuje Luke?

Po to właśnie przyjechała? Nie sądzę. Ale myślę o nim, myślę też o Annie i mam wyrzuty sumienia, że tak się cieszę, iż to moje dziecko żyje...

– Lepiej, dziękuję. Nie musi już chodzić o kulach. Ramię nie doszło jeszcze do siebie, ale liczymy, że dzięki fizjoterapii...

– To dobrze. Cieszę się, że z tego wyszedł.

Nie po to tu przyjechała. W takim razie po co?

– Tak bardzo mi przykro z powodu Anny, pani Ballard.

– Barbara, proszę. Proszę mi mówić po imieniu. – Odwraca wzrok.

Robię wdech.

– Wiesz, to ja go zaprosiłam do naszego domu. Tima. – Wykrzywia usta. – Do naszej rodziny. Do małej paczki Jenny i Anny. Żal mi go było. Matka nigdy się nim nie zajmowała. Interesowali ją tylko mężczyźni. Wiedziałaś, że miała romans

z moim mężem? Przepraszam. Nie wiem, czemu ci to mówię.

– Przykro mi.

Matthew wszystko mi opowiedział. Pamiętniki Tima. Zainstalował kamerę w pokoju matki, żeby szantażować jej kochanków. Zarobić trochę kasy. A potem przyłapał kogoś, kogo się nie spodziewał...

Ponownie nasze spojrzenia się spotykają i widzę, że drżą jej usta.

– Wygląda na to, że to moja wina. Tim. Żałowałam go. Zawsze biegał sam po wiosce, nawet jako mały chłopczyk. Sądziłam, że robię to, co należy. Karmiąc go. Zapraszając do domu. Ale... – waha się – wychodzi na to, że to moja wina...

– Nie wolno ci tak myśleć.

Słyszę echo słów tak wielu osób, które to samo mówiły mnie, i od razu żałuję tego frazesu. Wyrzuty sumienia rządzą się swoimi prawami.

– Chce wrócić, mój mąż. – Wbija wzrok w podłogę. – A ja rzeczywiście się nad tym zastanawiam. Bo widzisz, brakuje mi go.

Mam ochotę dotknąć jej ramienia. Zaoferować pocieszenie. Cokolwiek. Ale tego nie robię.

Ciekawe, czy pojawi się w sądzie. Matthew mówi, że Tim będzie odpowiadał za zabójstwo i usiłowanie zabójstwa. Jego adwokat zapewne wniesie o zmniejszoną odpowiedzialność, ale według Matthew nie uda się uniknąć kary za morderstwo. Okazuje się, że Tim z wyrachowaniem przygotował sobie alibi w Szkocji. Wybrał biuro organizujące piesze wycieczki, o którym wiedział, że przyjmuje zapisy do ostatniego dnia. Zarezerwował miejsce trzy dni przed wyjazdem Anny do Londynu, niby na tydzień, ale spędził tam tylko dwadzieścia cztery godziny – to wystarczyło, aby wstawił na Facebooka kilka zdjęć, ponarzekał na słaby internet i wyprowadził w pole policję, która tylko pobieżnie sprawdziła jego wersję. Później zapisy z kamer potwierdziły, że rzeczywiście wrócił do Kornwalii i ukradkiem wsiadł razem z ostatnimi pasażerami do pociągu do Londynu, w bluzie z kapturem i ciemnych okularach. Następnie śledził Annę i Sarah w drodze z teatru na West Endzie do klubu.

Nadal pozostaje niejasny powód, dla którego ją zabił. Jego pamiętniki są chaotyczne i niespójne – ta obsesja na punkcie innych ludzi, którzy na nią patrzyli.

Nie mogę znieść myśli o tym wszystkim, zwłaszcza że mój biedny Luke musiał przedstawić dowody na swoją obronę. Żałuję, że Tim nie umarł, że wybudził się ze śpiączki, że to wszystko naprawdę się nie skończyło.

Przez długą chwilę obie milczymy. W końcu zaczynam paplać o kwiatach na ślub i mojej miłości do lilii, zwłaszcza w mocnych, nasyconych kolorach. Bordowych i fioletowych.

– Muszę ci coś powiedzieć. Dlatego tu przyjechałam, Ello.

Obciążam niespokojnie spódnice.

– Sprzątałam w pokoju Jenny i coś znalazłam.

Marszczę czoło.

– Czarne kartki.

Nieruchomieję.

– Rozmawiałam z nią i w końcu pękła. Przyznała się. To Jenny wysłała ci dwie pierwsze pogróżki. Jest jej bardzo przykro. I wstyd. Przepelniał ją wtedy tak wielki gniew, próbowała znaleźć dla niego ujście. Tak jak ja. Nie twierdzą, że to ją usprawiedliwia, ale jest bardzo młoda i bardzo tego żałuje.

Więc to Jenny? Siostra Anny...

– Obawiam się, że to nie wszystko. – Pociąga lekko nosem. – Kiedy przysłałaś do mnie Matthew, Jenny spanikowała. Powiedziała mi, o co mnie podejrzewasz. Zdenerwowało mnie to. A ona postanowiła się komuś zwierzyć. Komuś bliskiemu.

O mój Boże.

– Timowi?

– Tak. Niestety... Timowi. Wygląda na to, że dopiero wtedy się tobą zainteresował. Postanowił samemu wysłać kilka kolejnych kartek. I zaczął obserwować twoją kwiaciarnię. Co za wynaturzony umysł. Nie mieliśmy o niczym pojęcia, ale policja twierdzi, że ma zaburzenia emocjonalne. Ta obsesja na punkcie obserwowania ludzi. Nieważne. Tym jednak sposobem rozpoznał twojego syna. Z Ten Tors. Jego także zaczął obserwować. Wszystko mu się pomieszało...

Słyszę, jak wypuszczam powietrze. Tak długo się zastanawiałam, dlaczego Tim się nami zainteresował.

– Chcę powiedzieć, że zrozumieć, jeśli będziesz chciała poinformować o tym policję. – Drży jej dolna warga. – Bo możesz oczywiście uważać, że to przez Jenny Tim zainteresował się twoim synem.

Wreszcie rozumiem.

Matthew mówił, że w komputerze Tima znaleziono setki zdjęć: z imprez, Ten Tors i szkoły, z nieprzyjemnymi, agresywnymi komentarzami na fotografiach przedstawiających chłopców, którzy, jak uważał, interesowali się Anną. Choćby jedynie z nią rozmawiali, zupełnie niewinnie. Przez chwilę. Luke miał po prostu pecha. Przecież nawet nie pamięta, by ją poznał czy z nią rozmawiał.

Przez chwilę wbijam wzrok w podłogę. Myślę o Luke'u, takim dumnym, kiedy przed dwoma tygodniami w końcu odstawił kule i bez pomocy przeszedł przez pokój. Bardzo kuleje, ale wszyscy udajemy, że to minie. Liczymy, że tak się stanie. Ma także wielką bliznę na udzie.

– Dziękuję, że przyjechałaś, by mi o tym powiedzieć. Nie zamierzam iść na policję. Nic by to nie dało. – Myślę o Jenny, wciąż tak młodej. Po co miałabym to zrobić? Policja może przecież wierzyć, że wszystkie kartki przysłał Tim.

Pani Ballard zamyka oczy, a przez jej twarz przemyka uczucie ulgi.

– Dziękuję, Ello.

Spodziewam się, że teraz wyjdzie, ale ona nie rusza się z miejsca. Ciekawe, na co czeka.

Spogląda na blat. Na chłodziarkę z bukietami.

– Wydano nam jej ciało. Na pogrzeb.

Dobry Boże... Ponownie ze sobą walczę. Nie mogę teraz pęknąć.

– Wczoraj wieczorem był u nas kierownik domu pogrzebowego, żeby wszystko omówić.

Milknie. Ja też nic nie mówię. Nie znajduję żadnych słów. Żadnych.

Myślę o Annie w pociągu, jej zielonych oczach, takiej ślicznej i podekscytowanej. Szesnaście lat...

– Pokazał mi katalogi z kwiatami na trumnę. – Głos ma jeszcze spokojny, ale po policzkach płyną jej łzy. – I one są takie okropne, Ello. Kwiaty. Takie straszne.

– Słucham?

Nie odrywa wzroku od chłodziarki.

– Wiem, że zabrzmiało to absurdalnie, ale tego właśnie ludzie oczekują. Wieńca. Ale ja nie mogę mieć wieńca. Nie mogę mieć czegoś tak smutnego i dorosłego, i okropnego. Nie chcę wieńca na trumnie mojej córki.

Przenosi na mnie wzrok, sprawdzając moją reakcję. Na twarzy maluje mi się konsternacja.

– Ona jest taka młoda. Za młoda na wieniec, nie sądzisz? – W końcu ociera twarz wierzchem dłoni.

Nadal nie wiem, co powiedzieć, żeby ją pocieszyć.

– A kiedy tu przyjechałam po raz pierwszy, widziałam na wystawie przepiękne kompozycje. Na wiosnę. Całe pasy zieleni, wyglądały jak wzgórza, jak łąka z polnymi kwiatami. Pierwiosnki, czosnek niedźwiedzi i coś płożącego się.

– Zrobiłam to na konkurs. Pamiętam... – Zdobyłam wtedy nagrodę.

– Wyglądało to ślicznie. I tak sobie myślałam, kiedy tu jechałam... że tego bym właśnie chciała dla mojej Anny: czegoś w rodzaju kobierca zieleni i polnych kwiatów. Żadnego wieńca. Wiem, że nie proszę cię o mało. Pewnie w ogóle nie powinnam tego robić, zważywszy na wszystko, co między nami...

– To będzie dla mnie zaszczyt. Z radością zrobię to dla ciebie.

Po raz ostatni nasze spojrzenia się spotykają.

– Oczywiście zapłacę, ile tylko będzie trzeba...

Zostawia mi adres mailowy, a ja obiecuję przesłać projekt do akceptacji. Już zdecydowałam, że nie wezmę od niej ani grosza. Kiedy się zegnamy, przez głowę przemykają mi dziesiątki myśli. Tworzę sobie projekt. Planuję. Myślę, jak wpleść tę całą zielenią w coś w rodzaju siatki, żeby osiągnąć efekt pofalowanych wzgórz. Jak łąka – tak. A pierwiosnki? Znam dostawcę, który hoduje pierwiosnki.

W szklarniach. Zamówię całe pęki.

Robię w zeszycie notatki i teraz to po moich policzkach płyną łzy. Wiem, że to musi być coś naprawdę wyjątkowego. Innego niż wszystko, co stworzyłam do tej pory. Dokładnie to wszystko widzę. Jak zakrywam ten smutek kryjący się w dębowych deskach i mosiężnych uchwytach zapachem i kolorami łąk otaczających ich dom.

Pierwiosnki i dzwonki. Czosnek niedźwiedzi i firletki. Różowe, żółte i białe płatki.

Dla ślicznej dziewczyny, która zbyt szybko odeszła.

Dla dziewczyny zdecydowanie za młodej na wieniec.

Bardzo dziękuję za przeczytanie *Obserwuję cię*. Publikacja tej książki jest dla mnie czymś wyjątkowym, jako że sam pomysł na nią przyszedł mi do głowy dawno temu.

Pewnego dnia podróżowałam do Londynu, kiedy do pociągu rzeczywiście wsiadło dwóch młodych mężczyzn z czarnymi, foliowymi workami. Kiedy poznałam powód wybrania tego nietypowego bagażu, lekko mnie to zaniepokoiło, ale jednocześnie zaintrygowało. I wtedy pisarska wyobraźnia zaczęła działać. Podczas tamtej podróży nie wydarzyło się nic wyjątkowego, ale przez moją głowę przelatywały pomysły: a gdyby stało się to... a gdyby stało się tamto...

W tamtym czasie byłam zavalona przeróżnymi projektami, więc początkowo przekulałam pomysł w krótkie opowiadanie. Jednak Anna nie dawała mi spokoju. Wiedziałam, że mam na ten temat więcej do powiedzenia i że musi się z tego zamysłu zrodzić powieść.

Przez wiele lat pracowałam jako dziennikarka i zawsze fascynował mnie wpływ przestępstw na życie zwykłych ludzi – nie tylko ofiar, ale także świadków. I chyba właśnie dlatego ten pomysł co rusz do mnie wracał. A kiedy w końcu usiadłam do pracy, wiedziałam, że chcę rzucić światło nie tylko na rodzinę Anny, ale także na Ellę i jej bliskich.

Teraz wiecie, jak załazek pomysłu przekształca się w książkę. Raz jeszcze dziękuję za jej lekturę, a jeśli spodobała się wam moja historia, proszę o wystawienie opinii na Amazonie. Ten portal naprawdę pomaga innym czytelnikom odkrywać moją twórczość.

Uwielbiam, kiedy odzywają się do mnie czytelnicy, więc śmiało piszcie. Możecie to zrobić poprzez moją stronę www.teresadriscoll.com; na Twitterze: [@TeresaDriscoll](https://twitter.com/TeresaDriscoll); albo na Facebooku www.facebook.com/TeresaDriscollAuthor.

Ciepło wszystkich pozdrawiam

Teresa

PODZIĘKOWANIA

Pisanie bywa samotną podróżą, dlatego muszę podziękować mojej wspaniałej rodzinie i przyjaciołom za wsparcie, wiarę we mnie i tolerowanie moich zniknięć – kiedy zaszywam się w gabinecie, zastanawiając się, czy kiedykolwiek dotrę do ostatniego rozdziału.

Specjalne podziękowania składam na ręce utalentowanych i cierpliwych redaktorek, Jane Snelgrove i Sophie Missing, za ich troskę i przenikliwość i za to, że z wielką wrażliwością mnie dopingowały, kiedy opadałam z sił. Bardzo wam obu dziękuję.

Dziękuję wszystkim czytelnikom i blogerom, którzy z taką życzliwością opisują moje książki. Wasze opinie i wsparcie są bezcenne.

I wreszcie – głośne „dziękuję” dla mojej cudownej agentki, Madeleine Milburn, kibicującej mi od samego początku. Jestem twoją dłużniczką.

* *Saffron* (ang.) – szafran.

** *Moon* (ang.) – księżyc.

*** *Rainbow* (ang.) – tęcza; *waterfall* (ang.) – wodospad.

**** *Dawn* (ang.) – świt.

I Am Watching You

Copyright © Teresa Driscoll 2017

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2018

Copyright © for the translation by Monika Nowak 2018

Redakcja – Marta Pustuła

Korekta – Aneta Wieczorek

Projekt typograficzny i skład – Joanna Pelc

Okładka – Paweł Szczepanik / BookOne.pl

Fotografia na okładce – Mykhailo / fotolia.com

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.



WYDAWNICTWO
SINE QUA NON


Wydanie I, Kraków 2018


ISBN EPUB: 978-83-8129-248-1

ISBN MOBI: 978-83-8129-247-4


 wsqn.pl


 WydawnictwoSQN


 wydawnictwosqn

 SQNPublishing

 WydawnictwoSQN

 E-booki

 Zrównoważona gospodarka leśna

 Tempori serviendum est

Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

Lipiec 2015

Rozdział 1. Świadek

Rozdział 2. Ojciec

Rozdział 3. Przyjaciółka

Lipiec 2016

Rozdział 4. Świadek

Rozdział 5. Ojciec

Rozdział 6. Świadek

Rozdział 7. Przyjaciółka

Rozdział 8. Prywatny detektyw

Rozdział 9. Ojciec

Rozdział 10. Świadek

Rozdział 11. Ojciec

Rozdział 12. Prywatny detektyw

Rozdział 13. Świadek

Obserwacja...

Rozdział 14. Przyjaciółka

Rozdział 15. Świadek

Rozdział 16. Ojciec

Rozdział 17. Świadek

Rozdział 18. Przyjaciółka

Rozdział 19. Świadek

Rozdział 20. Ojciec

Rozdział 21. Przyjaciółka

Rozdział 22. Prywatny detektyw

Rozdział 23. Ojciec

Rozdział 24. Przyjaciółka

Obserwacja...

Rozdział 25. Świadek

Rozdział 26. Ojciec

Rozdział 27. Przyjaciółka

Rozdział 28. Prywatny detektyw

Rozdział 29. Ojciec

Rozdział 30. Przyjaciółka
Rozdział 31. Świadek
Rozdział 32. Ojciec
Rozdział 33. Przyjaciółka
Rozdział 34. Prywatny detektyw
Rozdział 35. Świadek
Rozdział 36. Ojciec
Obserwacja...
Rozdział 37. Prywatny detektyw
Rozdział 38. Przyjaciółka
Rozdział 39. Ojciec
Rozdział 40. Świadek
Rozdział 41. Przyjaciółka
Rozdział 42. Ojciec
Obserwacja...
Rozdział 43. Świadek
Rozdział 44. Przyjaciółka
Rozdział 45. Świadek
Lipiec 2015
Rozdział 46. Anna
2016
Rozdział 47. Świadek
Rozdział 48. Luke
Epilog. Ella
Od autorki
Podziękowania
Strona redakcyjna



Bądź na bieżąco, śledź nas na:

-  WydawnictwoSQN
 -  SQNPublishing
 -  wydawnictwosqn
 -  wydawnictwosqn
 -  WydawnictwoSQN
- www.wsqn.pl

